

PIOTR TRUDNOWSKI Z NADZIEJĄ O PREMIERZE

Po co Morawiecki udaje Suskiego
– rozważa szef Klubu Jagiellońskiego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 21/374 18–24 MAJA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Ostra rozmowa
z byłą szefową kampanii
Andrzeja Dudy

„CHAM
NIEZBUNTOWANY”
– FRAGMENT
NOWEJ KSIĄŻKI
ZIEMKIEWICZA



Kim jest
Paweł Tanajno?



Na celowniku lewicy

DLACZEGO „POSTĘPOWCY”
TAK BARDZO NIENAWIDZĄ
INSTYTUTU ORDO IURIS

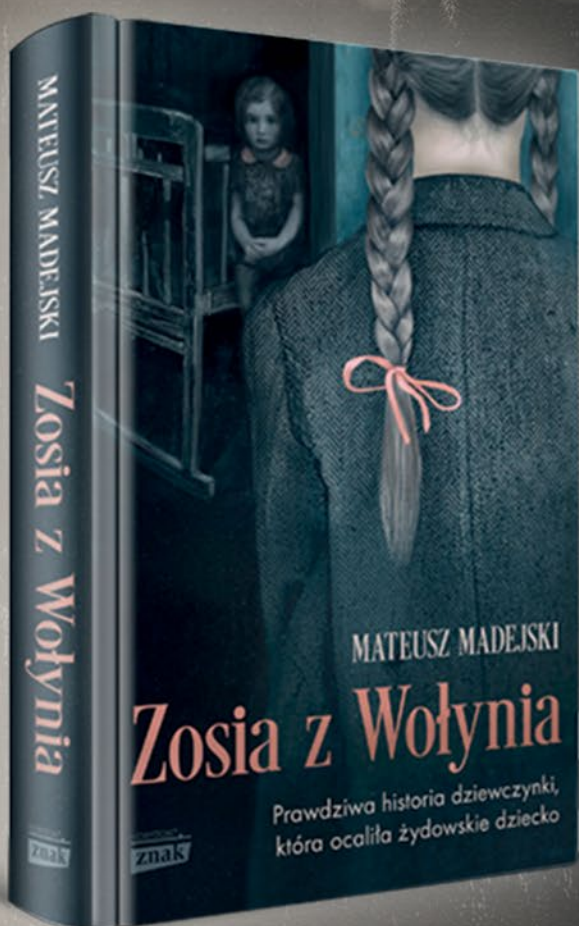
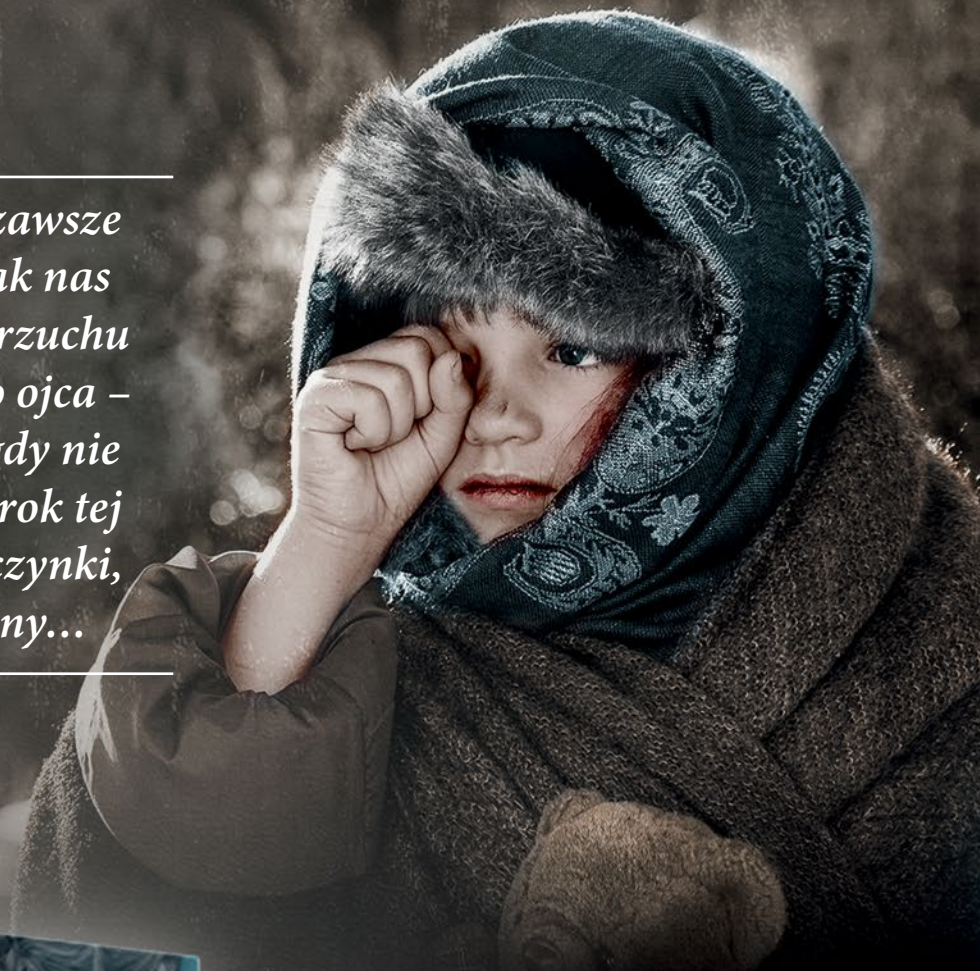
ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



9 772299 850000
Nakład: 59 000 egzemplarzy

Najgorsze chwile zawsze się pamięta. To, jak nas podpalili, jak na brzuchu doczołgałam się do ojca – do dziś to widzę, gdy nie mogę zasnąć. I wzrok tej żydowskiej dziewczynki, Inki. Taki błagalny...



Życie Zofii to historia
XX-wiecznej Polski
w pigułce – ucieczka przed
bandami UPA mordującymi
Polaków na Wołyniu,
uratowanie żydowskiego
dziecka, uniknięcie transportu
do Auschwitz i małżeństwo
z Żołnierzem Wyklętym.

PREMIERA 01.07.2020

**Sprawdzaj
wiarygodne
źródła:**

www.gov.pl/koronawirus
**Bezpłatna infolinia 24/7:
800 190 590**



Znoszenie ograniczeń

Odmrażanie gospodarki,
ale w rygorze epidemicznym

W III etapie znoszenia ograniczeń w funkcjonowaniu gospodarki i placówek publicznych zostaje przywrócona działalność zakładów fryzjerskich i kosmetycznych. Wraca dostępność restauracji, barów i kawiarni. W klasach 1-3 zostaje rozszerzona rola opiekuńczo-wychowawcza, a w klasach 8 i maturalnych możliwe będą bezpośrednie konsultacje z nauczycielami. Zwiększy się dostępność boisk, orlików i hal sportowych. W nabożeństwach będzie mogło uczestniczyć więcej wiernych. Wszystko jednak w rygorze bezpieczeństwa epidemicznego.

18.05

Usługi fryzjerskie i kosmetyczne
w sposób zapewniający bezpieczeństwo

17.05

Swobodne poruszanie dzieci do lat 13
Zmiana limitu osób w miejscach kultu religijnego



18.05

Działalność restauracji, kawiarni i barów

limit **4m2 na 1 osobę**, dezynfekcja stolików,
odległość **2 metrów** między stolikami



18.05

Zwiększenie limitu pasażerów

w środkach transportu publicznego przy zachowaniu
środków ograniczających rozprzestrzenianie COVID-19



18.05

Sport na otwartej infrastrukturze sportowej

max. 14 osób (+2 terenów) na otwartych obiektach, nowe zasady zajęć w halach sportowych
max. 22 osoby (+4 trenerów) na pełnowymiarowych boiskach piłkarskich,

25.05

**Opieka i zajęcia
opiekuńczo-wychowawcze**

możliwe w klasach 1-3 szkół podstawowych

25.05

**Konsultacje
z nauczycielami w szkołach**

obejmujące przedmioty zdawane na egzaminach i maturach



Więcej aktualnych informacji i zaleceń znajdziesz na: gov.pl/koronawirus



KPRM



**#Dbajmy
o siebie**

eprasa.pl bed06defa3



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Czas na normalność

Nareszcie – pomyślałem, czytając wpis wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego na temat tzw. konwencji stambulskiej. „Konwencja stambulska mówi o religii jako przyczynie przemocy wobec kobiet. Chcemy wypowiedzieć ten genderowski bełkot ratyfikowany przez @Platforma_org i @nowePSL. Opinia zagranicy nas nie interesuje. Dla nas podstawą jest suwerenne państwo narodowe”. Jeśli nie jest to element gry – tego w przypadku polityków nigdy całkiem wykluczyć nie można – wówczas oznaczałoby to, że polski rząd wreszcie robi to, co wynika ze zdrowego rozsądku i co powinno stać się już dawno:

Zgodnie z art. 12 ust. 1 „strony podejmą działania niezbędne do promowania zmian wzorców społecznych i kulturowych dotyczących zachowania kobiet i mężczyzn w celu wykorzenia uprzedzeń, zwyczajów, tradycji oraz innych praktyk opartych na idei niższości kobiet lub na stereotypowym modelu roli kobiet i mężczyzn”. Brzmi na początku dobrze i niewinnie, nieprawdą? Wyobraźmy sobie jednak, że słowa o walce ze „stereotypowym modelem roli kobiet i mężczyzn” zostaną interpretować wyposażone we władzę feministki. Łatwo wtedy się okaże, że np. tradycyjna i stereotypowa rola to rola matki. A więc dalej do dzieła: trzeba tak zmienić prawo i przepisy, żeby ten haniebny stereotyp kobiety jako matki zmienić. Jak? Wprowadzić zajęcia szkolne. Zmusić dzieci, żeby porzuciły swoje przyzwyczajenia. Chłopcy w sukienkach to nie żart – to konsekwencja ideologii.

Tak samo pozornie niewinne jest twierdzenie, że państwa mają walczyć z tradycjami i ze zwyczajami opartymi na „idei niższości kobiety”. Tylko o co w tym przypadku chodzi? Czy np. to, że kobieta nie może zostać księdzem, nie stanowi złamania tego zapisu? Wszystko zależy od interpretacji. A łatwo dziś znaleźć takich prawników, którzy wykażą, że brak dopuszczenia kobiet do kapłaństwa opiera się na „idei niższości kobiety”. Skoro równość ma być całkowita, to dostępność do wszystkich funkcji i ról społecznych też. Tym bardziej że w innym artykule religia pojawia się jako potencjalne źródło przemocy wobec kobiet.

I wreszcie w art. 6 czytamy: „Strony zobowiązują się uwzględnić perspektywę płci w toku wdrażania i oceniania wpływu postanowień niniejszej konwencji oraz zobowiązują się promować i wdrażać politykę równości kobiet i mężczyzn oraz umacniania samodzielnej pozycji kobiet”. Co to jest „perspektywa płci”? Kto będzie decydował, na czym

ona polega i czy jest zachowana? Dlaczego poza tym państwo ma angażować się we wspieranie „samodzielnej roli kobiet”, jakby nie było kobiet, a może jest ich zdecydowana większość, które swoją rolę widzą w życiu rodzinnym, jako żony i matki? Nie wiadomo też, jaki istnieje związek między zachowaniem tradycyjnej roli społecznej a przemocą. Z dokumentu wynika, że wszystko, co tradycyjne i naturalne, jest niebezpieczne. Biorąc pod uwagę obecne stosunki społeczne, może się okazać, że małżeństwo złożone z mężczyzny i kobiety to forma ucisku społecznego oraz patriarchalnej przemocy.

W lutym 2019 r. GREVIO, czyli komitet traktatowy Rady Europy odpowiada, czy państwa, które wdrożyły konwencję, opublikowały sprawozdanie na ten temat. Można w nim m.in. przeczytać, że w Salzburgu powstała Katedra Edukacji Neutralnej Płciowo, w Szwecji zwalcza się tradycyjne wzorce płciowe już na wszystkich stopniach edukacji szkolnej, a w Danii specjalna komórka rządowa bada, w jaki sposób biologiczna płeć ogranicza potencjał jednostek. Innych przypadków nie będę cytował, wiele ich można znaleźć w poświęconej temu analizie Ordo Iuris. Jak widać, młyny rewolucji miały powoli, ale konsekwentnie.

Gdyby się okazało, że rząd faktycznie gotów jest spełnić to, co zapowiada na razie jeden z wiceministrów, oznaczałoby to, że Polska odrzuca dyktat lewicowych radykałów. Wymaga to, w przeciwieństwie do wypowiedziania okragłych słówek, prawdziwej odwagi. Można się spodziewać, że lewicowe portale – co zresztą już było widać po ich pierwszych reakcjach – zrobią wszystko, żeby ten pomysł utopił. Wycie będzie wielkie. Mam nadzieję, że nieskuteczne. Konwencję trzeba po prostu wypowiedzieć. Im szybciej, tym lepiej. ©

RYSUNEK TYGODNIA



wypowie wyjątkowo niebezpieczną i motywowaną ideologicznie umowę międzynarodową. Polska przyjęła ją w 2015 r.

Podobnie jak w przypadku innych działań lewicy tak i tu za piękną fasadą skrywa się wyjątkowo niebezpieczna treść. Fasadą, czyli deklarowany cel, to walka z przemocą wobec kobiet. Rzecz bezdyskusyjnie słuszna. To właśnie dzięki swojej „antyprzemocowości” umowa ta zdobyła tak szerokie uznanie. A cel prawdziwy? Najdokładniej widać go w kilku artykułach.



TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI

ADWOKACI NORMALNOŚCI

Historia konserwatywnego think tanku

KRAJ

20 PIOTR SEMKA

GRZAŚKA DROGA DO WYBORÓW

Kampania w nowych warunkach

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

KRUCJATA NA RÓWNI POCHYLEJ

26 ŁUKASZ WARZECHA

SZYMON HOŁOWNIA – TYMIŃSKI 2.0?

28 ROZMOWA

Z JOLANTĄ TURCZYNOWICZ-KIERYŁO

DECYZJĘ O REZYGNACJI PODJĘŁAM SUWERENNIE

32 ŁUKASZ ZBORALSKI

POLSKA SAMOPOMOC

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

WYPOCZYNEK NA SWOIM



KULTURA

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK

DO KRWI OSTATNIEJ

Narodziny kina grozy

40 PIOTR GOCIEK

WUHAN I INNE KATASTROFY

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

47

100. ROCZNICA URODZIN

ŚW. JANA PAWEŁA II

OPINIE

62 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

JUTRO, KTÓREGO NIE BĘDZIE

Fragment nowej książki „Cham niezadowolony”

64 ROZMOWA Z PIOTREM TRUDNOWSKIM

MORAWIECKI

– NOWOCZESNY KONSERWATYSTA?

HISTORIA



68 PIOTR ZYCHOWICZ

MOSKWA: POLITICUM MYSTICUM

Między Wschodem a Zachodem

ŚWIAT

72 KRYSZTOF KRATYK

GŁOS WOŁAJĄCYCH NA PUSTYNI

List w obliczu pandemii

74 PIOTR WŁOCZYK

RADA NADZORU MYŚLI

76 WITOLD REPETOWICZ

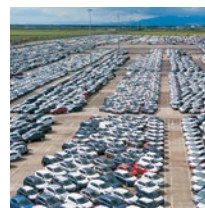
RASIŃCI LEPSI I GORSI

EKONOMIA

80 JACEK PRZYBYLSKI

SAMOCHÓD NA WYNOS

Wirus przyhamował
branżę motoryzacyjną



84 TOMASZ CUKIERNIK

TANAJNO – CZYLI KTO?

86 JAKUB WOZINSKI

FARMACEUTYCZNE ZŁOTE ŻNIWA

O ZDROWIU

90 ROZMOWA

Z GÁBOREM SZTANISZLÁVEM

AMGEN POMAGA WALCZYĆ Z KORONAWIRUSEM

Jak ulepszyć system opieki
zdrowotnej po COVID-19?

92 KATARZYNA PINKOSZ

OSTEOPOROZA JAK ZAWAŁ

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (67), PRZYBYLSKI (71), GABRYEL, WARZECHA (88), KOMUDA (94), ZALEWSKI, MAKOWSKI (97), ROSZKOWSKI (98)

Drodzy Czytelnicy!

Dziś o „500+” w kontekście tekstu Łukasza Warzechy sprzed tygodnia. Publikujemy list i odpowiedź autora. Przypominamy nasz adres e-mailowy – listy@dorzeczy.pl – i tradycyjnie zachęcamy do przysyłania korespondencji.

„Co dalej z »500+«”, Łukasz Warzecha, „DRz” 20/2020

Po lekturze tekstu „Co dalej z »500+«” trudno mi pozostawić przedstawione przez p. red. Warzechę tezy bez komentarza.

1) Pan Warzecha pisze: „Właśnie teraz jest moment idealny, żeby do końca przeglądu »500+«”.

W mojej opinii trudno o gorszy moment na taki „przegląd”. Po pierwsze, program „500+” znacząco wspiera popyt wewnętrzny, który w obecnej sytuacji wydaje się kluczowy dla redukcji skutków kryzysu. Spodziewamy się wyhamowania gospodarki niemieckiej, czego skutkiem będzie spadek polskiego eksportu. Na to oczywiście nie mamy wpływu. Ale od dramatycznego spadku samego eksportu gorsze jest jednocześnie załamanie eksportu i popytu wewnętrznego. Jeśli tego właśnie chcemy, to faktycznie „przegląd” „500+” jest świetnym pomysłem.

Trudno przy tej okazji nie nadmienić, że przedłużająca się stagnacja w Grecji jest bezpośrednim skutkiem polityki „zaciskania pasa”, opierającej się na tej samej logice co postulaty „przeglądu »500+«”.

Ponadto, abstrahując od argumentów makroekonomicznych, „500+” jest istotnym elementem budżetów domowych, wspiera ich stabilność i płynność finansową. Zabranie rodzinom tego świadczenia w momencie wzrostu bezrobocia byłoby ciosem w plecy dla obywateli Polski.

2) Pan Warzecha pisze: „Kosiniak-Kamysz, który wspomina o dobrowolnym ZUS dla przedsiębiorców – co jest akurat dobrym [...] pomysłem”.

Obrażałbym wiedzę i inteligencję pana Warzechy, zakładając, iż nie ma on świadomości, że składki na ZUS to w istocie pokrywanie na bieżąco (i to nie w pełni!) emerytur, które obecnie, w tej chwili, otrzymują najstarsi obywatele Polski. Nie widzę żadnego powodu, dla którego osoby prowadzące działalność gospodarczą miałyby być zwolnione z obowiązku zapewnienia bytu obecnym osobom starszym, jak gdyby sam fakt założenia firmy zwalniał z odpowiedzialności za tych, którzy swoje już dla Polski wypracowali. Czy pan Warzecha sądzi inaczej?

Z poważaniem
Marek Balcerzak



Duży Jarek Mały Jarek

Od autora

Przegląd „500+” to nie to samo co rezygnacja z „500+”. Przegląd oznacza sprawdzenie efektywności i tego, czy na pewno każdy, kto dziś to świadczenie dostaje, musi je dostawać. Ponadto w warunkach złej koniunktury redystrybucja nie zwiększy popytu wewnętrznego, bo ludzie mają wtedy skłonność do oszczędzania.

Składka ZUS formalnie funkcjonuje na zasadzie: płacimy, bo korzystamy sami, a nie jako zwykły podatek na tych, którzy już nie pracują. To od przedsiębiorcy powinno zależeć, czy chce składkę płacić i w zamian korzystać z tego, co daje państwo, czy nie.

Łukasz Warzecha



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
i zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (i sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyr, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojarczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chelminiak,
Dominika Cioś (Bruksela), Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr
Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Jakub
Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa
Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Matkowska,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka
Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold
Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sekowski, Joanna
Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej
Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Jakub Wozniński,
Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz
Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Blanka Aleksowska,**
Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibińska, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakorzeński

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz,**
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa**

Okładka: **Adobe Stock; oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 59 tys. egzemplarzy

DRIUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detailed ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością
karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułów tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PZU pomaga w walce z pandemią

Innowacyjne „opaski życia” ułatwiają opiekę nad chorymi na COVID-19, nowoczesne namioty barierowe chronią przed zakażeniem innych pacjentów oraz personel szpitali, a zastosowanie telemedycyny ogranicza ryzyko rozprzestrzeniania się koronawirusa

OPASKI ŻYCIA

PZU, we współpracy z Ministerstwem Zdrowia, przekazuje szpitalom niemal tysiąc tzw. opasek życia. Zakładane na rękę elektroniczne urządzenia dokonują automatycznych pomiarów pulsu i temperatury ciała pacjenta, a także saturacji, czyli nasycenia krwi tlenem. Natychmiast analizują one otrzymane wyniki i w przypadku wykrycia zagrożenia za pomocą sygnału dźwiękowego oraz komunikatu na ekranie komputera alarmują personel medyczny.

– Sięgamy po najnowocześniejsze technologiczne rozwiązania, żeby chronić zdrowie i życie zarażonych. Opaski życia pomogą personelowi medycznemu w opiece nad chorymi. Pozwolą skuteczniej monitorować stan ich zdrowia i umożliwią szybką reakcję w krytycznych sytuacjach – mówi prezes PZU Beata Kozłowska-Chyła. – Mamy wyjątkową szansę przetestować nowe rozwiązania w ochronie zdrowia – podkreśla wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński.

Pokryte gumą opaski łatwo dezynfekować, a więc mogą służyć kolejnym pacjentom bez ryzyka, że ulegną oni zarażeniu. Opaski nie potrzebują też częstego ładowania, co pozwala ograniczyć bezpośrednie kontakty personelu medycznego z chorymi. – Opaski mają nie tylko wspomagać pracowników szpitali w sprawnej opiece nad coraz większą liczbą pacjentów, ale też chronić ich samych. Zdalne monitorowanie stanu zdrowia chorych zmniejsza ryzyko zakażenia się wirusem przez lekarzy i pielęgniarki, którzy z poświęceniem walczą z pandemią – podkreśla prezes PZU Życie Aleksandra Agatowska.

Certyfikowane medycznie opaski zdały już egzamin w ramach pilotażowego projektu, realizowanego przez PZU we współpracy z Ministerstwem Zdrowia od jesieni zeszłego roku w Mazowieckim Szpitalu Wojewódzkim w Siedlcach. – W związku z pandemią przyspieszyliśmy działania, żeby wprowadzić je na większą skalę. W błyskawicznym czasie zorganizowaliśmy ich produkcję, dzięki czemu będziemy mogli dostarczyć do szpitali aż 900 opasek – mówi członek zarządu PZU Życie Dorota Maciejka. Jak dodaje, urządzenia o wartości miliona złotych trafią do tzw. jednoimiennych szpitali zakaźnych, które opiekują się zarażonymi koronawirusem.

NAMIOTY BARIEROWE

Przed zakażeniem personel szpitali oraz innych pacjentów chronią również tzw. namioty barierowe, które szczelnie odgradzają chorego od otoczenia. Autorem innowacyjnego pomysłu jest dr Marcin Kaczor, kierownik Centrum Symulacji Medycznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, specjalista z dziedziny anestezjologii i intensywnej terapii.

– Najbardziej niebezpieczne są sytuacje, kiedy mamy kontakt z drogami oddechowymi osoby zakażonej. Samo podejście do pacjenta, bez odpowiednich środków ochronnych, wiąże się ze zwiększonym ryzykiem zakażenia – dla personelu medycznego i innych osób. Ryzyko gwałtownie rośnie, gdy pacjent nie oddycha samodzielnie i konieczna jest intubacja. Ale dla lekarzy to codzienność. W naszej pracy bezpośredni kontakt z pacjentem jest nieunikniony – mówi dr Marcin Kaczor. Stąd pomysł na skuteczne, tanie i szeroko dostępne zabezpieczenie w postaci nowoczesnego namiotu, który pokryty jest przezroczystą folią, a po bokach ma śluzę, przez którą lekarz czy pielęgniarka mogą włożyć ręce, aby przeprowadzać zabiegi medyczne.

– Namiot barierowy umożliwia całkowite odseparowanie się od wirusów i zapobiega rozprzestrzenianiu się pandemii. Jego powłoka chroni inne osoby przed zakażeniem, a jednocześnie pozwala lekarzom na przeprowadzanie wszystkich niezbędnych zabiegów medycznych – wyjaśnia dr Kaczor, dodając, że namioty opracowano w dwóch wersjach: jedna

do opieki nad pacjentami w szpitalu, a druga dla pogotowia ratunkowego, do bezpiecznego transportu chorych.

Namioty barierowe rekomenduje konsultant krajowy w dziedzinie medycyny ratunkowej, prof. Robert Ładny, a Ministerstwo Zdrowia zamówiło ich już kilka tysięcy. Co ważne, namioty szyją i kleją polskie firmy, które są w stanie dostarczać nawet kilka tysięcy namiotów dziennie.

Pieniądze na zakup kolejnych nowoczesnych namiotów barierowych zbierają również pracownicy spółek Grupy PZU, Pekao, Alior Banku i Link4. Do każdej zebranej złotówki spółki Grupy PZU dołożą drugą.

ZAPOBIEGAĆ I CHRONIĆ

– Wykorzystanie przez PZU nowoczesnych technologii zapobiega rozprzestrzenianiu się koronawirusa, służy ochronie personelu medycznego oraz pacjentów – mówi Dyrektor Biura Prewencji i CSR Joanna Gorczyca. Największy polski ubezpieczyciel finansuje także zakup rękawiczek ochronnych dla placówek zdrowotnych oraz kombinezonów, maseczek, rękawiczek i środków dezynfekcyjnych dla funkcjonariuszy policji i Straży Granicznej. Wsparł też Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego – Państwowy Zakład Higieny w doposażeniu linii diagnostycznej do badań laboratoryjnych na obecność koronawirusa, co ma umożliwić skrócenie czasu oczekiwania na wyniki tych badań.

Jak się chronić przed zakażeniem

PZU przypomina o zachowaniu podstawowych zasad bezpieczeństwa:

- przed wyjściem z domu zakładaj maseczkę ochronną i rękawiczki ochronne
- często myj ręce wodą z mydłem
- zasłaniaj usta łokciem podczas kaszlu
- nie dotykaj oczu, nosa i ust
- zachowaj bezpieczną odległość od innych osób (2 m)
- unikaj skupisk ludzi
- nie opuszczaj domu, jeśli nie jest to konieczne

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pocztówka sprzed wieków



PIOTR SEMKA

To był świat w zupełnie starym stylu – te słowa dawnego szlagieru przypominały mi się niedawno, gdy media odnotowały 30. rocznicę powstania Porozumienia Centrum – partii, od której Jarosław Kaczyński rozpoczął swą polityczną karierę. Traf chciał, że byłem 12 maja 1990 r. na pierwszym zjeździe Porozumienia Centrum jako dziennikarz „Tygodnika Gdańskiego”. Dzisiaj pamiętam to wydarzenie jako hałaśliwy i chaotyczny sejmik szlachecki.

Kaczyński po latach noszenia tak lubianych w solidarnościowym świecie swetrów męczył się noszeniem garnitur. Niedopięty ostatni guzik koszuli, krawaty dobierane przez sekretarki – nie wyglądało to wtedy najlepiej. Jednak sala była pełna i huczało w niej jak w ulu. Przy dzisiejszych wyreżyserowanych konwencjach PiS zjazd PC był chaosem powstającej dopiero demokracji partyjnej.

Pół roku przed zjazdem Kaczyński spędził, zmuszając objeżdżając miasta i miasteczka w poszukiwaniu chętnych do nowej formacji politycznej. Miała to być umiarkowana partia, która przejęłaby tę część ruchu Solidar-

ności, która szanowała tradycję, ale – jak to wtedy mówiono – „nie chce tkwić w kruchcie”. Ten język nie dziwił w sytuacji, gdy największym konkurentem „Kaczora” było wtedy wychylone ku tradycji endeckiej Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe z Wiesławem Chrzanowskim na czele.

Sięgnięcie po hasło „centrum” było wtedy sprytnym chwytem. Pamiętam, jak jeden z dziennikarzy „Tygodnika Powszechnego” jako fan Tadeusza Mazowieckiego mówił wówczas ze złością: „Zagapiliśmy się i zwinęli nam sprzed nosa ten atrakcyjny termin”. Były to czasy, gdy lewica kojarzyła się z nieboszczką PZPR, a określenie prawica budziło jeszcze pewien opór u wielu ludzi. W modzie były powoływanie się na tradycje ruchu Solidarności i wiara w Lecha Wałęsę. Michnik zlekceważył zrazu Porozumienie Centrum. Widział w nim raczej jakąś intrygę Wałęsy wobec rządu Mazowieckiego. Szybko jednak docenił Kaczyńskiego i zwalcza go do dziś.

Kaczyński zebrał na pierwszym zjeździe PC ludzi, z którymi działa do tej pory, takich jak np. Adam Glapiński czy Krzysztof Czabański,

ale i wielu politycznych dziwaków. Przez kolejne lata będzie pracować odsiewać ich ze swojej partii.

Ówczesna partia Kaczyńskiego w porównaniu z dzisiejszymi czasami była pluralistyczna. Wyróżniano nurt związkowy, chadecki. Kto dziś pamięta, że Kongres Liberalów, w którym Donald Tusk jeszcze nie grał pierwszych skrzypiec, był aż do końca 1990 r. w orbiście PC?

A jednak z tego chaosu narodził się trzon późniejszego PiS. To byli ludzie, na których bracia Kaczyńscy budowali cierpliwie latami swój obóz polityczny. Lata mijały, a kolejni rywale do roli lidera prawej strony odpadali. Aleksander Hall, Bronisław Komorowski, Jan Rokita, Wiesław Walendziak, Marian Krzaklewski, Roman Giertych. Kaczyński ich wszystkich przeczekał.

Dzisiaj, trzy dekady po założeniu PC, wszyscy zastanawiają się, jak długo Kaczyński będzie jeszcze tym politycznym czarodziejem, który zawsze wyciąga z trudnych sytuacji swój obóz. I w kim widzi swojego następcę? A może PiS będzie jak ruch gaullistów? Może będzie fenomenem tylko jednego człowieka? ©



WŁODZIMIERZ NIDERHAUS (1944–2020)

8 maja, w wieku 75 lat, zmarł Włodzimierz Niderhaus, od 30 lat dyrektor Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych w Warszawie, związany z WFDF od 1970 r. Produkcował bądź koprodukcował ok. 200 filmów dokumentalnych i fabularnych, m.in. „Różę” (film zdobył Grand Prix Orły 2012 oraz Grand Prix Warsaw Film Festival), „Różyczkę” (nagrodzona Złotymi Lwami na 35. FPFF w Gdyni), „Komornika”, „Generała Nila”, „Rewers”, „Małą maturę 1947”, „Ostatnią misję”. Jednym z ostatnich, nad którymi pracował, był film „Zieja” – o ks. Janie Ziei, kapelanie Szarych Szeregów i współtwórca Komitetu Obrony Robotników.

Włodzimierz Niderhaus otrzymał liczne nagrody i wyróżnienia, m.in. Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi dla kultury narodowej i złoty medal „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis”. W swej pracy szczególną troską otaczał młodych twórców. – Odszedł nagle, w pełnym biegu, jak zawsze planując kolejne działania i produkcje. W jednej z naszych ostatnich rozmów zażartowałem, że na Chełmskiej Niderhaus był, jest i będzie. I to prawda, bo jego dorobek zawsze nam będzie o nim przypominać – wspomina Włodzimierza Niderhaus wicepremier, minister kultury prof. Piotr Gliński. (raw) ©

DZIENNIKARSKI POKER



Zapraszają:

Adrian Stankowski
Dorota Kania
Tomasz Sakiewicz

od **poniedziałku**
do **środy**
19:00

oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Celebrytan w kagańcu

Katarzyna Błazejewska-Stuhr, żona znanego z politycznego zaangażowania aktora, oznajmiła w Internecie, że „nakłada mężowi kaganiec” i że czyni to, bo „boi się o niego” i rodzinę. Owszem, pani Katarzyna „podziwia odwagę” męża i uważa jego wypowiedzi za niezwykle wyważone, kulturalne i merytoryczne, a jeśli my

niechęci, dostaje w dzień i w nocy telefony z pogrózkami, słyszy też wyzwiska, gdy pojawi się na stacji benzynowej albo w sklepie, nawet z dziećmi. Dość, basta, powiada w tej sytuacji ślubna i ogłasza, że dała małżonkowi szlaban na wypowiadanie się o wyborach i o PiS. Jakimi sankcjami go obwarowała, nie informuje, ale kobiety mają swoje sposoby.

Biorąc za dobrą monetę twierdzenia żony, że niechęć okazwana jej mężowi przekraczała akceptowalne granice krytyki, po ludzku oczywiście współczuję i wyrażam ubolewanie. Ale jako komentator polityczny nie mogę nie zacytować: „Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało”.

Ironia sytuacji polega na tym, że zarówno pan Stuhr, jak i inni Dyndałowie, którzy zaangażowanie w zwalczanie PiS i jego wyborców przypłacili utratą niezbędnej w ich zawodzie

sympatii, wleźli w to z głębokim przekonaniem, że „nadawanie” na tę władzę, wklejanie sobie w awatary tęcz, dzików i bananów tudzież popisywanie się po pudełkach mądrościami o „zakompleksionym, nienawistnym dyktatorku” to będzie fajny, pewny i bezpieczny lansik. Że im to świetnie zapunktuje, no bo przecież „wszyscy” tego PiS nienawidzą. Wszyscy, owszem – ale w „bańce”, w której celebryci żyją. Kiedy trzeba z tej bańki wychynąć i popatrzeć w oczy tej polskiej „hołocie kupionej za pińćset”, to lansik – jak się okazuje – daje skutek odwrotny do zamierzonego.

Czy żonina kagańcoterapia odbuduje przesunięty ku politycznemu hejterstwu wizerunek aktora? Zobaczymy. Jeśli nie wystarczy, to zawsze może jeszcze skorzystać z rady Antoniego Słonimskiego i wrócić „do budy”. ©

Jako komentator polityczny nie mogę nie zacytować: „Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało”

ich tak nie odbieramy, to tylko dlatego, że „wpadły w medialny młyn”, który zrobił z nich to, co państwu się ze Stuhrem juniorem kojarzy. Ale wskutek swego zaangażowania pan Maciej spotyka się z licznymi wyrazami



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Postępująca rusyfikacja

Na Mierzeję Wiślaną wjechała ciężka sprzęt, a rząd PiS realizuje pełną parą zaplanowany przekop Mierzei – alarmował bliski opozycji portal OKO.press.pl, a grupa skrajnie lewicowych aktywistów złożyła skargę do Komisji Europejskiej. Niby nic, dzień jak co dzień w świecie opozycyjnych frustracji. Sęk w tym, że media społecznościowe, potężny nośnik narracji, podchwyciły opowieść wspomnianego portalu, że aj-waj Polska robi to bez porozumienia z KE! Czyli wicie, rozumiecie, faszyści robią polexit! Narracja totalnie szkodliwa, odzwiercie-

dlająca toczka w toczkę przekaz rosyjskiego rządu, który domagał się w tej właśnie wewnętrznej sprawie Polski interwencji KE, sprzedając medialnie opowieść o rzekomym ekologicznym zagrożeniu.

Gdyby Putin miał otwierać flaszkę za każdym razem, gdy pożyteczni idioci, chcąc uderzyć w polski rząd, powielają jego propagandę, nie trzeźwiałby ani na moment.

Niestety, to działa. Jakiś czas temu IPN i polskie władze rozpoczęły demontaż sowieckich obelisków. Zagotowało się w Rosji, a tamtejsze media

powieliły – wykorzystując także głosy niektórych opozycjonistów w Polsce – opowieść o rzekomym niszczeniu rosyjskich cmentarzy wojennych. Kiedy Rosjanie zdemontowali w Twerze tablice upamiętniające ofiary zbrodni katyńskiej, pod informacją o tym na jednym z polskich portali historycznych odezwali się zadowoleni... Polacy. Przekonujący, że polska wina, bo nasze instytucje niszczą rosyjskie cmentarze. Bzdura totalna, ale rosyjska narracja podparta enuncjacjami opozycji wbiła się niektórym do głowy. Ot, taka rusyfikacja mózgu. ©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Pożegnanie z Afryką

Pochodząca z Mediolanu Silvia Romano ze szlachetnej potrzeby serca postanowiła z pomocą innym uczynić cel swego życia. Po skończeniu studiów za sprawą pozarządowej organizacji Africa Milele Onlus pojechała do wsi Chakama w Kenii, gdzie opiekowała się sierotami. Półtora roku temu 23-letnią dziewczynę, pozostawioną przez organizację samą sobie, porwali kenijscy przestępcy i sprzedali somalijskiej islamskiej organizacji

dobrowolnie przeszła na islam i teraz nazywa się Aisza, a jej strażnicy traktowali ją dobrze. W ten sposób celebra stała się również spotem reklamowym islamistów na ziemi włoskiej.

W Italii rozpętało się piekło i pod adresem zdezorientowanej dziewczyny padło wiele haniebnych słów. Podnoszono, że państwo włoskie, które zawsze płaci okup za swoich porwanych obywateli, stało się bankomatem terrorystów islamskich, a nawet – że Silvia sama sobie napytała biedy,

więc powinna ponieść wszystkie konsekwencje. Generalnie jednak powrót dziewczyny do domu wzbudził ogromny entuzjazm i był jednym z niewiele powodów do radości Włochów pogrążonych w koronawirusowym kryzysie.

We wszystkim oburza jedno – to, jak Africa Milele Onlus mogła wy-

wieźć dziewczynę do sierocińca do jakiejś dziury w Kenii przy granicy z Somalią i pozostawić tam samą, wiedząc, że szczególnie Włosi i Włoszki są dla wszelkiej maści przestępców na Bliskim Wschodzie i w Afryce cenną zwierzyną łowną. Czy to aby nie państwo włoskie, ale organizacja pięknoduchów powinna zapłacić okup islamistom, a przynajmniej stuknąć się w głowę i pokajać? ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Ucz się niewieckiego, bo
przyjdzie Zaradkiewicz i ...



terrorystycznej. Włoskim służbom specjalnym we współpracy z tureckimi i somalijskimi udało się nawiązać kontakt z islamistami w Somalii i dziewczynę wykupić. Mowa o 2–4 mln euro. 10 maja włoski samolot wojskowy przywiózł Silię na rzymskie lotnisko Ciampino. Na płycie oczekiwał premier Giuseppe Conte. Silvia wysiadła szczerze spowita w zieloną islamską szatę. Miała wyjaśnić, że



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Co to ja zatweetowałem?

Na Twitterze nic nie ginie i czasem zamiast komentarza wystarczy zestawić wpisy. Niech skomentują się same. „Koniec komunizmu »ogłosiła« w telewizji aktorka – Pani J. Szczepkowska. Koniec demokracji w telewizji ogłosiło dwóch Jarosławów – Kaczyński i Gowin. 7 maja 2020 r. skończyła się w Polsce demokracja” – Kamila Gasiuk-Pihowicz, 7 maja 2020 r. „Jeśli ustawa o #KRS zostanie przyjęta, to będzie oznaczać ostateczny koniec trójpodziału władzy, koniec demokracji i początek budowy autorytaryzmu” – ta sama Kamila Gasiuk-Pihowicz, ale 7 marca 2017 r.

„Setki zachorowań, 40 trupów. No to jedziemy z wyborami, bo Jarus ma taki kaprys” – Tomasz Lis, 24 marca 2020 r. „Moje córki miały dziś pierwszy raz w życiu głosować w wyborach prezydenckich. Niestety wujek Jarus zdecydował, że wciąż jest na to za wcześnie” – ten sam Tomasz Lis, 10 maja 2020 r. „Nie wiadomo, jakie warunki epidemiologiczne będą 4 czerwca, ale czy nie nadchodzi czas na dużą, obywatelską manifestację? Jest przeciw czemu protestować, jest czego się domagać” – ponownie szef „Newsweeka”, ale już 12 maja.

„Wybory prezydenckie nie odbędą się w maju. Naraziłoby to na ryzyko utraty zdrowia i życia tysięcy ludzi” – Donald Tusk, 21 marca 2020 r. „Fajna sprawa, takie wybory. Było, minęło. Ale jeszcze wróci. Zdjęcie (niestety) archiwalne” – również Donald Tusk, 10 maja. Na koniec złożony z czterech tweetów „kącik społecznej empatii”.

„A teraz wyobraźcie sobie taką sytuację, że prezydent pewnego państwa włącza się w raperską akcję i linkuje do internetowej zbiórki hajsu, która powstała, bo pewne państwo jest z kartonu i obywatele muszą je ratować, chociaż już zapłacili podatki” – napisał Wojciech Engelking. „No chyba, że słuszny Komorowski czy inny Kwaśniewski popiera Owsia. Wtedy jest fajna Polska i Ozeł morze” – odpowiedział mu Jacek Łęski.

„Prezydent Andrzej Duda właśnie otwiera na Facebooku jakąś stację kolejową” – zauważył z kolei Bartosz Węglarczyk. „A później reportaże »Przystanek: Polska« i wielkie oczy, jak wygląda kraj poza Warszawą. Dla wcale niemałej grupy ludzi nowy peron we wsi to jednak duża rzecz” – spuentował Karol Darmoros. ©©

NIEPRAWDZIWY ŚWIAT KTOŚ TU ODLECIAŁ

Aktorka Marta Żmuda-Trzebiatowska postanowiła zrobić coś dobrego dla polskiej młodzieży i w tym celu pokazała się w Internecie bez makijażu na twarzy. Tłumaczy, że w ten sposób chce dotrzeć do „współczesnych nastolatków” i poprawić ich samoocenę. – Kochane. Im jesteśmy starsze, tym bardziej dociera do nas, że zbyt wiele czasu zajmuje nam spełnianie oczekiwań innych i przeglądanie się w ich oczach oraz przejmowanie zdaniem ludzi, którzy niewiele dla nas znaczą [...]. Dziewczyny, bądźcie dla siebie łagodne i nie wierzcie tym wszystkim „wyphotoshopowanym” zdjęciom z Instagrama czy Facebooka – apeluje aktorka.

– Od czasu do czasu lubię tu wrzucić takie zdjęcie kompletnie sauté: bez make-upu, bez filtrów. Myślę, że w obecnych czasach bardzo potrzeba pokazywać swoją prawdziwą twarz. Ja robię to z myślą o współczesnych nastolatkach, bo wiem, jak im ciężko dojrzewać w instagramowym, nieprawdziwym świecie – tłumaczy celebrytka. Łatwo mówić, trudno jednak z tego świata zrezygnować. Czego ona sama jest najlepszym przykładem.

BEZ KALKULACJI?

Związek muzyka Barona i pisarki powieści erotycznych Blanki Lipińskiej to coś, czym od kilku tygodni żyje cały show-biznes. Para jest razem od niedawna, ale na bieżąco informuje świat o swoim uczuciu, dzieląc się zdjęciami i relacjami z przebywanej wspólnie domowej kwarantanny. Teraz postanowiła pójść o krok dalej. Baron udzielił długiego wywiadu magazynowi „Gala”, gdzie opowiedział o swoim związku z Blanką. „Dużo wcześniej ześwirowałbym, gdybym siedział sam. Blania jest dla mnie ukojeniem” – mówi Baron. Dodaje, że nie spodziewał się takiego zainteresowania swoim nowym związkiem. „Gdy poznaliśmy się i rodziło się między nami uczucie, to nie myślałem o tym w ogóle, nie kalkulowałem, czy to jest korzystne, czy nie” – wyznaje. Muzyk zdradza też, że bołą go komentarze, iż jego kolejne związki to wynik showbiznesowej kalkulacji. „Bolało mówienie, że związki są to skalkulowane akcje mojego menedżera po to, żeby wypromować siebie bądź tę drugą stronę. Nikt nie wierzył, że takie osoby mogą poczuć coś do siebie” – przyznał. Cóż, niełatwo w to uwierzyć, gdy każdy związek zaczyna się relacją w Internecie. Kończy zresztą też.



FOT. RADOŚĆ WIAKROCKI/FOTOFORUM

W wywiadzie Barona ciekawsze od jego wynurzeń na temat związku z pisarką powieści erotycznych były jednak refleksje dotyczące koronawirusa. Okazuje się, że Baron należy do tego samego klubu co Edzia Górniak i w szkodliwość wirusów nie wierzy. „Wydaje mi się, że największym wirusem, który dotyka nas wszystkich, jest propaganda i informacja. Te wirusy były od zawsze, więcej ludzi zdzięsił wirus HIV. To jest cykliczna sprawa. Informacja jest taka, że trzeba zrobić lockdown na cały świat. Jest to informacja przepompowana. Wiem to z moich źródeł” – zdradza. „Wszystkie choroby wewnętrzne, rak, problemy ze skórą, to się zaczyna od twojej głowy. Wiem, że ten wirus mnie nigdy nie dosięgnie, bo dbam o siebie i medytuję” – przekonuje Baron. Na koniec wywiadu Baron wyznał, że jego największym marzeniem jest lot w Kosmos. Niech leci jak najszybciej. Razem ze swoimi mądrościami. I Blanią.

BOTOKS TO NIE CHEMIA

Skoro padło już nazwisko Edzi Górniak, to wypada rozwinąć temat. Otóż znana piosenkarka udzieliła obszernego wywiadu telewizji wRealu24, gdzie oświadczyła, że cała pandemia to jeden wielki spisek, służący temu, by zaszczepić cały świat. Se-rio. – Jakiś jest cel, żeby ludzi zastraszyć. Myślę, że chodzi o to, żeby zrobić szczepienia – stwierdziła. I od razu zadeklarowała, że ona nigdy w życiu zaszczepić się nie da. Nie, i koniec. – Dopóki żyję, nie dam się zaszczepić. Jeśli to będzie przymusowe, to przysięgam, jak tutaj stoję, że wolę odejść z tego świata, niż dać komukolwiek wstrzyknąć w mój organizm cokolwiek, czego ja nie znam i nie posiadam wiedzy, żeby pójść do laboratorium i analitycznie sprawdzić, co zostaje wprowadzone do mojej krwi – zadeklarowała. – Ja zawsze byłam przeciwna chemii – dodała. To widać na pierwszy rzut oka. Zwłaszcza po twarzy.

TO NIE ALKOHOL, NIESTETY

Tymczasem „Super Express” donosi, że z powodu panującej epidemii Edzia odstawiła nawet alkohol. Mówi, że chce mieć pełen ogłód sytuacji, a picie alkoholu jej to utrudnia. – Ja lubię mieć bardzo silną intuicję. A ona jest silna, jeśli nie jest zagłuszona alkoholem, więc ja przestałam w ogóle. Nawet jak lubiłam tę lampkę wina, to teraz już nie, bo chcę mieć bardzo trzeźwy, jasny umysł, żebym mogła służyć radą, pomocą, pocieszeniem – deklaruje. Czyli jest gorzej, niż myśleliśmy. Bełkotu Edzi nie da się nawet na alkohol zrzuć. ©©



FOT. PAMEŁ GROMIDA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, skoro wybory się nie odbyły, opowiemy wam o tym, jaki zrobiliśmy performans. Otóż, w geście protestu przeciwko temu zamachowi na demokrację postanowiliśmy wydrukować taką niby kartę wyborczą, na której jedynym

Zupełnie nie rozumiemy tego oczekiwania Polaków na otwarcie salonów fryzjerskich i kosmetycznych. Przecież wszyscy normalni postępowi obywatele Europy wiedzą, iż Polacy są nieuczesani, zaniedbani, brzydko pachną i źle się ubierają.

w akompaniamencie dobrej whisky proponują nam jedną z katalogu kilkudziesięciu fryzur, dzięki którym będziemy wyglądali tak samo oryginalnie jak kilkadziesiąt innych osób w naszym korpo (jak już skończymy home office of kors), ale przynajmniej zapłacimy kilka razy drożej. No i nasze modne fryzury wkurzą przeciętnego janusza z podkarpacia, o tym aspekcie nie wolno zapominać!



kandydatem była konstytucja. Następnie zaznaczyliśmy przy niej świecki krzyżyk i wrzuciliśmy kartę publicznie do pojemnika na psie odchody.

Niestety z powodu zachowywania dystansu społecznego chyba nikt się nie zorientował, iż prowadzimy protest przez wielkie P i nasza akcja przeszła bez medialnego echa. W związku z tym musimy chyba zredefiniować i przemysłać na nowo kolejne formy protestu.

Tymczasem rząd otwiera zakłady fryzjerskie i panuje w związku z tym wielkie poruszenie. A przecież przeciętny mieszkaniec tego kraju równie dobrze mógłby się ostrzyć w domu od garnka i nikt by nie zauważył różnicy. Albo „krótko z przodu, długo z tyłu i wąsy na przedzie”. Naprawdę do tego potrzebny jest wykwalifikowany fryzjer?

My of kors nie czekamy na „zakłady fryzjerskie”, ale na barberów, którzy

Nasi zachodni sąsiedzi otworzyli właśnie 100 km autostrady przeznaczonej tylko dla rowerów.

Podoba nam się to po pierwsze ze względu na fakt, iż będzie to strefa wolna od samochodów, a po drugie, iż nazwa „autostrada dla rowerów” dekonstruuje pojęcie autostrady i pozytywnie zawłaszcza je na rzecz rowerów właśnie.

Marzy nam się podobna sytuacja w tym kraju, gdzie zamykamy A4 dla ruchu samochodowego i wprowadzamy lewy pas dla pieszych, prawy dla rowerów, a te gdzieś tam pojawiające się trzecie dla hulajnóg i deskorolek. Of kors zdajemy sobie sprawę, iż mentalnie nam do Zachodu daleko, ale im głośniejsze o tym będziemy mówić, tym większa szansa, iż ktoś nas usłyszy! @@



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Pokażemy Kaczorowi

Borys, mam problem...

O matko, Gośka, znowu? Już niedługo, wytrzymaj jeszcze trochę, zaraz będziesz znowu szeregowym posłem.

Ala teraz mam problem. Dostałam nominację do tego tam szesnaście chalandź czy jak to się tam nazywa. No, że ten rap trzeba nagrać.

Uhahaha, no to faktycznie masz problem.

Ala jak się nie wywiąże, to będzie dla nas wszystkich wizerunkowa wtopa. Jak ja mam to zrobić? Jakąś muzykę trzeba, nagranie zrobić...

Ekipę filmową to mamy. Podkład muzyczny w sumie też się da zorganizować, poprosimy jakiegoś celebrytę zaprzyjaźnionego. Ale słowa, słowa są ważne. Z tym będzie kłopot.

A wiesz, tu to już zaczęłam coś wymyślać. Przeczytać ci?

Dawaj!

„Gdy zły Kaczor Polską trzęsie i zabija demokrację, zamiast siedzieć placikiem w domu albo jechać na wakacje, zbierzcie siły i do kupy też się zbierzcie, moi drodzy, pokażemy Kaczorowi, jak być potrafimy srodzy! Silni razem nie od dzisiaj z Małgorzatą już na czele po Kaczora niby walcem przejedziemy strasznym dziele!”. I jak?

O tekst też poprosimy zaprzyjaźnionego celebrytę. @@

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS blokuje ogłoszenie nowych wyborów prezydenckich. A potem będą mówić, że to wina opozycji”

JAN GRABIEC, poseł PO, na Twitterze

W odróżnieniu od rozmaitych hejterów wcale nie jesteśmy zdziwieni inicjatywą wymiany kandydacy Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na kandydata Rafcia Trzaskowskiego. Jest przecież do tej roli idealny. Skromny jak Radek Sikorski, stały jak Małgorzata Kidawa-Błońska, patriotyczny jak Donald Tusk – 100 proc. cukru w cukrze, to znaczy, przepraszamy, 100 proc. Platformy w Platformie.

I nna sprawa, że nie chce nam się już nawet żartować z kandydacy Małgorzaty. Skądinąd bowiem wiemy (a dokładnie od wiewiórek z PeŁo), że przez długie lata w polityce wykazała się lojalnością i uczciwością wobec tych wszystkich partyjnych kolegów, którzy dziś chcą ją w łyżce wody utopić. Jaka partia, takie obyczaje.

S woją drogą ciekawie wygląda trajektoria upadku PeŁo w ostatnich 15 latach. Tusk w 2005 r. był

Interesująco wygląda obecna linia „GW”. Organ Michnika potępia homoseksualizm oraz hejtuje kobiety realizujące się zawodowo

kiepską podróbką Tony’ego Blaira. Komorowski w 2010 r. kiepską podróbką Lecha Kaczyńskiego. Dzisiaj Platforma stawia na Trzaskowskiego – kiepską podróbkę Szymona Hołowni.

J uż wyjaśniamy, dlaczego Rafcio Trzaskowski nie ma szans w starciu z Hołownią. Uwaga, będzie podbudowa naukowa. Otóż ludzie instynktownie bardziej ufają ludziom o nieco nadproporcjonalnie dużych głowach i oczach. Porównajcie sobie fizjonomie Hołowni i Trzaskowskiego. Wtedy jasne się stanie, co będzie decydować. No bo przecież nie program, chłte, chłte.

Z daniem Izabeli Leszczyny wiceminister od niespinania finansów w rządzie PeŁo, polska

polityka i w ogóle Polacy nie dorośli jeszcze do tego, żeby kobieta była kandydatem na prezydenta. Zależy jednak, którzy Polacy. Na przykład Polacy nieplatformerscy to mieli już

dwaj panowie **g**

dwie kobiety premier. Wszak zanim nastał gabinet Szydło, mieliśmy rząd Suchockiej, który współtworzony był przez ciemnogród ze Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. A PeŁo miała tylko jedną kobietę premier, w dodatku Kopacz.

T ymczasem w Sądzie Najwyższym. Obrady Zgromadzenia Ogólnego, które ma wybrać kandydatów na nowego/nową pierwszego/ pierwszą prezes SN zamieniły się w prawdziwą erupcję homofobii. Otóż światła i europejska część izby



FOT. ROBERT LUDWIŃSKI

w kuluarach poczęła określa Kamila Zaradkiewicza epitetami tak obrzydliwie trącącymi mową nienawiści, że nawet nie decydujemy się ich zacytować. W tym samym czasie sędziowski ciemnogród prześcigał się wręcz, kto użyje najbardziej politycznie poprawnego i zachowującego szacunek określenia domniemanej orientacji seksualnej prowadzącego obrady.

Nas homofobia starej kasty wcale nie dziwi. Berlin, który uchodzi za stolicę europejskiego lewactwa i miłości jedнопłciowej, serdecznie nienawidził ambasadora Grenella, który jawnie deklarował, że jest homoseksualistą. Ponieważ jednak był mianowany przez Trumpa, regularnie zajmował pierwsze miejsce w lewackim rankingu najbardziej żenujących postaci Berlina. Jeden z panów G. zajmował w tym rankingu miejsce dopiero pod koniec pierwszej setki. Może byłby awansował, ale nie chciał nigdy zmienić orientacji. A wszelkie plotki, jakoby panowie. G byli w związku, dementujemy. Jak bowiem wiadomo od czasów księcia Gorczakowa, czytanie informacji, które nie zostały zdementowane, nie ma sensu.

Bardzo interesująco wygląda w świetle powyższych wiadomości aktualna linia „GazWybu”. Otóż organ Michnika potępia teraz homoseksualizm oraz hejtuje kobiety realizujące się zawodowo w polityce i łączące z powodzeniem życie rodzinne z kandydowaniem na prezydenta. Wygląda na to, że narodził się w Polsce pierwszy w dziejach dziennik paleokonserwatywny. Czekamy, aż Jaro Kurski i Pawka Wroński wezwą w komentarzu redakcyjnym, by powrócić do odprawiania mszy po łacinie.

Wracając do wyborów prezydenckich, z niejaką wesołością obserwujemy aktywność FOR, czyli takiej przybudówki do ego Leszka Balcerowicza. 4 maja z FOR wyszedł list przestrzegający, że korespondencyjne „majowe głosowanie niesie za sobą poważne zagrożenie dla zdrowia Polaków”. 15 maja ten sam FOR ogłosił, że „głosowanie powinno

odbywać się w lokalach wyborczych, przy zachowaniu niezbędnych środków ochrony osobistej, z możliwością oddania głosu w formie korespondencyjnej”. Punkt widzenia zależy bowiem od punktu siedzenia, zwłaszcza kiedy siedzenie należy do PeŁo.

Nie chce nam się już żartować z kandydacy Małgorzaty.

Przez długie lata wykazała się lojalnością wobec tych partyjnych kolegów, którzy dziś chcą ją utopić w łyżce wody

Zfrontu walki z koronawirusem. Otóż jest jeden czynnik, który w rządzie dobrej zmiany łączy największych dotychczasowych wrogów. Imię jego Łukasz Szumowski. W miarę wzrostu jego popularności w elektoracie maleje jego popularność w partyjnych i rządowych gremiach przywódczych. Przypomina nam to opowieść Zapasiewicza, który zwykł mawiać, że dla aktora najgorsze są entuzjastyczne recenzje, a miazdzące wręcz przeciwnie. Po miazdzących garderoba wypełnia się bowiem kolegami mówiącymi: „Nie było tak źle, stary”.

Złe języki mówią nawet o tym, że ostatnie publikacje bijące w Szumowskiego wcale nie są dziełem Eine Totalopposition, ale podszeptów płynących z własnych szeregów. My bardziej wierzymy w to, co mówią nasze wiewiórki. A mówią, że sprowadzenie przez Szumowskiego kilku samolotów maseczek i kombinezonów doprowadziło do kompletnej rewolucji na rynku tychże.

Wyjaśniamy. Rozmaici hochsztaplerzy, którzy liczyli, że ceny tego sprzętu jeszcze trochę wzrosną, i kisili rezerwy w magazynach, nagle zostali z towarem jak Himilbach z angielskim, bo ceny zaczęły spadać. I najlepszym pomysłem, jaki im przyszedł do głowy, było zainicjowanie serii publikacji prasowych mających udowodnić, że towar sprowadzony przez Szumowskiego jest do d...

Skoro o zdrowiu. W miniony piątek, czyli wtedy, kiedy PeŁo zajmowała się debatą na temat wymiany kandydata na prezydenta, były marszałek Senatu doktor Stanisław Karczewski (prawdziwy doktor, taki od leczenia, a nie od genderu), jechał na swój pierwszy dyżur do

szpitala. Tym samym odpowiedź na pytanie: „Która z sił politycznych zajmuje się w Polsce rozwiązywaniem problemów zwykłych ludzi?” uznajemy za udzieloną.

Życie kulturalne. Zadziwił nas nieco KKK (Kandydat Kosiniak-Kamysz) zwany też Tygrysem, kiedy z mównicy sejmowej ogłosił, że prezydent Andrzej Sebastian „nawet rapować nie potrafi”. Od razu bowiem zaczęliśmy sobie wyobrażać, jak pospołu rapują Tygrys plus jego ziomale ze squadra – Lil Zgorzelski i MC Sawicky. To byłoby dopiero coś!

Wystrój wewnątrz to też element życia kulturalnego. Zmęczeni odczytywaniem tytułów książek stojących na półkach, na tle których politycy występują na Skypie czasów zarazy, zajęliśmy się obserwowaniem tych, którzy wyłamali się ze schematu „najlepiej wyglądam na tle biblioteczki”. Autorytatywnie oświadczamy, że nikt nie pali tak pięknie świeczek w tle jak Dominik Tarczyński i nikt nie ma tak ładnego pieca kaflowego jak Marek Suski.

Zżycia planktonu. Po uważnej obserwacji burdy nazywanej przez nieorientowanych „protestem przedsiębiorców” (głównie bezrobotni i zawodowi zadymiarze) oraz roli, którą w tym przedsięwzięciu odegrał/odegrała asystentka/asystentka Grzegorza Brauna niejaki pan/pani Sabina vel Norbert Bobin mamy dla brodatego proroka Konfederacji nowe hasło wyborcze: „Kościół, strzelnica, piaskownica”. ©©

Adwokaci normalności



Wojciech Wybranowski

Grupa prawników Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris nieraz udowodniła, że jest w stanie zatrzymać ideologiczną ofensywę lewicy. Jednemu z jego założycieli, prof. Aleksandrowi Stępkowskiemu, prezydent powierzył pełnienie obowiązków I prezesa Sądu Najwyższego

Ordo Iuris weszło w nasze życie – bulwersuje się Kamila Ferenc, prawniczka ultralewicowej, proaborcyjnej Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny w rozmowie z „Krytyką Polityczną”. W drugiej połowie marca grupa organizacji neomarksistowskich, feministycznych i opowiadających się za możliwością zabijania dzieci poczętych, używająca nazwy Wielka Koalicja za Równość i Wyborem, przygotowała raport analizujący działalność funkcjonującego w Polsce od siedmiu lat konserwatywnego think tanku.

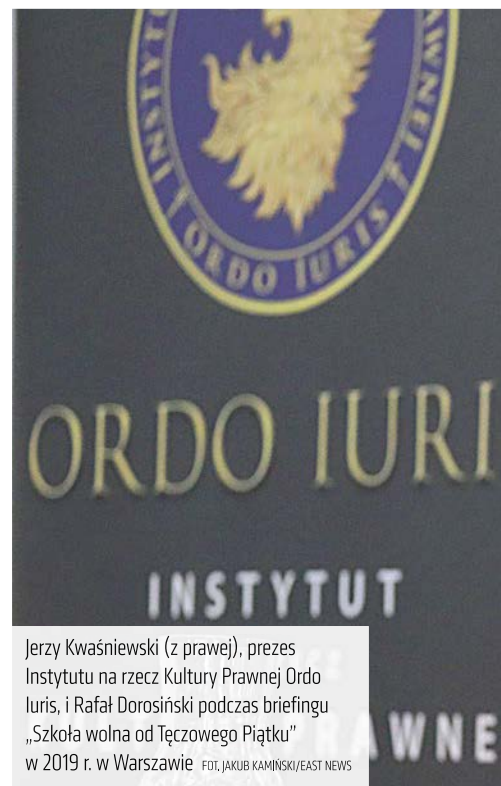
„Ordo Iuris jest po prostu wszędzie – to chyba najbardziej przerażający wniosek z raportu Wielkiej Koalicji za Równość i Wyborem” – stwierdziła Paulina Januszewska, dziennikarka „KP”. A jej rozmówczyni, Kamila Ferenc, wyliczała „ciosy”, które konserwatywni prawnicy zadali środowiskom lewicowym: „Trudno jest przypisać wszystkim regresywnym zmianom autorstwo Ordo Iuris. Można jednak zauważyć, że wycofano się z rządowego programu finansowania in vitro, pogorszył się dostęp do legalnej aborcji oraz uchylły marzenia o liberalizacji tego prawa”.

Inna z feministycznych aktywistek, literatka Klementyna Suchanow, pisząc o działalności Ordo Iuris, stwierdziła wprost: „To jest wojna”.

– Naszym podstawowym zadaniem jest obrona pewnych podstawowych wartości, które są zresztą zapisane w konstytucji, na których zbudowana jest nasza cywilizacja, takich jak rodzina, małżeństwo, rodzicielstwo, ludzkie życie na każdym z etapów jego rozwoju, wolność religijna, wolność słowa coraz bardziej ograniczana, a także prawa rodziców i dzieci – tłumaczy dr Tymoteusz Zych, wiceprezes Ordo Iuris, w rozmowie z „Do Rzeczy”. – Staramy się być wszechstronnie aktywni na polu, na którym rozstrzyga się nasza przyszłość społeczna i państwowa: czy będzie przyjazna człowiekowi, czy też nie.

ZOSTAWCIE DZIECI RODZICOM

Na przełomie lat 2012 i 2013, kiedy rządząca Platforma Obywatelska wykonywała mocny skręt w lewo, a coraz bardziej lewicująca „Gazeta Wyborcza” wciąż jeszcze – wydawało się – trzymała rząd dusz, konserwatywne poglądy, niepoprawne politycznie myślenie, krytyczne recenzowanie dyrektyw i zmian w prawodawstwie wprowadzanych przez organa Unii Europejskiej wydawały się czymś przypisanym jedynie do niszowego marginesu, wyśmiewanego w mediach głównego nurtu. I właśnie wówczas, kiedy coraz śmielej pojawiały się postulaty lewicowych środowisk



Jerzy Kwaśniewski (z prawej), prezes Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, i Rafał Dorosiński podczas briefingu „Szkoła wolna od Tęczowego Piątku” w 2019 r. w Warszawie FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS



(m.in. liberalizacji ustawy aborcyjnej, legalizacji małżeństw jedнопłciowych), grupa prawników – wśród nich m.in.: prof. Aleksander Stępkowski, dr Joanna Banasiuk, dr Tymoteusz Zych, mec. Olgierd Pankiewicz – zorganizowała z Uniwersytetem Warszawskim międzynarodową konferencję na temat prawnej ochrony życia. To wydarzenie pokazało, że profesjonalny głos prawników w obszarach – wydawałoby się – doszczętnie zdominowanych przez narrację radykalnie liberalną pozwala prawicy nawiązać równorzędną debatę.

– Na podstawie naszego doświadczenia powołaliśmy w 2013 r. Instytut Ordo Iuris początkowo w grupie trzech–czterech osób i z taką myślą, że będzie to zajęcie hobbystyczne po godzinach – mówi nam Jerzy Kwaśniewski, prawnik i prezes Instytutu



Ordo Iuris. – Zwróciliśmy też wówczas uwagę na bardzo żywy temat administracyjnej przemocy wobec rodzin. To był ten moment, kiedy sądy decydowały o odbieraniu dzieci rodzicom z przyczyn ekonomicznych i stawało się to problemem społecznym dostrzeganym coraz wyraźniej także przez media.

Rzeczywiście, lata 2013–2015 to okres nader częstych orzeczeń sądowych nakazujących odebranie dziecka rodzicom mimo pozytywnych opinii nauczycieli, sąsiadów, psychologów tylko dlatego, że np. w domu panowała bieda, a stan majątkowy rodziców nie pozwalał na zapewnienie dziecku godnego utrzymania. Zamiast pomocy państwa rodziny spotykały restrykcje. Według oficjalnych danych na koniec 2013 r. 771 dzieci zostało odebranych i przekazanych decyzją administracyjną do miejsc opieki lub

rodzin zastępczych tylko dlatego, że ich rodzice nie mieli odpowiednio wysokich dochodów.

W takich sprawach interweniowali prawnicy Ordo Iuris. Jedną z nich był dramat Katarzyny Boryc, samotnie wychowującej troje dzieci. Kobieta pracowała na dwóch etatach, by zarobić na ich utrzymanie, jednak latem 2013 r., pod nieobecność matki, dzieci zostały uprowadzone z domu przez pracowników Ośrodka Opieki Społecznej (decyzja sądu została wydana po fakcie). Kobieta przez wiele tygodni samotnie próbowała walczyć z machiną sądową o odzyskanie dzieci, udało się jej to dopiero po interwencji procesowej prawników instytutu.

– Zaraz po wyborach w 2015 r. uczestniczyliśmy w pracach nad nowelizacją Kodeksu postępowania cywilnego, która wykluczyła możliwość odbierania dzieci

z powodu ubóstwa. Udało się to mimo ogromnego sprzeciwu sędziów, którzy uważali, że jest to ograniczanie sędziowskiej niezawisłości – wspomina prezes Kwaśniewski.

Głośna była też sprawa wygranej walki z norweskim Barnevernet. Ciesząca się złą sławą instytucja domagała się wydania Norwegii dzieci, które wraz z matką – Norweżką – uciekły do Polski przed ojcem stosującym przemoc. Po zaangażowaniu się w sprawę prawników Ordo Iuris polskie sądy zdecydowały o pozostawieniu dzieci z matką.

Prawnicy konserwatywnego think tanku oraz Rzecznik Praw Dziecka pomogli też Rosjaninowi Denisowi Lisowowi, który – chcąc ratować swoje córki przed wydaniem ich na wychowanie muzulmańskiej rodzinie – uciekł z nimi ze Szwecji do Polski. Szwedzi wydali za



Manifestacja przeciwko Ordo Iuris przed siedzibą instytutu w Warszawie, 3 marca 2020 r. FOT. WOJCIECH KOZIOL/FORUM

■ nim Europejski Nakaz Aresztowania. Warszawski sąd ostatecznie zdecydował, że rodzina może pozostać nad Wisłą. Lisow wyjechał potem do Rosji, stamtąd przysłał wzruszający list z podziękowaniami. „Zawsze będę pamiętał o ogromnym wsparciu, jakie otrzymałem w Polsce i zawsze będę traktował Polskę, jako kraj miłąjący prawa dziecka, rodziny oraz respektujący podstawowe prawa człowieka” – napisał.

W KONTRZE DO LEWICOWEJ REWOLUCJI

Na celowniku lewicowych środowisk Instytut Ordo Iuris znalazł się po tym, jak skutecznie współ z innymi organizacjami międzynarodowymi ostrzegał przed zagrożeniami, jakie dla rodzin i tradycyjnych wartości niesie część zapisów tzw. konwencji stambulskiej – dotyczącej zapobiegania i zwalczania przemocy wobec kobiet i przemocy domowej oraz zawierającej postulat wybiegające naprzeciw ideologii LGBT i gender, ograniczające pozycję rodziny w społeczeństwie. Polska podpisała konwencję w grudniu 2012 r. Prace Sejmu w tej sprawie trwały do sierpnia 2014 r. Ustawa o ratyfikacji została uchwalona na początku 2015 r. Prezydent Bronisław Komorowski podpisał ją w marcu, a konwencję ratyfikował 13 kwietnia 2015 r.

Ordo Iuris wydał wówczas pierwszy w Polsce komentarz do konwencji stambulskiej, który dał wielu prawicowym uczestnikom życia publicznego merytoryczne argumenty w debacie. – Monitorujemy stale działania UE zmierzające do tego, by cała UE przystąpiła do konwencji stambulskiej, czyli tej słynnej konwencji promującej bardzo niebezpieczne rozwiązania i postulaty oparte na ideologii gender. Zgodnie ze stworzoną przez nas kompleksową analizą tego zagadnienia Unia nie ma żadnych kompetencji, by przystąpić do tego dokumentu – mówi nam Karolina Pawłowska, dyrektor Zespołu Międzynarodowego Ordo Iuris.

Początek działalności Instytutu Ordo Iuris to także głośna w 2014 r. sprawa prof. Bogdana Chazana, wówczas dyrektora warszawskiego szpitala im. Świętej Rodziny, który powołując się na swoje przekonania i wolność sumienia, odmówił pacjentce wykonania aborcji. Chazan wskazywał, że odmowa znajduje uzasadnienie w konstytucji i jest „przejawem jego obywatelskiego nieposłuszeństwa”. Sprawę nagłośniła „GW”, a Chazan stał się celem ataków. Stracił pracę w szpitalu. Ordo Iuris włączył się w jego obronę i ogólniej – w obronę prawa lekarza do zachowania klauzuli sumienia. Jesienią 2015 r. Trybunał Konstytucyjny uznał, że lekarz może odmówić wykonania zabiegu, powołując się na klauzulę sumienia,

i nie musi wskazywać innego lekarza lub placówki, gdzie dany zabieg można wykonać. – Orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w zasadzie temat kończy i Polska staje się państwem o najszerzych gwarancjach wolności sumienia w Europie – ocenia Jerzy Kwaśniewski.

„Ordo Iuris upowszechniło korzystanie z klauzuli sumienia, której coraz więcej lekarzy używa jako argumentu do odmowy świadczenia usług medycznych pacjentom. Mam tu na myśli zarówno dopuszczalny prawem zabieg przerywania ciąży, jak i wypisywanie recept na środki antykoncepcyjne. Na klauzulę powołują się już nie tylko pojedyncze, indywidualne osoby – lekarze czy pielęgniarki – lecz także wręcz całe szpitale” – oburza się feministyczna aktywistka Kamila Ferenc w rozmowie z „Krytyką Polityczną”. I skarży się: „I taki jest cel OI, któremu udało się też doprowadzić do tego, by do prokuratorów w całym kraju rozesłać instrukcję, jak ścigać pomocnictwo przy aborcji”.

CZOŁG KONTRREWOLUCJI

Do 2016 r. niewielka grupa hobbystów przekształciła się w instytucję pracującą w kilku działach i zatrudniającą kilkunastu prawników. Dzisiaj zaangażowanych w projekt Ordo Iuris jest ok. 40 prawników i ekspertów innych dziedzin. Ośrodek z niszowego think tanku stał się ważną siłą w debacie politycznej i prawnej w Polsce. Z jego środowiska wywodzi się m.in. kilku nowych sędziów Sądu Najwyższego. To prof. Krzysztof Wiak i jeden z założycieli Ordo Iuris – prof. Aleksander Stępkowski, któremu prezydent w ubiegłym tygodniu powierzył obowiązki I prezesa SN (po rezygnacji Kamila Zaradkiewicza). Z instytutem związany jest też wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński. Z kolei prof. Andrzej Kochański, członek Rady Naukowej OI, w październiku 2019 r. został powołany przez ministra zdrowia na stanowisko krajowego konsultanta ds. genetyki klinicznej.

Prawnikiem Ordo Iuris udało się swoje akcje przenieść już na poziom międzynarodowy. W ostatnim czasie zaalarmowali polską opinię publiczną i polityków o dwóch bardzo istotnych próbach prowadzenia niepokojących działań bliskich środowiskom lewicowym. – Pierwsza z nich miała miejsce we wrześniu 2019 r., gdy okazało się, że Światowa Organizacja Zdrowia dąży do włączenia bardzo kontrowersyjnej

konstrukcji tzw. praw reprodukcyjnych i seksualnych do Powszechnego Ubezpieczenia Zdrowotnego. Warto tutaj powiedzieć, że termin ten używany jest przez środowiska radykalne do promocji aborcji na żądanie, permisywnej edukacji seksualnej, rozwiązań prawnych zmierzających do podważenia fundamentalnych praw rodziców czy likwidacji klauzuli sumienia – opowiada nam Karolina Pawłowska, dyrektor Zespołu Międzynarodowego Ordo Iuris.

To prawdopodobnie dzięki akcji informacyjnej Ordo Iuris, w tym skierowanemu do polskich władz listu otwartego w tej sprawie, Polska dołączyła do szerokiej koalicji państw stanowczo sprzeciwiających się tym postulatam – to w sumie ok. 30 państw, w tym USA, Węgry czy Brazylia.

W 2019 r. miała miejsce też inna próba wprowadzenia ideologii gender i LGBT przez podmioty międzynarodowe. Chodzi o listopadowy szczyt ONZ w Nairobi. Miał mieć charakter nieoficjalny, ale – jak wynikało z przecieków – przyjęte na nim ustalenia dotyczące powszechnego dostępu do aborcji miały być, jak chcieli organizatorzy, wiążące.

Feministka Klementyna Suchanow pisała o nim na łamach portalu OKO.press: „Szczyt ONZ w Nairobi ma być kamieniem milowym dla praw kobiet [...]”, i ostrzegła, by nie pozwolić konserwatywnym organizacjom na jego zablokowanie. Bo jak argumentowała: „Abstrahuje to od woli Polek, których poparcie dla wolnego wyboru w przypadku aborcji wciąż rośnie”.

Tym razem lewacy działacze batalię przegrali. – Bardzo głośnym naszym sukcesem było wzięcie udziału w Szczycie w Nairobi, jako jednej z dwóch organizacji broniących prawa do życia w skali całego świata! Jak również zwrócenie uwagi polskiego rządu oraz opinii publicznej na skandaliczną organizację, przebieg i ustalenia tego współorganizowanego przez UNFPA [jedną z agend ONZ, po PL Fundusz Ludnościowy – przyp. red.] oraz rządu Kenii i Danii wydarzenia – cieszy się Karolina Pawłowska.

W efekcie w Nairobi nie podpisano deklaracji ani też nie pozyskano planowanych 300 mld dol. na promocję powszechnej dostępności aborcji.

BATALIA NAD WISŁĄ

Oczywiście najgłośniejsze o sukcesach Ordo Iuris osiągniętych nad Wisłą. Prawni-

cy instytutu wsparli m.in. drukarza z Łodzi skazanego prawomocnie za odmowę druku bannerów propagujących ideologię LGBT, reprezentują też pracownika IKEA wyrzuconego z pracy za odmowę udziału w akcjach popularyzujących ideologię LGBT. Współtworzyli też Samorządową Kartę Praw Rodzin przyjętą jako obowiązującą uchwałą przez kilkadziesiąt polskich samorządów w kontrze do narzucanej im przez środowiska postępowe Deklaracji LGBT plus. Karta mówi o wsparciu samorządów dla tradycyjnej rodziny rozumianej jako związek kobiety i mężczyzny, pomocy w zapewnieniu godnego życia i odpowiedniej edukacji dzieciom i ochronie tradycyjnych i chrześcijańskich wartości. Samorządowa Karta Rodziny – którą przyjmują w formie uchwały samorządy – jest nieprawdziwie określana przez środowiska homoseksualne jako „tworzenie stref wolnych od LGBT”.

Prawnicy Ordo Iuris doprowadzili też do tego, że Najwyższy Sąd Administracyjny uznał niedopuszczalność transkrypcji zagranicznego aktu urodzenia, w którym jako rodziców wpisano dwie kobiety. Domagała się tego Polka, której syn urodził się w Wielkiej Brytanii. Wspierał ją rzecznik praw obywatelskich dr Adam Bodnar. Uznanie przez Polskę ważności takiego aktu urodzenia mogłoby prowadzić do wprowadzenia w polskim prawie tylnymi drzwiami legalizacji zawartych za granicą związków homoseksualnych.

Aktywiści Ordo Iuris w kontrze do promowanych przez środowiska homoseksualne Tęczowych Piątków zorganizowali też zakrojoną na szeroką skalę akcję „Chrońmy dzieci”.

Furię i masowe protesty organizacji feministycznych i lewicowych wywołał z kolei obywatelski projekt ustawy Ordo Iuris „Zatrzymać aborcję”, którego przyjęcie w praktyce uniemożliwiłoby morderowanie dzieci poczętych z przyczyn eugenicznych. – Prowadzimy nieustanną kampanię w zakresie ochrony życia. To jeden z najważniejszych filarów naszej aktywności. Każda inicjatywa pro-life, od wielkich inicjatyw obywatelskich do drobniejszych zmian w zakresie świadczeń dla rodzin wychowujących dzieci z niepełnosprawnością, może liczyć na wsparcie naszych ekspertów – mówi Jerzy Kwaśniewski.

Działalność Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris od kilku lat budzi zrozumiałe emocje środowisk lewicowych mających dotąd – wydawałoby się

– monopol na prawniczy przekaz w Polsce. Publicysta Tomasz Piątek w ramach swojego „śledztwa” prowadzonego na łamach „Gazety Wyborczej” przekonywał, że Instytut Ordo Iuris jest powiązany z „sektą z Brazylii” i ludźmi Putina. Teraz odpowiada za to przed sądem w cywilnym procesie.

CIOŚ ZA CIOŚ

Opozycyjny portal OKO.press wiosną tego roku, opisując aktywność Ordo Iuris, przekonywał, że to „rozpędzona maszyna polityczna fundamentalistów”, zaś feministka Klementyna Suchanow w swojej książce „To jest wojna” opisywała instytut jako rodzaj religijnej sekty ortodoksyjnych katolików z globalnymi powiązaniami.

„W tej grupie są różni gracze i każdy ma swój polityczny lub biznesowy interes. Inny Rosjanie, inni amerykańscy ewangelicy. Ale część z nich to też pożyteczni idioci, którzy nie interesują się, kto nimi zongluje, tylko się cieszą, że nabrali wiatru w żagle. Są też ideowcy, ale i cynicy, dla których liczy się tylko władza. A tę mogą zdobyć, gdy poprzez ujarzmione ciała kobiet zdominują całe społeczeństwo” – perorowała Suchanow w wywiadzie dla portalu NaTemat. Instytut Ordo Iuris odpowiedział na jej enuncjacje pozwem cywilnym.

– Te próby defamacji Ordo Iuris za pomocą fejkowych ataków i pomówień są zastanawiające. W mojej ocenie pluralizm poglądów jest istotny nie tylko w polityce, lecz także w aspekcie tworzenia i stosowania prawa. Szczególnie przy wieloletniej dominacji ideologii lewicowej i liberalnej. Równowaga w prezentacji systemów wartości musi być zachowana. To zdrowe – komentuje prawnik Marcin Wątrobiński.

Niektórzy już mówią, że konserwatywny think tank stał się prawdziwym młotem na lewicę. Czy tak jest rzeczywiście? – My występujemy w obronie naturalnego ładu społecznego. A naturalny ład społeczny znajduje potwierdzenie w porządku konstytucyjnym, bo przecież konstytucja afirmuje takie wartości jak chrześcijańskie dziedzictwo narodu, jak tożsamość małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny czy prawo rodziców do wychowywania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami – mówi nam Jerzy Kwaśniewski, prawnik i prezes Ordo Iuris. – Młot na lewicę? Tego języka nie używamy.



Piotr Semka

PiS znów przejął inicjatywę w sprawie wyborów. Oświadczenie PKW otworzyło drogę do wyznaczenia przez marszałek Elżbietę Witek nowego terminu elekcji. Głosowania w Sejmie wskazują na cichy konsensus w sprawie jak najszybszego otwarcia kampanii na nowo. Jednak wciąż nie wiadomo, na ile czasu ustawę zamrozi Senat. I w jakim stopniu nowa kampania zmieni szanse kandydatów

Jeśli PiS zdarza się wpadać w polityczne pułapki, to szybko potrafi się z nich wygrzebywać. Nie minęły cztery dni od ugody „dwóch Jarosławów” i dwa dni od wewnętrznej wojny w PiS o powrót do 23 maja jako daty głosowania, a partia Jarosława Kaczyńskiego zaczęła odwojowywać polityczny teren.

Nieoczekiwanie pomocną dłoń podała PKW. Uchwała komisji z 10 maja 2020 r. w sprawie stwierdzenia braku możliwości głosowania na kandydatów w wyborach prezydenta RP oddała inicjatywę w sprawie nowych wyborów marszałek Sejmu. Dla PiS ważne było, że uchwała PKW przeszła jednogłośnie, a więc także głosami członków komisji wybranych przez opozycję. Prezentacja projektu nowej ustawy PiS o głosowaniu hybrydowym była z kolei demonstracją wewnątrzpartijskiego ekumenizmu. Obok siebie wystąpili Jadwiga Emilewicz z Porozumienia, Łukasz Schreiber – zaufany Mateusza Morawieckiego i Przemysław Czarnek – wysoko ceniony przez „twardy” PiS i frakcję Zbigniewa Ziobry.

Projekt ustawy napisano tak, aby godził strategiczne interesy rządzącej partii z pewnym wyjściem naprzeciw postulatowi opozycji. Zabezpieczeniem interesów PiS było zadbanie o kontrolę nad kalendarzem wyborczym przez marszałek Witek, która wyznaczy termin elekcji. Ukłonem wobec opozycji było przywrócenie mocnej roli PKW i wprowadzenie swobody wyboru techniki głosowania – w lokalu



FOT. JAN BODACZYN/PIAST NEWS

Grząska droga

lub korespondencyjnie. Zadbane też o ułatwienie głosowania dla Polonii.

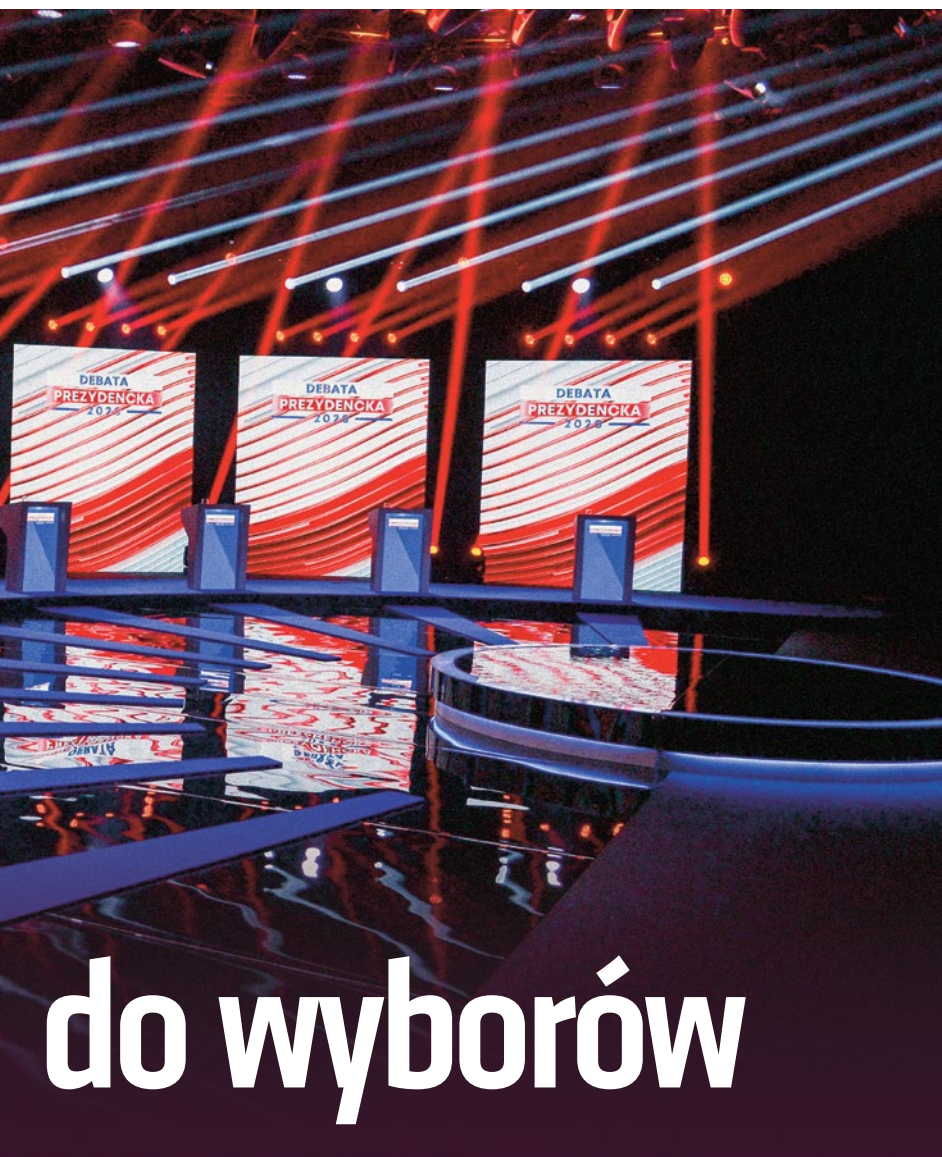
O tym, że wyszlifowanie wielu kantów poprzednich ustaw się udało, świadczy postawa Macieja Gduli z Lewicy, który streszczając istotę zmian, pisał: „Jeśli zastanawiacie się, dlaczego ustawa o wyborach prezydenckich kręta drogą, ale jednak zmierza w stronę normalności, to: przywraca PKW organizację wyborów, można wybrać głosowanie w lokalu lub korespondencyjne, o pakiet koresp. trzeba wystąpić [samemu – przyp. P.S.], więc mniejsze są możliwości oszustw”.

Na korzyść PiS zadziałał też upływ czasu. Polacy przyzwyczaili się nieco do pandemii, więc dramatyczne zakłęcia, że najwcześniejsze wybory możliwe są dopiero za rok lub dwa lata, przestały robić wrażenie. Ale najczęściej podawany

termin wyborów 28 czerwca oznaczać będzie iście sprinterskie tempo kolejnych etapów rejestracji dla nowych kandydatów.

Jadwiga Emilewicz pytana o to przez „Do Rzeczy” mówi: „Wiele osób zapomina, że to wybory w czasie nadzwyczajnym, w trakcie niespotykanej wcześniej pandemii. Nagłe wybory prezydenckie w 2011 roku też miały bardzo pospieszny kalendarz wyborczy, a nikt wtedy nie robił z tego zagrożenia dla demokracji”.

Ciche przyjęcie do wiadomości, że wybory będą latem, opozycja odreagowała w debacie sejmowej. Platforma na czele z Borysem Budką oskarżała PiS o wyborczy bałagan i domagała się od premiera przeprosin. Wyklinano „Sasinalia” i uskarżano się na wstyd na całą Europę. PSL bezskutecznie żądało



do wyborów

dwudniowego głosowania, a Lewica w osobie Krzysztofa Śmieszka domagała się okrągłego stołu w sprawie wyborów. Jednak ludowcy i lewicowcy wyraźnie odgrywali tylko spektakl. Widać było, że chcą jak najszybszych wyborów.

W końcu w głosowaniu KO w roli „jedynych sprawiedliwych” w opozycji zagłosowała przeciw, a Lewica i PSL wstrzymały się od głosu. Konfederacja poparła nową ustawę. Co więcej, Krzysztof Bosak natychmiast po głosowaniu w Sejmie ogłosił na Twitterze: „Blokowanie nowych przepisów wyborczych przez PO w Senacie to najgłupsza rzecz, jaką mogą teraz zrobić! Zablokują kandydatom opozycji możliwość legalnego prowadzenia kampanii na miesiąc i dadzą PiS nowe argumenty propagandowe”.

A co zrobi Senat? Marszałek Tomasz Grodzki pytany o to, czy Senat szybko ustosunkuje się do ustawy, odpowiada: „To zależy, czy nowa ustawa gwarantuje, że wybory będą konstytucyjne, powszechne, bezpieczne i dostępne dla Polonii. Nie zrezygnujemy z wszechstronnych konsultacji z konstytucjonalistami czy np. przedstawicielami pocztowców”. Na pytanie „Do Rzeczy”, czy tydzień na zebranie podpisów przez ewentualnych nowych kandydatów wystarczy, marszałek Grodzki odpowiada: „To za mało. Ci, którzy zbierali podpisy dla obecnych kandydatów, mieli na to wiele tygodni”.

Ustawa trafiła do Senatu 13 maja. Przyjmując maksymalny czas rozpatrywania 30 dni, do marszałek Witek wróci 12 czerwca. Jeśli Senat odrzuci

ustawę lub nakaże poprawki, to Sejm zdecydować może o nich 13 czerwca. Jeśli przyjąć, że wybory mają być 28 czerwca, to nowi kandydaci na zebranie podpisów mogą mieć około tygodnia. Jeśli 5 lipca – to trochę ponad dwa tygodnie. Każdy późniejszy termin wyborów, np. 12 lipca, oznacza, że druga tura odbywać się będzie już po zakończeniu kadencji prezydenta Dudy. A marszałek Sejmu musi wyznaczyć datę wyborów w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Były już wicemarszałek Senatu Stanisław Karczewski nie wierzy, by tym razem Senat uwieźił projekt na długo. „Myślę, że będzie to znacznie krócej niż 30 dni. Wszyscy są zainteresowani, aby tym razem kampania zaczęła się jak najwcześniej”.

Innego zdania jest Adam Bieleń z Porozumienia: „Platforma zrobi wszystko, żeby te wybory w najbliższym czasie się nie odbyły. Marszałek Grodzki będzie złośliwie przetrzymywał tę ustawę pełne 30 dni, zastosuje wszystkie możliwe środki obstrukcji”.

Jak będzie – trudno na razie ocenić. Z jednej strony Platforma potrzebuje nieco czasu na przegrupowanie i 30 dni „mrożenia” ustawy w Senacie bardzo jej się przyda. Z drugiej strony Platforma nie rządzi Senatem sama. PSL i Lewica chcą szybkich wyborów i mogą zrobić wiele, by prace nad ustawą przyspieszyć. Kolejne problemy z terminem wyborów obciążą w oczach Polaków już nie tylko PiS, lecz także wszystkie partie.

ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY

To Rafał Trzaskowski otrzymał od swojej partii zadanie zastąpienia dołującej w sondażach Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Choć trwający w piątek od rana zarząd PO stanął wobec zgłoszenia kandydatury także przez Radosława Sikorskiego.

Wybór Trzaskowskiego na nowego kandydata PO był raczej wypadkową wad pozostałych kandydatów. Donald Tusk nie chciał ryzykować porażki na niezwykle delikatnym dla niego obszarze prezydenckim. Borys Budka uchylił się od startu, bo w razie słabego wyniku skoczyliby mu do gardła rywale z partii, z Grzegorzem Schetyną na czele. A Radosław Sikorski, owszem, jest ofensywny, ale we własnej partii ma wielu cichych przeciwników. Pozostał Trzaskowski, który jest na tyle nijaki, że nie budzi większych sprzeciwów.

Obecny prezydent Warszawy jest tylko o cztery miesiące starszy od Andrzeja Dudy i na pewno dla Platformy to już postęp w stosunku do 63-letniej Kidawy-Błońskiej. Ale tu już zalety się kończą. Jako prezydent stolicy ma na koncie parę poważnych wpadek, od awarii oczyszczalni do będącej obiektem kpin strefy relaksu.

Na pewno sztabowcy PO zrobią wszystko, by wykorzystać przewidywalne linie ataków PiS na Trzaskowskiego. Gra będzie szła o sprowadzenie kampanii do pojedynku Trzaskowski-Duda, co zepchnie na bok resztę kandydatów. Platforma może liczyć na mobilizację wokół prezydenta Warszawy wielkowiejskiego elektoratu środowisk LGBT i młodych progresistów. Na tym polu Trzaskowski będzie licytować się z Robertem Biedroniem i Szymonem Hołownią.

Szymon Hołownia wygląda na najbardziej zadowolonego z dodatkowych tygodni kampanii. Jego słupki idą w górę i widzi się już w drugiej turze

Tyle że start Trzaskowskiego ma swoją cenę. Była prezydent Hanna Gronkiewicz-Waltz już wystąpiła na Twitterze z dramatycznym apelem: „Nie wolno oddawać Warszawy komisarzowi z PiS. Opamiętajcie się!”. Podobną irytację wyraził lider warszawskich ruchów miejskich Jan Mencwel: „Jeśli Trzaskowski wystartuje, dokona dezercji, zostawiając miasto w kryzysie epidemicznym, klimatycznym i finansowym. I na pastwę komisarza z PiS. A z PAD nie wygra, obstawiam, że przegra również z Szymonem Hołownią”.

Szymon Hołownia wygląda na najbardziej zadowolonego z dodatkowych tygodni kampanii. Jego słupki idą w górę i widzi się już w drugiej turze. Trzaskowski ma dość podobny image, ale w odróżnieniu od byłej gwiazdy TVN jest nieco już zgrany dwuletnimi, nie najlepszymi rządami w stolicy. Hołowni depcze po piętach jeszcze Władysław Kosiniak-Kamysz, ale jego kampania nie jest tak bardzo efektowna, jak po cichu liczyli na to politycy PSL. Fakt, że jest lekarzem – co w obliczu pandemii miało być superatutem – niewiele pomógł mu

w kampanii. W telewizyjnej debacie w TVP Kosiniak-Kamysz był jedynie poprawny, ale nie błysnął. Gdy wchodził w tonację zaczepki i oskarżeń – głównie wobec prezydenta Dudy – wyglądało to dość nienaturalnie. PSL nie wynalazło jak na razie żadnego cudownego sposobu na tę kampanię. A rola kogoś, kto wzywa innych do umiaru i spokoju, najlepiej odgrywana jest przez Dudę.

Ostatnie przepływy elektoratu od lutego do kwietnia tak definiuje badacz sondaży Marcin Palade: „Najpierw WKK rósł, przejmując sporą część elektoratu M.K.B. i Hołowni, a także nieznacznie Roberta Biedronia. Potem Szymon Hołownia wysłał niemal do końca elektorat M.K.B., odbierając część utraconych wyborców od W.K.K. i sięgając wreszcie do elektoratu Biedronia”. Pytanie, czy wejście do rywalizacji Trzaskowskiego

zmieni te trendy? I komu z rywali najbardziej zaszkodzi?

Na placu boju jest jeszcze Robert Biedroń, ale do jego miserii sondażowej przyzwyczaił się już i sam Biedroń, i jego partia. Chyba że lewica pójdzie śladem Platformy i też zmieni kandydata. Główny pretendent do takiej podmianki – Adrian Zandberg – na razie jednak nie wyraża chęci startu. To się może jednak jeszcze zmienić.

PREZYDENCIE, CO Z TOBĄ?

A co z Andrzejem Dudą? W czasie ostatnich walk o termin wyborów na linii Gowin-Kaczyński stał wyraźnie z boku, nie opowiadając się za żadną ze stron. Dało to wiele uciechy kontrkandydatom z opozycji, którzy po debacie w TVP z lubością opowiadali, jak to głowa państwa miała dowiedzieć się jako ostatnia o ugodzie dwóch Jarosławów. „Prezydent Duda udowodnił, że jest doskonale niepotrzebny” – ironizuje „Gazeta Wyborcza”.

Jednocześnie prezydenta wszędzie pełno – odwiedza płonące łąki nad Biebrzą, z rozgłosem podpisuje nową Strategię Bezpieczeństwa Narodowego.

I deklaruje, że obroni trzynastki i pomoże wprowadzić czternastki.

Tyle że w jego działaniach brak jest jakiegoś nowego nośnego hasła, brak świeżości ożywiającej kampanię. Jego zwolennicy chętnie wieszają bannery prezydenta na płotach, ale na razie kampania nie przyciąga uwagi niczym nowym.

W PiS mało kto formułuje to wprost, ale czuć, że wizja kolejnych półtora miesiąca czy nawet dwóch miesięcy dzielących nas od wyborów kojarzy się z wielką niewiadomą. Tym „drugim” miał w założeniach sztabu Dudy być Władysław Kosiniak-Kamysz gaszony przypominaniem, że to on podniósł wiek emerytalny. Ale nagły skok w sondażach Szymona Hołowni jawi się sztabowcom PiS jako nowe, trudno wytłumaczalne zjawisko. Z reakcji na tę konkurencję mogą brać się dość ryzykowne pomysły prezydenta, takie jak założenie konta na TikToku czy rapowanie w ramach #Hot16challenge2. Nikt nie wie, czy bardziej to pomaga, czy szkodzi. Biorąc pod uwagę zdobywanie pola w Internecie przez Hołownię, może to być dobry kierunek docierania do tych, którzy głosują pierwszy raz. Ale też wypowiedzi kolejnych raperów dających do zrozumienia, że nikt prezydenta do #Hot16challenge2 serio nie zapraszał, pokazują ryzyko takich wycieczek na nowe obszary.

Jedno jest pewne – nadzieje na wygraną Andrzeja Dudy w pierwszej turze na razie zbladły. A kampania w dużej mierze przenosi się do Internetu. Jeśli sztab Dudy szybko nie zrozumie, jak bardzo różni się od rytmu kampanii wyznaczanej przez wizyty we wszystkich powiatach Polski, to na nadrobienie zaległości może nie wystarczyć czasu.

Tyle że jak wskazują niektórzy sztabowcy Dudy – nie jest jasne, czy nagłe fajerwerki w kampanii obecnego prezydenta więcej zaszkodzą, niż pomogą, choćby mobilizując wrogi PiS elektorat wielkowiejski. – Może być tak, że lepiej jest liczyć na cichą mobilizację elektoratu średnich i małych miast, gdzie Andrzej jest bardzo lubiany. Ostateczne decyzje podejmiemy, gdy ruszy kolejna odsłona kampanii – mówi przedstawiciel pałacu prezydenckiego.

Nikt bowiem jeszcze dokładnie nie wie, jak będzie wyglądać ta nowa kampania w cieniu koronawirusa. Pozostają intuicja i ciężka praca.

Według zeszłorocznego raportu wydanego przez Organizację Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie dotyczące skali przestępstw z nienawiści do chrześcijan w Europie w 2018 r. odnotowano niemal 600 takich aktów agresji.

W Polsce – według OBWE – doszło do 39 tego typu zdarzeń, a także niemal tysiąca aktów dyskryminacji. Do głośniejszych w mediach antychrześcijańskich napaści dochodziło też w naszym kraju w roku 2019.

ATAKI NA KSIĘŻY

10 czerwca 2019 r. sprawca jednej z nich zaatakował ks. dr. Ireneusza Bakalarczyka. W przedświonku kościoła pw. Najświętszej Marii Panny na Piasku we Wrocławiu 56-letni nożownik zadał cios, który uszkodził przepoń i niemal zabił duchownego. Ksiądz Bakalarczyk przeżył – życie uratowała mu skomplikowana, dwugodzinna operacja. Napastnik, Zygmunt W., po zatrzymaniu miał twierdzić, że nie żałuje swego czynu i że inspirował się filmem Tomasza Sekielskiego „Tylko nie mów nikomu”. W zeznaniach swoje działanie motywował m.in. „chęcią dania nauczki księdzu za wszystkie skrzywdzone przez kler dzieci”. Jego proces ruszył w styczniu 2020 r. Mężczyźnie grozi dożywocie.

28 lipca 2019 r. do szokującego ataku doszło w Szczecinie. Trzech pijanych bandytów wtargnęło do zakrystii bazyliki św. Jana Chrzciciela. Sprawcy zażądali wydania im szat liturgicznych, zapowiadając, że będą odprawiać mszę. Gdy sprzeciwił im się proboszcz, doszło do rękoczynów. Proboszcz i kościelny zostali pobici pięściami. Ksiądz napastnicy bili również różańcem. Ksiądz proboszcz oraz kościelny wymagali doraźnej pomocy szpitalnej. Ucierpiała również pani zakrystianka. Sprawcy zostali ujęci.

Do sprawy odniósł się m.in. premier Mateusz Morawiecki. „Na akty agresji nie może być żadnego przyzwolenia, pobicie księdza i próba profanacji mszy św. w Szczecinie zasługują na szczególne potępienie ze wszystkich stron bez względu na poglądy polityczne” – napisał na Twitterze.



Katolicy pod pręgierzem

Chryścianofobia nie jest tylko problemem krajów azjatyckich czy Bliskiego Wschodu. Chrześcijaństwo są coraz bardziej zagrożeni również w Europie, w tym w Polsce

Chwile grozy przeżyli też wierni z Rypina (woj. kujawsko-pomorskie), gdzie w czerwcu podczas porannej mszy św. 46-latek uszkodził siekierą ołtarz, mszał, świece i mikrofon.

Wielokrotnie dochodziło również do zniszczeń i aktów profanacji. W marcu zatrzymano sprawców profanacji pomników tworzących drogę krzyżową w katowickiej Kalwarii Panewnickiej – dwoje 16-latków wymalowało na nich czarną farbą wulgaryzmy oraz satanistyczne symbole i teksty.

W maju w Miłkovicach w powiecie legnickim dwaj mężczyźni zamazali sprejem figurę Najświętszej Maryi Panny. W lipcu w Suchym Lesie koło Poznania doszło do profanacji kościoła pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa: kobieta dostała się do zamkniętego prezbiterium, po czym poprzewracała wszystko na ołtarzu. Zniszczyła m.in.: psalterz, świece i donicę. Przykłady można mnożyć.

BARBARZYŃSTWO LGBT+

Jedną z przyczyn wzrostu agresji wobec chrześcijan w Polsce jest zjawisko chryścianofobii, a także ofensywa środowisk, które najchętniej usunęłyby całkowicie chrześcijańskie korzenie Europy, bo blokują im one drogę do lewicowego „postępu”.

Chłonkowie społeczności LGBT+ oraz środowiska lewicowe coraz mocniej uderzają w Kościół i świętości, urządzając m.in. parodie rytuałów katolickich.

W maju 2019 r. policja zatrzymała 51-letnią kobietę, której przedstawiono zarzut profanacji wizerunku Matki Bożej Częstochowskiej. Kobieta zmieniła obraz Matki Bożej Częstochowskiej, otaczając postacie Maryi i Dzieciątkła aureolami w barwach tęczy.

W czerwcu podczas tzw. Parady Równości w Warszawie odbyła się parodia mszy, którą „odprawił” Szymon Niemiec, aktywista środowisk LGBT i biskup niewielkiego Zjednoczonego Kościoła Chrześcijańskiego, organizacji niepodlegającej Kościołowi rzymskokatolickiemu. Miał na sobie tęczyowy ornat i logo Parady Równości, jeden z jego pomocników założył zaś na głowę durszlak i udawał wyznawcę Kościoła Łatającego Potwora Spaghetti.

Głos w tej sprawie zabrał Episkopat Polski. „Istotą grzechu bluźnierstwa jest nienawiść skierowana przeciw Panu Bogu i temu, co święte. Narzędziami w tej walce z Bogiem jest wyśmiewanie prawd wiary, jak również naigrawanie się z symboli oraz praktyk religijnych i wykorzystywanie ich do prowokacji” – zauważył w komunikacie rzecznik Episkopatu ks. Ryteł-Andrianik, podkreślając, że „w społeczeństwie, w którym jest szacunek dla każdego, nie może być przyzwolenia na obrażanie Boga i ludzi wierzących”.

„Środowiska LGBT za przesładowania uznają brak realizacji ich postulatów politycznych. Chrześcijaństwo są najbardziej prześladowaną grupą na świecie. W PL dochodzi do kilkuset aktów przemocy i agresji tego typu rocznie. Musimy postawić im twardą tamę. Inaczej czeka nas los Zachodu” – zauważył na Twitterze wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski.

Przestępstwa popełnione z nienawiści względem chrześcijan w Polsce zgłasza m.in. Instytut Ordo Iuris. „W ostatnich tygodniach w Polsce ma miejsce coraz więcej przypadków znieważania przedmiotów czci religijnej i obrazy uczuć religijnych. Pomimo istnienia przepisów umożliwiających ściganie i pociągnięcie do odpowiedzialności karnej sprawców tych działań prawo nie jest w wystarczający sposób egzekwowane” – zauważył instytut i zwrócił się z apelem do prokuratora generalnego o interwencję w tej sprawie, aby osoby dopuszczające się obrazy uczuć religijnych czy znieważenia religijnych symboli odpowiadały za swoje czyny.

Chryścianofobia panoszy się bowiem coraz śmielej, wkraczając m.in. do języka. W Polsce część wielkich sieci sklepów – aby przypadkiem nie urazić np. niewierzących lub muzułmanów – nie obchodzi już np. Bożego Narodzenia, ale „sezon świąteczny” lub po prostu „przerwę zimową”.

Wielu katolików było też wyzydzanych i wyzywanych za zwykłą chęć bycia w łączności z Kościołem w trakcie epidemii. Losom poszkodowanych wyznawców Chrystusa mało kto się dziś jednak zajmuje.

Krucjata na równi pochyłej



Rafał A. Ziemkiewicz

Zmiana kandydatki nie pomoże Platformie, bo to nie jej złe notowania były przyczyną kryzysu partii, tylko odwrotnie

Komentatorzy polityczni nie są w stanie zrozumieć, o co chodzi Platformie Obywatelskiej. Lider opozycji ogłasza, że udaremnienie próby odbycia wyborów prezydenckich podczas epidemii to jej wielki sukces, na tym samym oddechu żądając, by ci, którzy pozbawili Polaków wyborów w konstytucyjnym terminie, zostali ukarani. Kandydatka na prezydenta długo nie była w stanie powiedzieć, czy kandyduje, czy nie, za to regularnie powtarzała, że już nie mamy w Polsce prezydenta, Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego, demokracji i prawa – niczego. Kolejni wspierający PO celebryci wygłaszają publicznie apele, aby ich partia wreszcie się ogarnęła, zaczęła na poważnie walczyć, bo te wybory to już ostatnia

szansa. Zarazem jednak jedyne, w czym wydają się zgodni, to to, że wybory nie powinny się w ogóle odbyć w żadnym przewidywalnym dziś terminie i w żaden sposób, a nawet jeśli się odbędą, to i tak będą nieważne. Chyba że – co zupełnie bezwstydnie napisał Roman Giertych – udałoby się opozycji je wygrać.

ZABRAKŁO PRZYWÓDCY

Jedynym lekarstwem na pogłębiający się kryzys, które znajduje PO, okazała się wymiana kandydatki. Miarą desperacji niech będzie to, że jej następcę upatruje się w Rafale Trzaskowskim, a przecież Małgorzata Kidawa-Błońska właśnie dlatego w ogóle się pojawiła, że wcześniejszego wieloletniego „infanta” uznano już za „spalonego”. Warto przypomnieć nie tylko o tym, lecz także o podobnych nadziejach, że lekarstwem na problemy PO będzie zmiana przewodniczącego. Udało się to, Grzegorz Schetyna został zastąpiony Borysem Budką – i co to w sytuacji partii poprawiło? Z Małgorzatą Kidawą-Błońską podobnie: jej wizerunkowa katastrofa nie była przyczyną degrengolady PO, tylko jej objawem. Zresztą jednym z wielu.

Co najdziwniejsze, ta przyczyna jest oczywista, tyle że coraz bardziej zamknięci w swojej medialnej „bańce” liderzy i zwolennicy opozycji wypierają ją ze świadomości. Po prostu, przyjmując przed pięciu laty formułę „opozycji totalnej”, PO weszła na drogę, która ostatecznie wyprowadziła ją z realnego świata.

Pierwotnie miała to być tylko taktyka, i to wcale racjonalna, by utrzymać hegemonię w obozie anti-PiS. Przenosząc walkę o władzę na płaszczyznę sporu o pryncypia (co zawsze w Polsce idzie łatwo), PO zyskiwała pałkę do okładania Nowoczesnej, SLD i PSL – w chwili, gdy toczy się walka o samą demokrację i o wolność jako taką, nie wolno „rozbić jedności” obozu ich obrońców. Dlatego pomniejsi wrogowie PiS muszą się bezwzględnie podporządkować. Moralny szantaż „żadnych rozmów z reżimem” skutecznie zapobiegał wyemancypowaniu się „przystawek”, a siła, którą kilkakrotnie pokazały lewicowo-liberalne media, atakując z histeryczną furią Ryszarda Petru czy Władysława Kosiniaka-Kamysza, kiedy ci bodaj tylko napomknęli o szukaniu jakiegoś kompromisu w ważnych dla Polski sprawach, wydawała się gwarantować, że

PO przetrwa w opozycji choćby i siedem chudych lat, jak udało się to Kaczyńskiemu i PiS.

Tym razem jednak efekt strategii delegitymizowania państwa („kondominium”) i „chwilowo” nim rządzących był inny. Może dlatego, że PO sama uwierzyła we własną propagandę, a może dlatego, że do skopiowania modelu opozycyjności PiS z lat 2007–2015 zabrakło zasadniczego elementu: przywódcy o niepodważalnym autorytecie. Jarosław Kaczyński mógł pozwolić sobie na rozpętywanie najbardziej radykalnych emocji związanych z „drugim Katyniem” i „zamordowaniem przez Tuska i Putina prezydenta Kaczyńskiego”, ponieważ sam, jako brat męczennika, pozostawał ponad tymi emocjami i mógł je przygasić, gdy przyszedł czas wrócić z obszaru rozbuchanej moralności do polityki racjonalnej.

Tymczasem Schetyna i cała PO, uruchomiwszy licytację, kto jest bardziej nieprzejednanym wrogiem „reżimu”, zmuszeni byli sami brać w niej udział. I stopniowo przegrywali z „opozycją uliczną”, kreując coraz bardziej oszalałych i odpychających dla normalnego Polaka liderów – od Kijowskiego przez Kasprzaka, Podleśną, Szczurka do standardów wyznaczanych obecnie przez Pawła Tanaję i jego rzekomych „przedsiębiorców” straszących morderczą technologią 5G i szpiegonkami Billa Gatesa.

CORAZ OSTRZEJ

Momentem przełomowym były wybory europejskie. Z punktu widzenia polityki racjonalnej oczywistym skonsolidowaniem formuły „opozycji totalnej” byłoby wystawienie przez PO własnych list, z ewentualnym wpuszczeniem na nie, ale na swoich warunkach i na „niebiorące” miejsca, działaczy pomniejszych partii. Nawet przy mniejszym procentowo wyniku PO miałyby wówczas więcej euro-parlamentarzystów, niż ma dziś – a wynik byłby na pewno lepszy, bo szantaż „niemarnowania głosu” i „nierozbijania jedności obozu demokratycznego” prawdopodobnie wymiółby rywali z opozycyjnej części sceny politycznej.

PO uległa już jednak szaleństwu wojny „o pryncypia moralne”, za strategiczny cel uznając nie swoją wygraną, ale osiągnięcie przez „obóz demokratyczny” optycznej, procentowej przewagi nad PiS – co zresztą też się nie udało.

W przeciwieństwie do PSL, które zrozumiało lekcję i czym prędzej prze-

malowało się z tęczy barw „Koalicji Europejskiej” na biało-czerwone „Koalicji Polskiej”, PO tylko utwardziła po tym niepowodzeniu swe nieprzejednane wobec rzeczywistości stanowisko. Grzegorz Schetyna, przy wszystkich swych wadach, bywał jeszcze pragmatykiem. Borys Budka sprawia wrażenie, jakby naprawdę wierzył, że obecne rządy to „piskomuna”, gorsza od Hitlera, Mao i Gomułki, z którymi walczyć trzeba nie dla zwycięstwa, ale z racji moralnych – żeby „dać świadectwo”.

Taką wiarę podziela nie tyle może liczne, ile opiniotwórcze towarzystwo z lewicowo-liberalnych salonów i to ono zachęca Budkę oraz innych swoich polityków do używania coraz ostrzejszej i coraz bardziej rygorystycznej moralnie retoryki. Sędziowie zbuntowani przeciwko KRS i nowemu p.o. prezesowi Sądu Najwyższego stają się „obrońcami honoru”, uliczni zadymiarze zaś urastają w rojeniach lewicowo-liberalnych mediów do roli nowego wcielenia walczących o wolność powstańców. Nałożenie na rzeczywistość filtrów mitu pozwala oswoić się z porażkami, a nawet się w nich rozsmakować. Przegrywamy? Nie, moralnie wygrywamy, bo jesteśmy, trwamy, dajemy świadectwo. Strzelców Piłsudskiego też witały zatrzaśnięte okiennice, a przecież wygrali, bo ich sprawa była słuszna. PiS ma za sobą większość? Gomułce też kiedyś tłumy wiwatowały, ale potem przejrzały na oczy. Et cetera.

W ten sposób opozycyjna polityka, stopniowo zamieniana przez opozycję w swego rodzaju krucjatę, wzięła ostateczny rozbrat z rzeczywistością, w której żyją miliony wyborców. Czy raczej po prostu rzeczywistość unieważniła. Ci, którzy oczekują od władzy nie „legitymacji moralnej”, ale ochrony w niepewnych czasach epidemii i kryzysu, są po prostu „nieuświadomieni” i zasługują na podobne potępienie jak „reżim”. Nie należy się nimi przejmować – przyjdą katastrofa, załamanie, bezrobocie, sami wtedy zobaczą, jak podle się zachowali, i przyjdą do nas z płaczem!

Wiara w „przebudzenie” obecna jest w działaniach opozycji od wyborczej klęski roku 2015 i rozgrzesza ją z braku wizji i pomysłów – od lat opozycja spodziewa się, że wróci do władzy nie własnym staraniem, ale wskutek wstrząsu, którym miało być potępienie Unii Europejskiej, filmy Sekielskiego czy Vegi, a ostatnio pandemia (stąd zubożenie całej strategii politycznej do opóźniania wyborów z wia-

ra, że z czasem zniszczy PiS oczekiwany kryzys, bezrobocie i nędza). Dzisiaj już jednak wstrząs zaczyna być postrzegany nie tyle jako sposób na odzyskanie władzy, ile jako należna Polakom kara, która przywróci moralny porządek, zaburzony odrzuceniem przez ciemne społeczeństwo światłych elit w roku 2015.

„KARA” BIERŻYŃSKIEGO

Dobitnym przykładem rozbratu z rzeczywistością jest teza ogłoszona przez Jakuba Bierzyńskiego (swego czasu zajmującego się politycznym marketingiem!). Opozycja, wedle jego licznych artykułów, w ogóle nie powinna dążyć do przejęcia władzy. Powinna tylko niezłomie trwać jako wzorzec. Niech obecna władza załame się sama. Niech przyjdzie dla niej „kara” – niech się wszystko zawali, rozsypie i popadnie w nędzę. Łatwo zauważyć, że byłaby to, tak naprawdę, kara nie tyle dla PiS, ile dla wyborców, dla społeczeństwa, które tak bardzo zawiodło swych oświeconych.

Wydaje się, że ta mroczna wizja „kary” Bierzyńskiego podzielana jest przez liberalno-lewicowe salony. Rzeczywiście bowiem nie dążą one do przejęcia władzy, nie próbują sformułować żadnej wizji, alternatywy, w jakikolwiek sposób przekonać wyborców, że umiałyby rządzić lepiej. Wolą trwać w nieprzejednanym sprzeciwie, protestować przeciwko wszystkiemu i co najwyżej wsadzać kij w szprychy, aby przyspieszyć oczekiwany czas sycenia się upadkiem PiS-owskiego Babilonu i zemstą.

Polityka nie polega na dogadywaniu, krytykowaniu, „otwieraniu oczu” i „dawaniu świadectwa” – tak wyglądała w PRL, bo inna była wtedy niemożliwa. Opozycja jednak – co dla mnie najdziwniejsze, także Konfederacja – kopiuje dziś ten właśnie anachroniczny wzorzec i wydaje się coraz lepiej czuć w łożu szyderców.

Z punktu widzenia wyborcy oznacza to tyle, że jedyną alternatywą dla PiS jest chaos, który opozycja stale wieszczą i wręcz się go domaga. A chaosu, utraty poczucia bezpieczeństwa i stabilizacji wyborca boi się bardziej niż czegokolwiek innego. Więc tak naprawdę dla PiS, jakikolwiek by on był, wyborczej alternatywy dziś po prostu nie ma. Skłócone kamaryle na dworze Jarosława Kaczyńskiego mogą się żreć do woli w poczuciu, że poza gniewem samego Komendanta nic złego spotkać ich dziś nie może.

Taki scenariusz jest tym bardziej prawdopodobny, im mniej ułożona, ustabilizowana i krócej trwająca demokracja. Trudno go sobie wyobrazić w Wielkiej Brytanii czy Niemczech – tam droga na polityczne szczyty wymaga lat pięcia się przez struktury partii, które stają się sitem, odsiewającym politycznych naturszczików. Ma to swoje złe strony, ale ma też jedną bardzo dobrą: wyborcy wiedzą, czego spodziewać się po ludziach takich jak Boris Johnson czy Angela Merkel.

Wygrana naturszczyka to rzadkość, ale się zdarza – na ogół tam, gdzie demokracja jest szczególnie słaba. Przykładem było zwycięstwo Wołodymyra Zełenskiego w zeszłorocznych majowych wyborach prezydenckich na Ukrainie. Zełenski zdeklasował politycznych wygów, w tym poprzednika, skompromitowanego Petra Poroszenkę, oraz byłą premier Julię Tymoszenko, choć nie był znany z aktywności politycznej, ale z serialu telewizyjnego i występów na żywo. Szymonowi Hołowni daleko jeszcze do fenomenu Zełenskigo, ale mechanizm wydaje się podobny: Hołownia także znany był dotąd jedynie jako medialny celebryta. Przy czym w Polsce nad tego typu nagłymi karierami wisi zawsze odległa w czasie, ale bliższa nam, bo polska, analogia: Stanisław Tymiański.

Do dziś nie jesteśmy pewni, czym projektem był i czyje interesy reprezentował człowiek, który zjawił się w Polsce przed wyborami prezydenckimi w 1990 r. i szturmem wszedł do drugiej tury z Lechem Wałęsą, zdobywając ponad 23 proc. głosów i pokonując Tadeusza Mazowieckiego, antywałęsowskiego kandydata kręgów utworzonej niedługo później Unii Demokratycznej. Ostatecznie Tymiański przegrał z Wałęsą, ale na tym swojej aktywności nie zakończył. Jakiś czas funkcjonowała jeszcze w polityce założona przez niego Partia X. Ten „X”, czyli znak nieokreśloności, podsumowywał mgławicowość Tymiańskiego i jego pomysłów na Polskę.

Wydawałoby się, że trudno porównywać czasy sprzed 30 lat do dzisiejszych. Ale czy na pewno? Tymiański dysponował przed wyborami książką programową, która dziś jest ciekawym instrumentem. Nosiła tytuł „Święte psy”. Hołownia też taką wydał – nazywa się bezpretensjonalnie „Teraz albo nigdy”. To wprawdzie zbiór wcześniej już publikowanych tekstów publicystycznych (podobną kon-



Szymon Hołownia – Tymiański 2.0?



Łukasz Warzecha

Schemat powtarza się w różnych miejscach na świecie. Przed wyborami pojawia się ktoś, kto się od polityki odżegnuje i nie brał w niej dotąd udziału, zdobywa szybko poparcie w sondażach i czasem wygrywa, choć na ogół przegrywa, a potem popada w niebyt

strukcję miała książka Tymiańskiego), ale ma pełnić funkcję rozbudowanej ulotki wyborczej.

ODMIENNI KANDYDACI?

W swojej „Historii politycznej Polski 1989–2015” prof. Antoni Dudek tak pisze o kandydaturze Tymiańskiego: „Swój niezwykle sukces zawdzięczał pojawieniu się na scenie politycznej w momencie, w którym spora część wyborców oczekiwała kandydata zasadniczo odmiennego od pozostałych. Pretendenta niewiukłanego w dotychczasowe spory polityczne, za-

równy te sprzed, jak i po 1989 r., a zarazem symbolizującego sukces, o jakim marzyło wielu Polaków. [...] Program wyborczy »niezależnego kandydata«, jak się określał, składał się z 21 punktów [...]. »Naczelnym obowiązkiem prezydenta jest dziś wzmocnienie Ducha Narodu oraz wycucie zagrożeń suwerenności ekonomicznej i terytorialnej« – głosił punkt nr 2 programu kandydata. Pozostałe odznaczały się równie wysokim poziomem konkretności, podobnie zresztą jak telewizyjne wystąpienia Tymiańskiego, będące najczęściej relacjami z jego wieców wyborczych”.

„Wiem, jak ważne dla Polek i Polaków jest robienie dobra i jak wiele tkwi w nas pozytywnej energii”. „Coraz więcej z nas uważa, że niemożliwe jest, by polityka była źródłem wsparcia i inspiracji. [...] Nie powinniśmy tylko biernie przyglądać się temu, dokąd zmierzamy”. „Wierzę, że dobra polityka jest możliwa. Taka, w której jest mniej hejtu i arogancji. W której nie ma partyjnych gierk o stołki, partyjnej sprawiedliwości, partyjnych interesów przedkładanych nad interes nas wszystkich. Wierzę w politykę, która powstaje we wspólnej rozmowie, a nie w oparciu o przekaz dnia. W której moglibyśmy wspólnie działać na rzecz dobra i powoli – ale skutecznie – odkrywać to, co nas łączy, a nie ciągle podkreślać to, co nas dzieli. Przekonywać się, że jedność to nie jednolitość, a pojednana różnorodność. I o taką politykę chcę wspólnie w Wami powalczyć” – to już cytaty ze strony internetowej Szymona Hołowni, kandydata na prezydenta w 2020 r. Obłość i nijakość – te dwa słowa najlepiej określają te frazy. Oczywiście nie jest to nic wyjątkowego – frazesy o pojednaniu czy o odejściu od wyniszczającego konfliktu znajdziemy u innych kandydatów (choć nie u wszystkich – nie szermują podobnymi hasłami ani Krzysztof Bosak, ani tym razem Andrzej Duda). Tyle że w przypadku Władysława Kosiniaka-Kamysza czy Roberta Biedronia to jedynie dodatek do przejrzystej i znanej drogi politycznej, a więc niezależnie od tej retorycznej jazdy obowiązkowej względnie wyrobiony wyborca może mieć wyobrażenie, co się za tym kryje i jaką drogą może pójść dany kandydat.

To nie jest możliwe w przypadku Hołowni. Owszem, pojawiają się i u niego konkretne propozycje, takie jak „przejęcie przez państwo pensji pracowników” w związku z epidemią, ale to jakieś zawieszono w próżni, oderwane od rzeczywistości społecznej i ekonomicznej przykłady myślenia życzeniowego. Hołownia nie wyjaśnił też nigdy, w jaki sposób zamierzałyby swoje pomysły realizować, nie mając żadnego politycznego zaplecza. Wszak projektów ustaw prezydent może sobie naprodukować do woli, ale to nie znaczy, że którykolwiek z nich przejdzie w parlamencie.

Za czasów Tymińskiego nie było Internetu. Gdyby był, niewykluczone, że tajemniczy rodak z Peru i Kanady z milczącą egzotyczną żoną u boku stałyby się jego

gwiazdą tak jak Hołownia ze swoją żoną pilotem. Wydaje się, że izolacja związana z pandemią, która sprawiła, że przesiadujemy przed komputerami, w połączeniu ze sprawnością Hołowni w mediach społecznościowych napędziły mu poparcie. W jednym z ostatnich sondaży showman wyprzedził już Władysława Kosiniaka-Kamysza, zdobywając 19,2 proc. wobec 16,6 proc. dla lidera ludowców.

Hołownia jako medialny celebryta wie, jak sprzedawać się w sferze wirtualnej. A tam procentują zachowania, które w normalnych warunkach byłyby dyskwalifikujące. W nocnej transmisji na żywo jakiś czas temu Hołownia snuł rzewne opowieści o konstytucji i o tym, że chciałby urządzić Polskę tak, jak to opisuje ustawa zasadnicza, po czym się popłakał. Po kandydacie na głowę państwa oczekiwać by należało stabilności i kontroli nad własnymi emocjami – ale właśnie takie tanie chwytły jak płacz nad konstytucją w sieci sprzedają się dobrze. Hołowni ten cyrk nie zaszkodził.

Do jakiego stopnia kandydatura byłego prowadzącego „Mam talent” jest produktem ekipy marketingowców, działających w czymś interesie, a do jakiego Hołownia jest po prostu sobą – tego oczywiście nie wiemy. Cynizm wieloletniego obserwatora polityki nie pozwala jednak wierzyć w tę drugą wersję. Faktem jest, że „kandydat niezależny” (idealnie pasuje tu własne określenie Tymińskiego) dostał prezent od losu w postaci skrajnie nieudolnej i nieudanej kandydatki Koalicji Obywatelskiej. Można założyć, że gdyby nie dramatyczna kompromitacja Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, dziś Hołownia w sondażach sytuowałby się wyraźnie za Kosiniakiem-Kamyszem. Natura jednak nie znosi próżni. Hołownia sformatował się – lub został sformatowany – na takiej zasadzie jak tworzone są popularne młodzieżowe zespoły: najpierw wytwórnia bada trendy i zapotrzebowanie rynkowe, a potem odpowiednio dobiera śpiewających nastolatków pod kątem płci, wyglądu, wieku. Autentyczne zdolności wokalne i twórcze grają najmniejszą rolę – podobnie jak w przypadku Hołowni najmniejszą rolę grają jego faktyczne zapatrywania.

Hołownia został więc sformatowany pod zapotrzebowanie centrowo-antypisowskiego elektoratu. Bardziej niż jakiekolwiek propozycje programowe opisują go miejsca, gdzie się pojawiał

i z którymi był powiązany: TVN, „Tygodnik Powszechny”, wydawnictwo Znak. Hołownia jest trochę jak bohater jednej z TVN-owskich telenowel: ładny, modny, tolerancyjny, intelektualnie niewyróżniający się. Trochę swój chłop, trochę człowiek sukcesu. Idealny dla wyborców, których razi nieudolność Koalicji Obywatelskiej, kompleksy nie pozwalają im zagłosować na „chłopa” (a tak naprawdę krakowskiego inteligenta) Kosiniaka-Kamysza, zaś na widok Krzysztofa Bosaka wzdrygają się z obrzydzeniem, którego, jak sądzą, nie muszą nikomu tłumaczyć. Biedron jest dla nich odrobinę za radykalny, a Andrzeja Dudę uznają za posłusznego Kaczyńskiemu, którego nie cierpią. W gruncie rzeczy Hołownię można sobie doskonale wyobrazić jako kandydata PO, gdyby ta partia poszła kilka lat temu inną drogą niż histeryczna negacja wszystkiego, co robił PiS.

Opozycja będzie miała ogromny problem, jeśli w drugiej turze faktycznie znalazłby się Hołownia z urzędującym prezydentem. Dla PO byłaby to nie tylko klęska, lecz także poniżenie. Poważny cios otrzymałyby ambicje Kosiniaka-Kamysza. Lewica miałaby trudny dylemat – czy poprzeć kandydata, który jednak ma wyraźny, choćby tylko retoryczny, rys konserwatywny, a do tego politycznie to tabula rasa.

Czy do tego dojdzie? Prognozowanie w tym momencie jest bardzo trudne, ale możliwe, że szczyt notowań Hołowni jest właśnie teraz i swoich dobrych sondaży nie dowiezie do wyborów pod koniec czerwca czy w lipcu. Po pierwsze – jeżeli KO będzie w stanie zmienić swojego kandydata na lepszego niż Kidawa-Błońska, atrakcyjność Hołowni dla części antypisowskiego elektoratu spadnie. Po drugie – w miarę odmrężania gospodarki ludzie będą się odrywać od komputerów, zatem wirtualna przewaga Hołowni osłabnie.

Czy na bazie kampanii prezydenckiej uda mu się stworzyć jakąś siłę polityczną? To też wątpliwe. O ile nie będziemy mieć wcześniejszych wyborów, o tyle trudno byłoby dowieźć nowo budowaną formację, pozostającą poza parlamentem, aż do 2023 r. Stanisław Tymiński stworzył w 1991 r. Partię X, która jednak okazała się efemerydą, raz tylko wprowadzając do Sejmu trzech posłów. Bajka o niepartyjnym kandydacie Hołowni może się skończyć tak samo.



FOT. MACIEJ KOŁENIA/REPORTER



Z Jolantą Turczynowicz-Kieryłło,
byłą szefową kampanii Andrzeja Dudy
rozmawia Marcin Makowski

MARCIN MAKOWSKI: Czy żałuje pani wejścia do polityki?

JOLANTA TURCZYNOWICZ-KIERYŁŁO: W życiu publicznym jestem od najmłodszych lat, mój ojciec był silnie zaangażowany w obronę działaczy solidarnościowych. Dom był zawsze otwarty, inteligentki, te tematy się pojawiały...

Pytam o teraźniejszość. Medialny młynek, partyjny spin, tempo kampanii.

Nigdy nie weszłam w politykę partyjną, a nieporozumienie z przypisywaniem mnie do określonej opcji wynika być może z tego, że prezydenta utożsamia się z określonym obozem partyjnym. Co samo w sobie jest dosyć naturalne. Jeśli pyta pan o żal... Na pewno nie spodziewałam się wielu rzeczy, które się wydarzyły.

Jako szefowa kampanii urzędującego prezydenta nie spodziewała się pani ataków?

Mówię o atakach bezprawnych i naruszeniach prawa w stopniu tak kardynalnym, że żaden rozsądny człowiek nie jest ich w stanie antycypować. W kampanię zaangażowałam się jednak mimo wszystko, bo uważałam, że nie można akceptować sytuacji, które określa się jako złe. Chciałam szukać kompromisu w życiu społecznym, skończyć z biernym akceptowaniem rzeczy, na które się nie godzę. Drugi raz zrobiłabym to samo, bo mam w sobie idealistkę, która każe mi walczyć.

A może zamiast idealistki powinna się w pani odezwać realistka?

Jestem silną osobą, ataki medialne nie wpłynęły na moją rezygnację. Nie można złamać kręgosłupa komuś, kto ma stabilne osadzenie w wartościach. Można go oczywiście poranić, ale z tym się trzeba liczyć, co nie znaczy, że na to godzić. Dzisiaj zastanawiam się, jak spożytkować to doświadczenie ku czemuś dobremu. Może napiszę książkę...

Kiedy 14 marca ogłosiła pani rezygnację ze stanowiska szefowej kampanii Andrzeja Dudy, jako powód podała „zły stan zdrowia”.

Na pewno głównym powodem był stan zdrowia, nie muszę tłumaczyć, w jakiej kondycji można się znajdować po takich atakach.

Opinia publiczna odebrała takie wytłumaczenie jako wymówkę.

Z całą pewnością decyzję o rezygnacji podjęłam suwerennie, bez niczych nacisków. Rozczaruję wszystkie osoby ocze-

kujące opowieści o tym, jak próbowano się mnie pozbyć. Takich rozmów nikt ze mną nie przeprowadzał i myślę, że nawet gdyby taką sytuację założyć, nie wpłynęłaby ona na to, co zrobię. Martin Luther King powiedział kiedyś, że „na końcu będziemy pamiętać nie słowa naszych wrogów, lecz milczenie przyjaciół”.

Zawiodła się pani na kimś?

Nie mogę dzisiaj uogólniać, jak się zachowywało moje otoczenie. Mamy tak gorący czas, że za wcześniej na refleksję. Dopiero po kampanii zdroworozsądkowe podejście, również do mojej roli, pozwoli odpowiedzieć na pytanie o rolę poszczególnych ludzi oraz czy udało mi się wnieść do niej odrobinę słońca. Robiłam wszystko w dobrej wierze.

w kampanii wynikały z tego początkowego nieporozumienia. Niestety prezentacja zaplecza Andrzeja Dudy odbyła się w ten sposób, że nasze role i zadania nie zostały praktycznie przedstawione, co było dla mnie totalnym zaskoczeniem. I jak się później okazało, w tej kwestii, o której powiedziałam, miało negatywne skutki medialne.

Może ktoś pomyślał: „My tutaj od lat gryziemy trawę, jesteśmy w partii, a nagle na ostatniej prostej na scenę wkracza protegowana Jarosława Gowina i kradnie cały show”.

Nie wykluczam. Swoją rolę postrzegałam w kategoriach koncyliacyjnych. Wiem, że byłam osobą nową w tym środowisku i pewnie również z tego powodu pojawiło się początkowe duże

i dobrze – kontrolować ani ograniczać wolności mediów w takiej sprawie.

Co się stało od tego czasu, że z roli osoby, która miała być architektem zwycięstwa Andrzeja Dudy, przeszła pani w ciągu niespełna dwóch miesięcy na pozycję niekiedy zawołowanej, ale jednak krytyki.

Właściwie w żadnej ze swoich wypowiedzi nie formułuję krytyki w kierunku prezydenta Dudy.

„Statyczne one man show” i „niewykorzystana szansa”. To pani wpis na Twitterze o konwencji programowej głowy państwa.

Tak.

Odbieram to jako krytykę.

To jest moja refleksja na temat sposobu przedstawiania prezydenta oraz prezentacji programu. Bardzo dużo słów można by powiedzieć, ale w krótkiej formule na Twitterze oddałam wszystko, co było najistotniejszym niedociągnięciem konwencji programowej. Moja krytyka okazała się konstruktywna, bo w późniejszym orędziu prezydenta z okazji 3 maja naprawiono te błędy. Narracja była wartka, przesłanie blisko ludzi, światło nienaganne. Nie dało się jednak ukryć, że ponad dwie godziny mówienia o programie na konwencji wzbudziło mieszane uczucia również w elektoracie prezydenta, dostałam dziesiątki takich komentarzy od ludzi, którzy wspierają Andrzeja Dudę. Chciałam o moich uwagach poinformować, aby nie przerodziły się one w tysiące. To, co nas wzbogaca jako społeczeństwo, to różnorodność. Jeśli ktoś boi się konstruktywnej krytyki, wówczas oznacza to, że podchodzi nieodpowiedzialnie do życia.

Czy to uwaga wypowiedziana w kierunku prezydenta?

Nie, mówię o osobach, które odbierały moją wypowiedź o konwencji jako krytykę samego Andrzeja Dudy, a nie formy wystąpienia. Często podkreślam, że analizy wielu opinii i punktów widzenia są cenniejsze niż ślepe przytakiwanie. Dialog nas wzmacnia. Mój przekaz zakomunikowałam jasno: statyczne wystąpienie zaszkodziło prezydentowi.

Wszystko rozumiem, ale nie da się tego łatwo wyłumaczyć chęcią konstruktywnej krytyki. Nigdy w historii polskiej polityki szefowa kampanii prezydenta nie przeszła tak radykalnej ewolucji w ocenach.

Nie widzę tutaj radykalizmu. Od początku moja rola w kampanii polegała na

Decyzję o rezygnacji podjęłam suwerennie

W kulisach mówi się, że Beata Szydło miała oponować przeciwko pani nominacji, Jarosław Kaczyński w ostatniej chwili jednak ją zaakceptował, ale w konsekwencji wewnętrznego spięcia prezydent Duda nie przedstawił ani pani, ani swojego sztabu na konferencji przed wyruszeniem dudabusa. Jeśli tak się zaczyna, to może nie dało się inaczej skończyć?

Zadał pan bardzo roztropne pytanie. Jeśli jednak był jakiś konflikt, to nie miałam o nim pojęcia. Przed rozmowami o mojej roli w kampanii nikt mnie o nim nie informował. Chciałabym coś przy tej okazji podkreślić: to, co robiłam i miałam robić, nie wchodziło w żadnym stopniu w samo funkcjonowanie i organizację sztabu. Pani Beata Szydło i pan Jacek Brudziński nadal pełnili funkcję, o których pewnie wcześniej rozmawiali. Często niekorzystne komentarze medialne i polityczne dotyczące mojej roli

zainteresowanie mediów, którego w żaden sposób nie podsycalam. Raptem dosłownie parę razy zdążyłam się wypowiedzieć publicznie, nie udzielałam żadnych wywiadów.

W pewnym momencie więcej niż o samym prezydencie. Pani „czerwony płaszczyk” i wyjście jako pierwszej z autobusu kampanijnego urosło do rangi symbolu pierwszej – przedpandemicznej – fazy wyjścia o prezydenturę.

To nieporozumienie z „płaszczkiem” związane jest z szarmanckim gestem prezydenta na trasie dudabusa, który przepuścił mnie przodem na nieoficjalnym postoju, na którym udaliśmy się do schroniska dla zwierząt. Byłam nową osobą, to był pierwszy nasz wyjazd, ubrana byłam w kolory kampanijne. Nic nie zwiastowało tego szumu, który się rozpoczął. Nikt z nas nie jest w stanie –

kreowaniu koncepcji, a nie jej organizowaniu i logistyce. To, o czym mówiłam, od początku mogło się wielu osobom nie podobać, ale widziałam prezydenturę Andrzeja Dudy jako odważną, niezależną, taką, w której będzie akcentował kwestie wymagające kompromisu społecznego. Żeby wygrać tak ważne wybory, trzeba nie tylko się oprzeć na własnym zapleczu politycznym, lecz także wyjść poza nie. Prezydent Duda ma taki potencjał, żeby pozyskać elektorat centrowy i młodych ludzi.

Czy pani zdaniem ten potencjał został zmarnowany?

Na pewno sposób przedstawienia programu w formule merytorycznej i wizualnej – jak już mówiłam – był taką niewykorzystaną szansą i zmarnowanym potencjałem. Gdybym nadal pełniła funkcję szefowej kampanii, zapewne byśmy w większym gronie o tym teraz dyskutowali. Postawa prezydenta powinna być otwierającą się na społeczeństwo, a nie zamykającą w określonej grupie politycznej. Tego mi zabrakło.

Jak pani odbiera brak emocji i błyskawiczne ucięcie tematu, gdy Andrzej Duda został zapytany o pani dymisję na konferencji prasowej? Czyba „chemii” w tej współpracy nie było.

Ja bym tak nie powiedziała, prezydent do tej pory wzbudza moją sympatię. Trudno od niego oczekiwać, żeby wypowiedział się obszernie na temat mojej rezygnacji dosłownie w przededniu ogłoszenia pierwszych ograniczeń w związku z walką z koronawirusem. Na pewno miał na głowie ważniejsze zagadnienia.

Niedawno napisała pani, cytując Camusa, że „wielkość człowieka polega na jego postanowieniu, by być silniejszym niż warunki czasu i życia”. O kim są te słowa?

Często piszę słowa, które – mam nadzieję – mogą inspirować wiele osób. Również te piastujące bardzo istotne funkcje w życiu publicznym.

Na przykład niektórych tzw. szeregowych posłów?

(śmiech) Uważam, że generalnie nie należy chodzić za tłumem i odważnie bronić zasad.

Nie chodzi pani za tłumem, ale również nie odpowiada na pytania. Czy to było o konkretnej osobie?

Ależ odpowiadałam. Gdybym chciała skierować te słowa do kogoś konkretnego, tak bym zrobiła. Do wszystkich z tych

osób oraz tej, którą ma pan na myśli, mam numery telefonów. Swoje przesłanie kieruję również do wszystkich osób, które mogą mieć wpływ na to, jak podejmowane są decyzje w naszym kraju, zwłaszcza przez polityków na szczycie.

Zapytam wprost: Czy mam rozumieć pani słowa jako zawód postawą PiS i Jarosława Kaczyńskiego odnośnie do organizacji wyborów?

Jeśli chodzi o termin wyborów prezydenckich, to od początku uważałam 10 maja, przy obecnej konstrukcji sceny politycznej, za niemożliwy do zrealizowania.

W żadnej formie?

10 maja forma korespondencyjna z przyczyn organizacyjnych oraz konstytucyjnych i ustawowych nie mogła gwarantować zachowania zasady powszechności, tajności i bezpośredniości, zwłaszcza w odniesieniu do Polonii.

Wybory hybrydowe latem będą zatem lepsze?

Mają więcej plusów, ale nie znam wszystkich kwestii technicznych, więc nie chcę autorytatywnie oceniać. Już w marcu mówiłam jednak, że w kwestii wyborów i kampanii musi nastąpić ponadpartyjne porozumienie, którego orędowniczką byłam od zawsze.

Czy po wyjściu z aktywnej polityki nadal utrzymuje pani relacje z partiami i konkretnymi politykami? Była pani przecież autorką poprawek Porozumienia do tzw. ustawy represyjnej. Czy prowadzi pani nadal działalność doradczą?

Relacji politycznych z Porozumieniem nigdy nie miałam, nie jestem członkiem żadnej partii. Współpracowaliśmy z racji tego, że jestem adwokatem i prezesem fundacji. Z wieloma sympatykami i członkami Porozumienia będę współpracować, ale dobre relacje mam również z członkami innych ugrupowań prawicowych. Tutaj nic się nie zmieniło.

Relacje są również miłe z samym prezesem Porozumienia, który najpierw „wprowadził” panią do sztabu, a później wydawał się od tej decyzji dystansować?

O moim wejściu do kampanii zdecydował prezydent Andrzej Duda. Osób, które mnie rekomendowały, było znacznie więcej, trudno mi komentować, w jaki sposób premier Gowin odnosił się później do mojej aktywności. Myślę, że też był zaskoczony skalą pomówień publikowanych na mój temat. Rozumiem, że z tego powodu

mogły być różne reakcje. A skąd taka skala ataku? Być może stanowiłam zagrożenie dla niektórych polityków z długoletnim stażem? Być może dla jakichś środowisk, grup interesów, nie wiem.

A stanowiła pani?

Nie planowałam kariery politycznej po zakończeniu kampanii.

Na salonach towarzyskich Milanówka chyba nie ma pani dzisiaj łatwego życia? Od poetki piszącej żartobliwe fraszki o Jarosławie Kaczyńskim przez frontmankę prezydenta i z powrotem.

Nigdy nie uczestniczyłam w spotkaniach „salonów” w Milanówku czy Warszawie. Nie mam na to czasu, pracuję jako adwokat, prowadzę fundację Akademii de Virion i to jest moja pasja. W mieście nie spotykam się również z ostracyzmem, a wręcz przeciwnie – wielu sąsiadów proponowało, że zadzwoni w mojej obronie do mediów. Swoją drogą kwestia fraszek, zresztą nie mojego autorstwa, to sprawa poczucia humoru i pewnego stylu lub jego braku. Nie uważam jednak, aby ludzie kulturalni mieli z takich powodów zamykać przed sobą drzwi i się obrażać. W sprawie poglądów prezentuję postawę papieża Franciszka – różnorodność oznacza rozwój.

Papież Franciszek papieżem Franciszkiem, ale kilku sąsiadów odezwało się do „Gazety Wyborczej”, nie kryjąc swoich emocji.

To nie sąsiedzi. To wypowiedzi znanych bardzo wysoko usytuowanych w środowisku Platformy, szkodzących mi już w trakcie kampanii do Senatu, obecnie aktywnie zaangażowanych w kampanię Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. W tej kwestii warto może wspomnieć, że poznaliśmy się, gdy działałam w prawniczym RS AWS, a oni kierowali również prawniczym KPN. W ostatnich latach zaś stali się ultraliberałami. Od kilku lat nie mamy kontaktu i nie mam na nich wpływu. Natomiast budzi mój sprzeciw obmawianie ludzi z powodu odmiennych poglądów politycznych, więc nie będę tego wątku kontynuować.

Na koniec wróćmy do punktu wyjścia. Czy będzie pani głosowała na Andrzeja Dudę?

Wszyscy ostatnio mnie o to pytają. Moja sympatia pozostała przy tej samej osobie. Natomiast potrzeby, abym deklarowała swoje poparcie dla któregoś z kandydatów, w tej chwili nie widzę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**13. FESTIWAL
MUZYKI
FILMOWEJ**

26.05—1.06.2020 r.

SŁUCHAJ W RMF CLASSIC
CODZIENNIE O 21.00

26.05 | CINEMA CHORALE (2019)

27.05 | CINEMATIC PIANO: LION.
DROGA DO DOMU –
HAUSCHKA & DUSTIN
O'HALLORAN (2018)

28.05 | CINEMATIC PIANO:
JEAN-MICHEL BERNARD
(2017)

29.05 | ALL IS FILM MUSIC: GALA
JUBILEUSZOWA 10. FMF (2017)

30.05 | MIĘDZYKRAJOWA GALA
SERIALI (2015)

31.05 | GALA MUZYKI FILMOWEJ:
ANIMACJE (2016)

1.06 | KONCERT SPECJALNY
Z OKAZJI DNIA DZIECKA

SPRAWDŹ PROGRAM KONCERTÓW ONLINE NA **RMFCLASSIC.PL**

OGLĄDAJ NA:



/rmfclassic



@rmfclassic



/rmfclassic



Łukasz Zboralski

Polska dość sprawnie jako kraj zapewniła sobie sprzęt i innego rodzaju pomoc na czas pandemii. Nie udałooby się to, gdyby nie spółki Skarbu Państwa

Brak sprzętu, apele personelu medycznego o zabezpieczenie ich przed chorobą – to, jak się szybko okazało, nie był tylko problem Polski. Żaden kraj na świecie nie był dobrze przygotowany na pandemię. I dlatego później rozpoczął się wielki wyścig o to, kto zrobi to szybciej. Nie chodziło bowiem jedynie o pieniądze. Amerykanie mieli ich relatywnie dużo, a jednak musieli i tak prowadzić operacje podkupywania towarów, które – głównie w Azji – załatwiały władze innych krajów. Jak na łamach „Do Rzeczy” wspominał Marcin Makowski, w świetle szans na ratowanie własnego narodu wszystkie sojusze gasły – także polski transport sprzętu usiłowano w Chinach przejąć i to już wtedy, gdy czekał przygotowany do odprawy na lotnisku.

– Było wiele trudnych chwil – mówi „Do Rzeczy” osoba znająca kulisy zagranicznych zakupów. – Chińczycy zmieniali przepisy celne i cały rząd pracował, żeby umożliwić wypuszczenie jednego już przygotowanego samolotu. Na szczęście mieliśmy spółki Skarbu Państwa, które uruchamiały swoje handlowe kontakty, by w tym wszystkim pomóc. Po raz kolejny okazało się, że kapitał ma jednak narodowość – dodaje.

PONAD 170 MLN ZŁ OD SSP

Kontakty handlowe, własne kanały dotarcia były nieraz kluczowe w organizowaniu pomocy. Bez pieniędzy nie można jednak kupić towaru, do którego się dotarło. W sumie – tylko do teraz – zaangażowanie spółek Skarbu Państwa w pomoc w walce z pandemią COVID-19 przekroczyła 170 mln zł.

W pomoc koordynowaną przez Ministerstwo Aktywów Państwowych włączonych jest kilkaset podmiotów. Trudno wyliczać każde działania, ale lista tylko tych największych pokazuje skalę.



Najgłośniejsze było o KGHM, dzięki któremu do kraju 14 kwietnia przyleciał największy transportowy samolot świata (Antonow An-225 Mrija). W wypełnionym po brzegi samolocie dotarli do Polski m.in.: maski ochronne typu FFP2, kombinezony medyczne i przyłbice chroniące twarz. Warto wspomnieć, że transport z KGHM organizowały wspólnie Miedź SA i Lotos SA.

Po przylocie w mediach sugerowano, że wynajęcie jedynego takiego samolotu na świecie było zagranicem PR-owskim, że nie przewiózł całkowitego dopuszczalnego tonażu. – Tylko że maski czy przyłbice ważą, ile ważą, a pojemność samolotu też jest ograniczona – mówi nasz informator z Ministerstwa Aktywów Państwowych. – Byłem na lotnisku i widziałem, że samolot był wypełniony w każdym calu. Wyraźnie było widać, po tym ataku i atakach na ministra aktywów państwowych, że komuś nie podobało się, iż jako Polska radzimy sobie z zapewnieniem materiałów medycznych – uważa.

„Gazeta Wyborcza” zasugerowała, że kupione przez KGHM maseczki nie spełniają norm i są bezużyteczne. To się wyjaśni być może podczas procesu. Spółka wysłała bowiem dziennikowi pismo w tej sprawie. KGHM zaznaczył, że maseczki posiadały wszystkie wymagane certyfikaty. „Na własny użytek prze-

prowadziliśmy testy w laboratoriach Centrum Badania Jakości. Wyniki są bardzo dobre. Maski nie tylko spełniają normy, lecz także ochrona, którą zapewniają, jest – według testów – wyższa niż w przypadku porównywanej maski renomowanej, znanej na europejskim rynku firmy. KGHM sprawdza nie tylko dokumentację, lecz także dostawców. Maski, które zostały sprowadzone do Polski z Chin przez importera, są dobrej jakości. Mimo że nie jest to wymagane, próbki produktów zostały wysłane do CIOP i są badane przez laboratorium” – poinformowała spółka.

Tymczasem mrija to niejeden samolot, który przywiózł do polski sprzęt dzięki KGHM. Między 26 marca a 4 kwietnia do kraju przybyło w sumie pięć samolotów ze sprzętem medycznym zakupionym przez spółkę. Do 1 kwietnia wydała ona na zakupy sprzętu medycznego do walki z pandemią ponad 15 mln dol.

Jeszcze pod koniec marca Fundacja KGHM przekazała 1,2 mln zł na zakup sprzętu do szpitali w Lublinie i Legnicy (m.in. respiratorów, dozowników tlenowych i testów).

Grupa kapitałowa KGHM wzięła też udział w produkcji środków do dezynfekcji. Spółka NITROERG, zajmująca się produkcją ładunków wybuchowych, uruchomiła linię technologiczną i zaczę-



Jacek Sasin, wieloletni współpracownik Lecha i Jarosława Kaczyńskich, minister aktywów państwowych, koordynuje pomoc spółek Skarbu Państwa w czasie walki z pandemią COVID-19

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

ła wytwarzać płyn Nitrosept. Fundacja KGHM w ramach darowizny przekazała 20 tys. l tego płynu szpitalom, hospicjom i placówkom medycznym w kraju.

ORLEN, LOTOS I INNI

Płyn do dezynfekcji rąk produkuje też Orlen. Firma wytwarza też płyn do dezynfekcji powierzchni. Wydała już ponad 100 mln zł na pomoc w walce z pandemią. Kupiła ok. 15 mln maseczek ochronnych, przekazała 10 mln zł podmiotom zajmującym się diagnozowaniem i leczeniem chorych na COVID-19. Szpitalom w Warszawie i Płocku przekazano siedem respiratorów (łącznie 2 mln zł darowizn). Na wsparcie domów pomocy społecznej Orlen przeznaczył 4 mln zł. Fundacja Orlen na czas zdalnej edukacji kupiła też komputery dla rodzinnych domów dziecka (ok. 500 tys. zł). W ramach charytatywnego programu „VITAY” Fundacja Orlen rozdysponuje 360 tys. zł. Za ok. 200 tys. zł przekazano płyn do dezynfekcji dla Fundacji Solidarności Międzynarodowej. Dom Wsparcia dla Powstańców Warszawy otrzymał ok. 50 tys. zł.

A to nie wszystko. Także Orlen zaopatrywał w napoje i kanapki kierowców czekających na przekroczenie granic niemiecko-polskiej i czesko-polskiej. Od 1 maja żołnierze WOT mogą tankować

na stacjach Orlen taniej i tak jak medycy za darmo dostają tam gorące napoje.

Żołnierze WOT za darmo tankują też na wybranych stacjach Lotos. Ta spółka przekazała również 2 mln zł na paliwo dla 19 szpitali jednoimien-nych, w których leczeni są zakażeni COVID-19, a stacji pogotowia ratunkowego w Szczecinie dał 1,5 tys. l płynu do dezynfekcji. Poprzez Fundację Lotos przekazano 5 mln zł czterem szpitalom (Gdańsk, Gdynia, Szczecin, Koszalin, Jasło, Bielsko-Biała, Przemyśl). Do placówek przekazywano też środki ochrony osobistej. W ramach współpracy z Sixt Lotos przekazał też placówkom na Pomorzu samochody do przewozu pacjentów. Spółka Lotos Oil rozpoczęła produkcję płynu do dezynfekcji rąk (trafił m.in. do Caritas w Gdańsku).

PZU wspomógł już placówki medyczne i służby pomocą przekraczającą 11 mln zł. Za 6 mln zł kupiono sprzęt m.in. respiratory i bronchoskopy. 200 samochodów PZU używanych jest do przewożenia próbek do badań. Milion wydano na sprzęt ochronny dla medyków, 450 tys. zł – na środki ochronne dla policji i Straży Granicznej, a 150 tys. zł dla Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny na doposażenie linii diagnostycznej do badań laboratoryjnych na obecność koronawirusa. Do szpitali trafi też 900 opasek monitorujących życie pacjentów wartych 1 mln zł.

Poczta Polska na zlecenie Ministerstwa Zdrowia wysłała prawie 1 mln l płynów dezynfekcyjnych, 10 mln masek ochronnych, 10 mln rękawic ochronnych oraz ponad 22 tys. pakietów składających się z 10 l płynu, 100 masek i 200 rękawic. Spółka doręczyła ponad 50 tys. paczek z tymi środkami do wskazanych placówek służby zdrowia. Użyczy też szpitalom swoich samochodów oraz wspiera infolinię NFZ przez Contact Center Poczty Polskiej.

MINISTER KOORDYNUJĄCY POMOC

Minister aktywów państwowych Jacek Sasin w rozmowie z portalem Wp.pl powiedział, że zaapeluje też do zarządów spółek Skarbu Państwa, by w geście solidarności obniżyły sobie na czas pandemii wynagrodzenia.

Na to jednak rzeczywistego wpływu minister nie ma. – Ale ma na koordynację

całej pomocy w walce z pandemią. I to robi – opowiada nasz informator z MAP. – Widać, że Polska nieźle sobie z tym poradziła. Dość szybko np. kupienie maseczki przestało być jakimkolwiek kłopotem. Oczywiście znów to, że Polsce się udaje, nie wszystkim się podoba. Dlatego obrywają w mediach i spółki, i sam minister – zauważa nasz rozmówca.

Sasin ministrem został w listopadzie ubiegłego roku. Wcześniej – bo od czerwca 2019 r. – był wiceprezesem Rady Ministrów. To najwyższe stanowiska, jakie osiągnął w trakcie politycznej kariery, która rozpoczęła się w warszawskiej dzielnicy Śródmieście. Wcześniej ten historyk z wykształcenia był urzędnikiem – do 2006 r. był kierownikiem Urzędu Stanu Cywilnego w Urzędzie m.st. Warszawy. Urzędniczą karierę po studiach zaczął w fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie. Po niej w 1998 r. pracował jako dyrektor departamentu orzecznictwa w Urzędzie ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Po wkroczeniu na polityczną ścieżkę samorządową jego kariera nabrała tempa. Jeszcze w 2006 r. został wice-wojewodą mazowieckim, a rok później wojewodą. Wówczas zasłynął wydaniem zarządzenia wygaszającego mandat prezydenta stolicy Hanny Gronkiewicz-Waltz w związku z nieterminowym złożeniem oświadczenia majątkowego przez jej męża. Później sam politycznie mierzył się z Gronkiewicz-Waltz w walce o prezydenturę Warszawy w 2014 r. Przegrał w drugiej turze.

W grudniu 2007 r. Sasin zrobił największy skok do wielkiej polityki – został doradcą ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Po dwóch latach w pałacu był już sekretarzem stanu i zastępcą szefa Kancelarii Prezydenta RP.

Po śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego w katastrofie smoleńskiej, Sasin pożegnał się z pracą w Kancelarii Prezydenta i znów postawił na samorząd – w 2010 r. został radnym sejmiku województwa mazowieckiego z ramienia PiS. Rok później wystartował w wyborach parlamentarnych w okręgu podwarszawskim i zdobył mandat poselski.

Pięć lat temu ponownie zdobył mandat poselski, i to udało mu się po raz trzeci także w ubiegłym roku. W kręgi rządowe wkroczył w styczniu 2018 r. Został wówczas sekretarzem stanu KPRM i szefem Komitetu Stałego Rady Ministrów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Agnieszka Niewińska

W ogrodach działkowych urywają się telefony, w Internecie szukamy ofert sprzedaży domów i działek. Nie chcemy oglądać wiosny tylko przez okno, a bzu wachać przez maseczkę, więc poszukujemy własnego kawałka ziemi

Mały drewniany domek i 150 mkw. ziemi na wypoczynek wśród zieleni wystarczy, zwłaszcza teraz, kiedy trudno gdzieś wyjechać czy choćby wyjść na spacer bez maseczki. Spotkania na otwartym powietrzu są też bezpieczniejsze niż te w zamkniętej przestrzeni – przekonuje Katarzyna, pracownica jednej z warszawskich korporacji, która w minionym tygodniu sfinalizowała zakup działki w jednym z warszawskich ogrodów działkowych. – Odwiedziłam kilka ogrodów, oglądałam wolne działki, ale w oko wpadła mi ta bardzo malutka, położona w okolicach Wisły – opowiada. – Od dwóch miesięcy pracuję z domu, teraz będę miała motywację do tego, by wsiąść na rower i pojechać na działkę. Przy okazji złapię trochę słońca, a to źródło witaminy D – podkreśla.

Na razie jako świeżo upieczony działkowiec planuje upiększanie działki i renowację altany, ale oczami wyobraźni już widzi wypoczynek na leżaku i letnie spotkania towarzyskie na zielonych 150 mkw.

WIELOPOKOLENIOWE BIESIADY

Pandemia koronawirusa sprawiła, że życie towarzyskie Polaków przeniosło się z restauracji, barów i kawiarni do prywatnych ogródków, działek rekreacyjnych czy właśnie Rodzinnych Ogródów Działkowych (ROD).

W pierwszy prawdziwie słoneczny weekend maja w jednym z ogrodów działkowych prawobrzeżnej Warszawy jest głośno jak w ulu. Parkingi są wypełnione autami i nawet ulica prowadząca do ROD z dwóch stron jest obstawiona samochodami. Pierwsze wolne miejsce parkingowe można znaleźć niemal kilometr od wejścia do ogrodu. – W wiosenne i letnie miesiące zwykle jest tu spory ruch,



FOT. ADRIAN STOK

Wypoczynek na

zwłaszcza w weekendy, ale tylu ludzi na raz jeszcze nigdy tu nie widziałam – mówi nam działkowiec z wieloletnim stażem.

W alejkach ogrodu nie spotkamy ludzi w maskach. Na działkach przy dymiących grillach biesiadują wielopokoleniowe rodziny. Nad jednym z ogródków działkowiec rozpostarł ogromny parasol z logo popularnego browaru. Panie chowają się w cieniu, panowie uwijają się nad rusztem. Na innej działce trwa impreza urodzinowa. Po ogrodzie niesie się gromkie „Sto lat”. Z napływu działkowców korzystają sprzedawcy artykułów ogrodnich. Chodzą od działki do działki i zbierają zamówienia na worki ziemi ogrodniczej z dowozem do klienta.

Ci, którzy mają dość siedzenia w mieszkaniach, szukają dziś sposobu, by mieć do dyspozycji choć kawałek ziemi. W Polskim Związku Działkowców (PZD) urywają się telefony. Na czas epidemii uruchomił on nawet specjalne dyżury telefoniczne, pod którymi można szukać informacji o możliwości nabycia działki. – Zainteresowanie działkami w Rodzinnych Ogrodach Działkowych rośnie systematycznie od czterech–pięciu lat, ale w czasie pandemii jeszcze się

nasiliło – mówi „Do Rzeczy” Bartłomiej Piech, radca prawny Polskiego Związku Działkowców. – W PZD mamy 4,5 tys. ogrodów działkowych. W ostatnim czasie odbierają one od kilku do kilkunastu telefonów dziennie z pytaniami o działki. To daje kilkadziesiąt tysięcy zapytań dziennie. Zainteresowane osoby dzwonią nie tylko do konkretnych ogrodów, lecz także do zarządu krajowego i zarządów okręgowych PZD, co pokazuje dużą determinację w poszukiwaniu działki.

O wolne działki można pytać nie tylko w konkretnych ogrodach, lecz także szukając działkowców, którzy chcą odsprzedać prawa do użytkowania swojego ogródka. – W dużych aglomeracjach działek na rynku brakuje, zwłaszcza w tych najatrakcyjniej położonych ogrodach. Większą dostępność mamy w województwie opolskim i w dawnych województwach wałbrzyskim i zielonogórskim, a także w okolicach Piły czy w Kielcach – wylicza mec. Bartłomiej Piech. Zwraca uwagę, że w ROD można nabyć prawa do użytkowania ogródka za stosunkowo niewielką kwotę.

– Wolne działki, bezpośrednio od ROD, to wydatek kilkuset, maksymalnie



swoim

kilku tysięcy złotych. Więcej zapłacimy za działkę urządzoną. Ale i tu zwykle będzie to koszt w granicach 10–30 tys. zł. Jednak bywają i dużo droższe. Im atrakcyjniejsza działka, tym cena jest wyższa. Zależy ona m.in. od altany ogrodowej. Na działkach można zbudować domek o powierzchni do 35 mkw. z użytkowym poddaszem. Wpływ na cenę ma też sąsiedztwo, a także położenie ogrodu, np. nad jeziorem. Jeśli nabywamy prawa do działki od innego działkowca, to cena transakcji jest sprawą stron. Jako PZD nie zbieramy danych na temat tych kwot. Na pewno jednak uzasadniony jest wniosek, że wzrost zainteresowania działkami w związku z pandemią przełożył się na ich ceny.

– Chodzą plotki, że w naszym ogrodzie cena działek dochodzi nawet do 100 tys. zł. Takich kwot nigdy tu nie było, nawet za najlepiej zagospodarowane działki – mówi nam działkowiczka z warszawskiego Wawra.

Ogródki działkowe, których cena dochodzi do 90 tys. zł, nie są w Warszawie rzadkością. W sieci można znaleźć działkowca, który odstąpi działkę z piętrowym domkiem na Wilanowie za 86 tys. zł.

Ogródek w Poznaniu przy ul. Madziarskiej z domkiem i krytym tarasem został wystawiony za 65 tys. zł. Za działkę ROD w powiecie bydgoskim nad Jeziorem Słupowskim trzeba zapłacić 70 tys. zł.

DOM ZAMIAST MIESZKANIA

Ruch jest nie tylko w Rodzinnych Ogrodach Działkowych, lecz także w serwisach z ogłoszeniami o nieruchomościach. Jeden z najpopularniejszych serwisów nieruchomości Otodom policzył, że od połowy marca wyraźnie wzrosła liczba wyszukiwań domów względem poszukiwanych mieszkań. Na początku lutego własnego domu szukało 30–35 proc. użytkowników serwisu, ale już z początkiem kwietnia częściej szukaliśmy domów (45 proc. zapytań) niż mieszkań (30 proc.). – Zamknięci od tygodni Polacy mają już trochę dość przebywania w czterech ścianach. Dlatego, choć to mieszkanie zwykle były najczęściej wyszukiwaną kategorią, od 27 marca najpopularniejsze są właśnie domy na sprzedaż. Ilu użytkowników faktycznie zdecyduje się na zakup, a ilu na razie bada rynek, trudno powiedzieć – mówi Jarosław Krawczyk z Otodom. – Prawdopodobnie gdyby pandemia COVID-19 ominęła Polskę, w dalszym ciągu szukalibyśmy częściej mieszkań niż domów. Tymczasem trend się odwrócił i dopiero kolejne miesiące pokażą, czy większe zainteresowanie domami będzie trwałe. Zmiana preferencji niekoniecznie wiąże się z powiększeniem budżetu przeznaczonego na mieszkaniową inwestycję. W cenie dwupokojowego mieszkania w centrum dużego miasta możemy mieć własny dom z ogródkiem, ale poza jego granicami. Niewątpliwymi zaletami tego rozwiązania są: większa powierzchnia, spokój, dostęp do zieleni i możliwość spędzania czasu na powietrzu bez maseczki – mówi Krawczyk.

Zwraca także uwagę, że dużym zainteresowaniem wśród użytkowników serwisu cieszą się działki rekreacyjne. Pod koniec kwietnia wyszukiwali ich 2,5 razy częściej niż przed rokiem. – Wraz z poprawą pogody rokrocznie zwiększa się zarówno liczba ogłoszeń w tej kategorii, jak i zainteresowanie nimi. Ubiegłoroczny wzrost nie był jednak aż tak dynamiczny jak obecny. Trudno nie powiązać tego z faktem, że wiele polskich rodzin w obecnej sytuacji marzy o dostępie do zieleni i słońca, za którym tak tęskniliśmy – podkreśla Jarosław Krawczyk.

Jaką kwotę trzeba przeznaczyć na działkę rekreacyjną? – Na cenę każdej nieruchomości olbrzymi wpływ ma lokalizacja. Także w przypadku działek rekreacyjnych widać to jak na dłoni. Najtańsze niezabudowane działki znajdziemy za mniej niż 10 tys. zł. Na drugim biegunie są działki w najatrakcyjniejszych lokalizacjach – nad morzem lub przy samym brzegu jeziora lub rzeki, w pobliżu dużego miasta. Takie kilkusetmetrowe działki potrafią kosztować nawet 500 tys. zł. Pomijając skrajne przypadki, aby kupić działkę rekreacyjną, należy liczyć się z wydatkiem od 25 do 100 tys. zł – wskazuje ekspert Otodom.

REKREACJA PLUS UPRAWY

Inwestycja we własny kawałek ziemi to też sposób na zbliżające się wakacje. Wiadomo, że tegoroczne nie będą wyglądały tak jak dotąd. Dzieci nie pojadą na obozy i kolonie. Jeśli już zdecydujemy się na wakacyjne podróże po kraju, to zgodnie z zapowiedziami Ministerstwa Zdrowia obowiązywać nas będzie reżim sanitarny. – Kupiłam działkę także z myślą o wakacjach. Zwykle wyjeżdżałam do rodziny na wieś. W tym roku pewnie nie będzie to możliwe. A taka działka to zawsze jakaś namiastka wakacji. Można rozłożyć leżaki, poopalać się, zorganizować grilla, zaprosić gości – wylicza Katarzyna, świeżo upieczona warszawska działkowiczka.

Bartłomiej Piech zaznacza, że wszystkich działkowców – także tych, którzy starają się o działki z myślą o miejscu rekreacji w czasie pandemii – Polski Związek Działkowców zachęca do upraw. – Od kilku lat mocniej promujemy łączenie rekreacji z uprawami – nie tylko sadzeniem krzewów ozdobnych czy nawet owocowych, lecz także uprawą warzyw. Marchewki, pomidory czy buraki to znówu coraz powszechniejszy widok w ROD. Ogrodnictwo miejskie jest w modzie i dużo częściej niż jeszcze niedawno to również młodzi ludzie odtwarzają grządki na działkach – podkreśla.

Do upraw na świeżo zakupionych działkach mogą też zachęcać ceny warzyw i owoców w sklepach i na straganych.

Katarzyna zaznacza, że grządki na działkach ma w planie. – Zobaczymy, co z tego wyjdzie, bo działkowi sąsiedzi już mnie przestrzegali przed plagą ślimaków, które zjadają wszystko, co wyrośnie im na drodze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wiesław Chetminiak

Sto lat temu na ekrany trafił pierwszy horror z prawdziwego zdarzenia. Publiczność nie była jednak zachwycona

Kino grozy kojarzy się współczesnym widzom z seksownymi wampirami, atakiem żywych trupów lub kosmicznych potworów, fabułami o nieletnich wilkołakach, karaibskich klątwach i upiorach z wiktoriańskich rezydencji. Żyjąc w epoce anglosaskiego dyktatu kulturowo-cywilizacyjnego, daliśmy sobie wmówić, że wszystko, co godne uwagi, ma amerykański, względnie brytyjski rodowód. Tymczasem horror – zarówno ten literacki, jak i filmowy – urodził się na niemieckiej ziemi. Był dzieckiem romantyzmu, podobnie jak pornografia. Żerował na atawistycznych lękach: przed ciemnością, obłędem i nagłą śmiercią. Karmił się ludowymi podaniami oraz germańską skłonnością do sięgania tam, gdzie rozum nie sięga, przez samych Niemców myloną z uduchowieniem.

KOSZMAR NA JAWIE

„Gabinet doktora Caligari” jest bez wątpienia dziełem sztuki. Można ten, nakręcony w 1920 r., film odbierać jako makabryczną baśń z monstrem przypominającym ożywionego trupa, ewentualnie jako podręcznikowe studium schizofrenii. Zdeformowana scenografia autorstwa malarzy z grupy Der Sturm odbija stan psychiczny bohaterów. Kręte, wąskie uliczki, przechylające się domy z krzywymi oknami przywodzą na myśl ukochaną przez dekadentów żydowską dzielnicę w Pradze. Zło ma tu dwa oblicza. Cezar, morderca lunatyk, wyrwany z trwającego od 23 lat snu, „zna przeszłość i widzi przyszłość”, ale nie jest panem własnego losu. Kieruje nim pozbawiony etycznych hamulców tytułowy doktor.

Nawet horror nie może obejść się bez politycznych podtekstów. Scenarzystom „Gabinetu...” przyświecał ponoć zamiar skrytykowania Niemców za bezmyślne posłuszeństwo władzy. Czy Wilhelm II niczym Caligari powiódł zahipnotyzowanych rodaków ku zatraceniu? Niestety,



Do krwi ostatniej

było dokładnie odwrotnie. Kajzer kochał nie wojnę, tylko parady wojskowe. Do ostatniej chwili usiłował zażegnać kryzys metodami dyplomatycznymi. To rozentuzjzmowany naród rwał się do rozprawy z „odwiecznymi wrogami”. W dodatku reżyser Robert Wiene, sugerując w zakończeniu filmu, że narrator postradał rozum, de facto unieważnił całą fabułę. Widzowie mogli się poczuć oszukani, lecz ów przewrotny patent, stosowany potem przez wielu autorów (m.in. Hitchcocka i Scorsese’go), sprawił, że historia potwora śpiącego w szafie przypominającej trumnę nie jest zakurzonym eksponatem w muzeum X muzy.

Swoją drogą, do dziś zdarzają się krytycy filmowi zupełnie serio twierdzący, że horrory z lat 20. przepowiadały nadejście nazizmu. Hitler-Caligari zamienił jakoby Niemców w posłusznych morder-

ców. Teza efektowna, lecz z gruntu fałszywa. Sam doktor na niej skorzystał, stając się jednym z najsłynniejszych kinowych antybohaterów. Po „Gabinecie...” pojawił się jeszcze w pięciu filmach, z których żaden nie był produkcji niemieckiej.

UDRĘKI NOWOCZESNYCH

W rozważaniach o horrorze trudno pominąć ekspresjonizm, który narodził się w tym samym czasie co kino. Bracia Lumière opatentowali swój wynalazek w roku 1895, dwa lata wcześniej zaś Edvard Munch namalował „Krzyk”. Ekspresjonizm odzwierciedlał stan ducha pokolenia, które dorosłość osiągnęło w momencie, gdy świat zmieniał skórę. Nowoczesność napierała ze wszystkich stron. Industrializacja, która w Niemczech miała przebieg szczególnie gwałtowny, rozbijała w puch dawny system wartości. Nauka,

Nakręcony w 1920 r. „Gabinet doktora Caligari” można odbierać jako makabryczną baśń z monstrem przypominającym ożywionego trupa albo jako podręcznikowe studium schizofrenii. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

dramatyczne produkcje pełne magików w czarnych płaszczach, złych duchów i szalonych zjaw ściągających skąpo ubrane kobiety po cmentarzach i ciemnych jaskiniach z nietoperzami, wykorzystujące motyw doppelgängera, sobowtóra ze świata śmierci i snów” (Alexandra Richie „Berlin. Metropolia Fausta”).

DYSKRETNY UROK CMENARZA

Języka, zrozumiałego dla widzów, adepci X muzy nie musieli szukać daleko. Niemcy były kolebką powieści gotyckiej, lubującej się w makabrze i podszytej chorośliwym erotyzmem. Kiedy w 1800 r. poeta Heinrich von Kleist wybrał się do biblioteki w Würzburgu w poszukiwaniu literatury klasycznej, z zaskoczeniem odkrył, że na półkach znajdują się tylko powieści o duchach i rycerzach. Oświeceniowcy, walczący z przesadami, ponieśli historyczną klęskę.

Często zapominamy, że wiek rozumu był też epoką fałszywych jasnowidzów i cudotwórców w rodzaju hrabiego Cagliostro. Seanse spirytystyczne i fantasmagorie – spektakle, podczas których za pomocą latarni magicznej epatowano publikę obrazami nieżyjących ludzi i przedpotopowych potworów – przyciągały tłumy. Stateczni burżuazyści z Hamburga i Monachium rozczytywali się w rycerskich eposach z „Pieśnią o Nibelungach” na czele. Literatura fantastyczna, zwykłe niewysokich lotów, oferowała ludziom dreszczyk emocji i ucieczkę w świat iluzji.

Caspar David Friedrich, absolutny klasyk niemieckiego malarstwa, w 1810 r. wystawił w Berlinie obraz pod niewinnym tytułem „Opactwo w dąbrowie”. Nad posępną ruiną, otoczoną martwymi drzewami i poprzeczanymi nagrobkami, zachodzi słońce. Sceneria godna horroru bardzo się spodobała, dzieło, nie zwlekając, zakupił król pruski. Sześć lat później bawiąca w Szwajcarii grupa angielskich romantyków zabijała czas wymyślaniem mrocznych opowieści o duchach, wampirach i doktorze Frankensteinie. Byron i spółka wpadli na ten pomysł pod wrażeniem lektury niemieckich nowel, zebranych w tomie „Fantasmagoria”.

IGRASZKI Z DIABŁEM

Przymiotnik „romantyczny” oznaczał wówczas tyle co „niedorzeczny”, nic dziwnego, że poważni twórcy – tacy jak Goethe – nie chcieli być z nim kojarzeni. Poeta z Weimaru oprócz „Fausta” napisał jednak balladę „Naręczona z Koryntu” o dziew-

cznie powracającej zza grobu, by spędzić upojną noc z ukochanym (i przy okazji rzucić mu się do gardła). Tym sposobem wprowadził do literatury postać wampira na długo przed Anglikami.

Niewiele mniejszy wpływ na współczesnych wywarł E.T.A. Hoffmann. Urzędnik, który popadł w niełaskę i został zesłany do Warszawy, znajdującej się wówczas w pruskim zaborze, znalazł pocieszenie w kleceniach utworów o alchemikach, lunatykach i halucynacjach prowadzących do obłądów. Tytuł jego opus magnum – „Diable eliksiry” – mówi sam za siebie.

Gerard Kosellek, autor antologii „Opowieści niesamowite z języka niemieckiego”, która ukazała się właśnie nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, szacuje, że w pierwszej połowie XIX w. „literaturą gotycką” parło się ponad stu Germanów. Liczba nie przechodziła w jakość. W owych horrorach klasy B elementem obowiązkowym był cikliwy wątek miłosny tudzież „średniowieczny” entourage: zrujnowane zamczysko lub omszały klasztor na odludziu.

Kosellek znalazł w tym śmietniku prawdziwe perły, takie jak „Żebraczka z Locarno” wspomnianego von Kleista. Zanim oficer romantyk zakończył swe krótkie życie samobójstwem, zdążył popełnić nowelę, która zasługuje na miano arcydzieła więźności. Dwadzieścia dwa zdania wystarczyły, by nakreślić historię nawiedzanej alpejskiej rezydencji i jej gospodarzy. W opowiadaniu śląskiego poety Josepha von Eichendorffa, „Posąg z marmuru”, o względy młodego trubadura ubiegają się dwie piękne Włoszki, ale tylko jedna z nich oddycha. Jeremias Gotthelf, autor „Czarnego pajaka”, wykoncypował zaś efektowną legendę o kmieciach, którym wydawało się, że potrafią przechrzcić diabła. W efekcie wioskę pustoszy epidemia, w objawach przypominająca dżumę.

BARDZO ZIMNE POCAŁUNKI

Nawet gdy w europejskiej literaturze zapanował realizm, nad Renem i Łabą utwory fantastyczne wciąż miały wzięcie. Nawet noblista Paul Heyse uległ pokusie, pisząc opowiadanie „Piękna Abigail” o rendez-vous zakończonym pocałunkiem przy cmentarnej bramie. Nowele z irracjonalnym przesłaniem mają też w CV mocno stąpający po ziemi bracia Mann.

Gdy w Wielkiej Brytanii zapanowała moda na neogotycką, Niemcy uznali go za swój styl narodowy. Szczycili się,

próbująca zająć miejsce religii, zderzała się z modą na hipnozę i wiedzę tajemną.

Artyści reagowali na to po swojemu, proklamując definitywny rozbrat z realizmem i naśladowaniem natury. Skrajny subiektywizm stał się cnotą. Pogardzie dla filistrów często towarzyszyła niezdrowa fascynacja śmiercią, okrucieństwem i brzydotą. „Zrodzony z udręki i poczucia zagrożenia, był przede wszystkim wyrazem buntu” – pisał o ekspresjonizmie historyk Wilhelm Steffens.

Filmowcy, pragnący przeciąć pępowinę łączącą ich z tradycyjnym teatrem, siłą rzeczy zwrócili się w stronę awangardy. Estetyka szoku, zastoszowana przez twórców „Gabinetu doktora Caligari”, zanadto jednak odbiegała od gustów zwykłych zjadaczy chleba. Film utrzymał się na ekranach tylko cztery tygodnie. Publiczność wołała oglądać „kiczowate, melo-



„Golem” (1920 r.) Paula Wegenera zrobił furorę
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ że – w odróżnieniu od przyziemnych wyspiarzy i rozpustnych Francuzów – są nacją myślicieli i poetów. Umysłową strawą elit stał się metafizyczny idealizm, masom wystarczała wiara w duchy, czary i diabła z rogami. Dekadenckie nastroje końca XIX w. sprzyjały grafomanom, straszącym czytelników zbliżającą się apokalipsą. Literatura grozy apogeum osiągnęła w twórczości okultysty Gustava Meyrinka oraz Hannsa Heinza Ewersa, przyjaciela Stanisława Przybyszewskiego (który w Berlinie zaraził się satanizmem i próbował go potem przeszczepić na polski grunt, na szczęście bez powodzenia).

INWAZJA SZTUCZNYCH LUDZI

Pionierzy niemieckiej kinematografii byli dziećmi swoich czasów, ciągnęło ich więc do horroru. Już w 1913 r. powstał „Student z Pragi” według scenariusza Ewersa. Wzdychający do pięknej arystokratki, lecz nieśmierdzący groszem bohater sprzedaje swoje odbicie w lustrze, które wkrótce zaczyna go prześladować. Był to raczej wizualny eksperyment niż film z prawdziwego zdarzenia, lecz Paul Wegener – urodzony pod Wąbrzeźnem reżyser i odtwórca głównej roli – szybko się uczył. Z 10 nakręconych przez niego filmów „romantyczno-fantastycznych” największą furorę zrobił „Golem”.

Monstrum, ulepione z gliny i ożywione przez mądrego rabina Löwa z Pragi, rozślawiło powieść Meyrinka, jednak jego prawdziwy rodowód jest mocno pokretny. Legenda o sztucznym człowieku, buntującym się przeciwko swemu stwórcy, narodziła się w Polsce, konkretnie w Chełmie, gdzie w XVI w. żył i nauczał rabin Elias.

Czesi, a właściwie Niemcy, gdyż Praga była wtedy miastem na wpół germańskim, po prostu ją sobie przywłaszczyli.

Golem zrobił oszałamiającą karierę w popkulturze, gdy postać żydowskiego mędrca zastąpiono szalonym naukowcem. Miało to swoje uzasadnienie: szarlatanów w lekarskich kitlach nie brakowało. Duchowy brat doktora Frankensteina, chirurg Karl August Weinhold, zatrudniony na uniwersytecie w Halle, w pracy opublikowanej w 1817 r. chwalił się upiornym eksperymentem. Odciał kotu głowę, po czym „ożywił” trupa, rażąc go prądem. Zanim zakazano takich eksperymentów, inni medycy próbowali galwanizować ludzkie zwłoki.

W epoce kina niemego niemieccy filmowcy nakręcili całą serię horrorów o strasznych skutkach stworzenia istoty pozbawionej duszy. Oprócz trylogii o Golemie powstały sześć „Humunculusów” i trzy części „Mandragory” na podstawie prozy Ewersa. Austriak Erich Kober odświeżył w gotyckim duchu mit o Pigmalionie i Galatei. Bohater filmu „Lilith i Ly” ożywia posąg kobiety, która niestety okazuje się wampirem. Ekranyowe humanoidy, wyhodowane w laboratoriach, z reguły kończyły źle, lecz wciąż wracają: od „Metropolis” i „Blade Runnera” do „Terminatora” i serialu „Westworld”. Zapomniały o swoich korzeniach, dogadać się z nimi można już tylko po angielsku.

WAMPIRY BEZ ZĘBÓW

Nie licząc sportowych i propagandowych filmów Leni Riefenstahl, ekspresjonizm jest największym wkładem, jaki

niemieccy twórcy wnieśli do skarbnicy kina. UFA – największa przedwojenna wytwórnia filmowa w Europie – powstała pod koniec wielkiej wojny w celach propagandowych. Miała słać zwycięstwa armii kajzera. Nie zdążyła. W latach 20. w studiach zlokalizowanych w podberlińskim Babelsbergu kręcono 600 tytułów rocznie!

Tam powstały filmowe kamienie milowe, wyznaczające rozwój horroru (oprócz wcześniej wymienionych: „Zmęczona śmierć” Fritza Langa, „Gabinet figur woskowych” Paula Leni, „Cienie” Arthura Robinsona i przede wszystkim „Nosferatu – symfonia grozy” Friedricha Wilhelma Murnaua). Ten ostatni, niedoszły historyk sztuki, wcześniej nakręcił „Satanas” – zbiór trzech makabrycznych nowel, z których zachował się tylko kilkuminutowy fragment. Ciekawostka: Lucyfera i Trockiego grał ten sam aktor.

Wampir Murnaua jest bezlitosnym drapieżnikiem i społecznym wyrzutkiem, personifikacją wirusa zakażającego krew Bogu ducha winnych mieszkańców. Hollywoodzki Dracula to zaledwie zbławizowany arystokrata. Choć niemiecki film powstał z naruszeniem praw autorskich spadkobierców Brama Stokera, to kreacja Maxa Schrecka nadal robi wrażenie. Bela Lugosi, przerażający staroświecki, nieprzypadkowo wypadł z łask amerykańskich producentów.

Murnau też próbował szczęścia za oceanem, ale zginął w wypadku. Ostatnim filmem, który zrobił w ojczyźnie, był „Faust”. Tym samym historia zatoczyła koło, gdyż dramat Goethego jest dziełem, które wywarło bodaj największy wpływ na kilka pokoleń niemieckich twórców, zaszczepiając w nich skłonność do fantastyki oraz konszachcików z diabłem.

Złota epoka literatury i kina grozy dobiegła końca przed wybuchem drugiej wojny. Rzeczywistość stała się zbyt koszmarowa, by pomysły literatów i filmowców zdołały ją przewyższyć. Horror, zrazu potępiany jako jedna z podlegszych form rozrywki, z czasem doczekał się uznania i naukowych analiz. Po wojnie odrodził się, lecz długo nie potrafił wyjść z zakłętą kręgów tematów i postaci z pionierskiego okresu istnienia. Pod amerykańską kuratelą stracił werwę i dzieciństwo. Szatan niemal zniknął z widnokręgu. Wampir stał się smutakiem, udręczonym nieśmiertelnością. Ale to już zupełnie inna historia.

Afryka chce żyć

COVID-19 zbiera żniwo jeśli chodzi o zachorowania, ale dla mieszkańców Afryki jego skutki ekonomiczne będą jeszcze okrutniejsze. Dlatego Pallotyńska Fundacja Misyjna Salvatti.pl rozpoczęła na [Katolikwspiera.pl](https://www.katolikwspiera.pl) akcję pomocy „Afryka chce żyć”. Musimy pomóc, zanim będzie za późno.



FOT. M. DEMCZUK/SALVATTI.PL

Najbardziej potrzebującym pomagają polscy misjonarze. Ks. Stanisław Filipek, pallotyn, który pracuje w Afryce od 40 lat, a od trzech lat w Burkina Faso ostrzega, że jeśli granice dłużej będą zamknięte, wielu krajom afrykańskim zagrazi głód. – Ludzie będą umierać na ulicach. Afrykańczycy nie mają oszczędności, ani zasobów na przyszłość, żyją z dnia na dzień. Kiedy nie pracują, nie mają z czego żyć – alarmuje duchowny, który rozwozi pomoc potrzebującym, dostarcza im żywność i podstawowe środki higieny. Od pierwszego przypadku Covid-19 w Burkina Faso minęły dwa miesiące. Jednak dla mieszkańców tego kraju największym wyzwaniem, jakiemu muszą sprostać jest utrzymanie rodziny. Przez długi czas były zamknięte lokalne bazy, gdzie wiele kobiet sprzedawało warzywa i owoce, by móc cokolwiek zarobić. Przez ponad miesiąc nie mogły jeździć taksówkami ani autobusy. – Jeden z naszych sąsiadów, który jest taksówkarzem pewnego ranka przyszedł do mnie, mówiąc: proszę księdza, nie mamy z czego żyć. Niech ksiądz mi jakoś pomoże? Ścisnęło mnie w gardle. Mogłem sobie wyobrazić, jak czuje się ojciec rodziny, który nie jest w stanie wyżywić swoich dzieci – opowiada pallotyński misjonarz, ks. Dariusz Sala. – W ogromnych tarapatach znaleźli się rolnicy, którzy nie mają możliwości sprzedaż tego, co wyprodukowali. Miasta są zamknięte. Nie można się przemieszczać. Do tego dochodzą zamachy terrorystyczne, które nawet w czasie epidemii nie ustają. Co kilka dni słyszy się o kolejnych ofiarach masakr dokonywanych przez terrorystów, głównie na północy kraju. Najczęściej ich ofiarą padają mężczyźni. Są wywożeni poza wioskę

i rozstrzelani. Kobiety z dziećmi porzucają swoje domy i uciekają. Niestety nie ma dokładnych danych o liczbie ofiar, a oficjalnych informacji jest niewiele – dodaje.

Eksperti i międzynarodowe media coraz częściej ostrzegają, że Afryka może być kolejnym epicentrum pandemii COVID-19. Naukowcy i lekarze zauważają, że Afrykańczycy ciężiej przechodzą zarażenie koronawirusem i częściej umierają z powodu chorób towarzyszących, jak cukrzyca czy choroby układu krążenia.

W krajach Afryki nie ma tarczy antykryzysowej, ani systemu wsparcia dla ludzi. Większość mieszkańców pracuje na tzw. "dniówki". Jeśli nie pracują, nie zarabiają. Ks. Zdzisław Prusaczyk z Kibeho w Rwandzie przyznaje, że sytuacja jest krytyczna.

– Już nie tylko najbardziej niebezpieczni są w potrzebie, ale nawet ci, którzy do tej pory jakoś sobie radzili – tłumaczy. Codziennie kupuje ryż, fasolę, mąkę, sorgo i kukurydzę dla potrzebujących. – Ludzie tam zazwyczaj cierpią niedostatek i spożywają zaledwie jeden posiłek dziennie. Obecnie nie stać ich nawet na to. Szczególnie cierpią dzieci i osoby niepełnosprawne. By im pomóc, Fundacja Salvatti.pl zorganizowała na Katolikwspiera.pl akcję na rzecz pomocy Afryce: <https://www.katolikwspiera.pl/afryka-chce-zyc.html>. – Tak, jak założyciel stowarzyszenia księży pallotynów, św. Wincenty Pallotti zwracał się do swoich darczyńców: „Proszony, proszę”, tak i my proszeni przez misjonarzy i ich podopiecznych, **prosimy o wsparcie naszej akcji** – mówi ks.

Jerzy Limanówka, prezes Fundacji Salvatti.pl. Bo Afryka chce żyć!

Osoby, które nie korzystają z internetu, mogą wesprzeć akcję przez Bank Pekao S.A, konto: 44 1240 1095 1111 0010 3468 8020, tytułem: DAROWIZNA AFRYKA 005



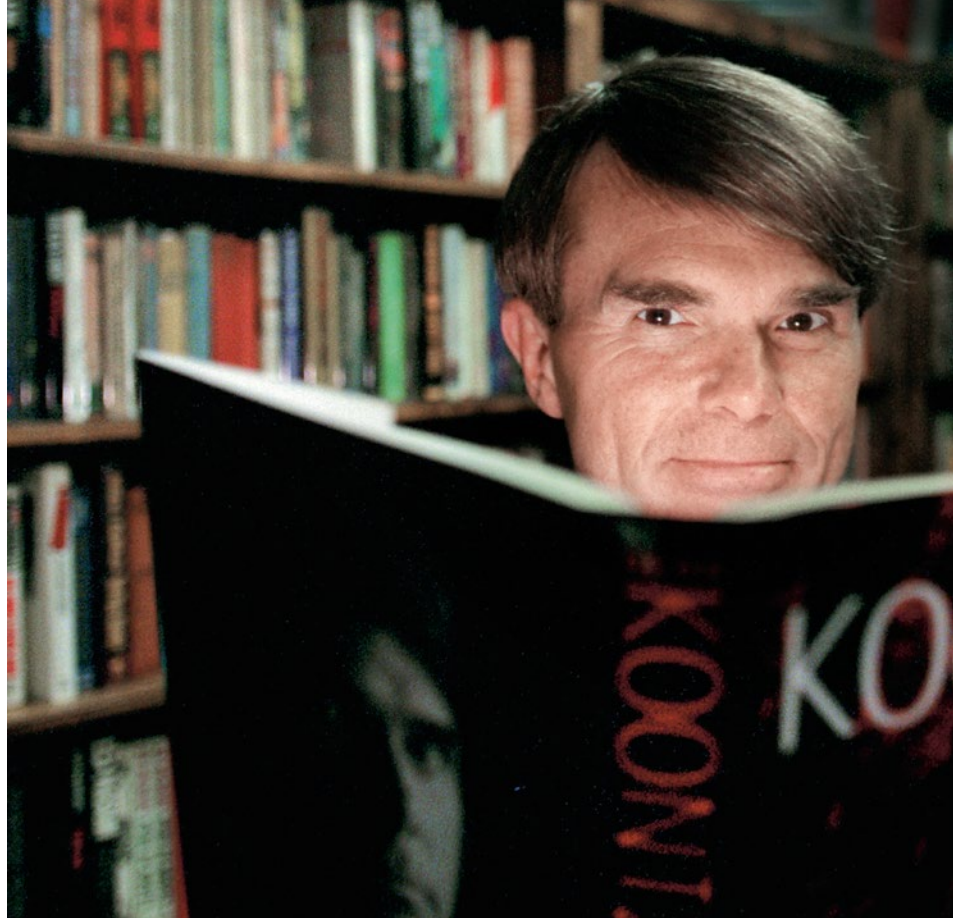
Piotr Gociek

Powieści o zarazach i wywołanych przez choroby końcach świata przestały być domeną fantastyki naukowej. Plaga stała się najważniejszą metaforą XXI stulecia

Takie historie po prostu się nie zdarzają – żeby 40 lat po premierze pośledni paperback stał się tematem poważnych rozważań w światowych mediach? Tak jednak stało się z powieścią Deana Koontza „Oczy ciemności”. „Czy Koontz naprawdę przewidział koronawirusa?” – pytał „The Guardian”. „The Independent” dawał innym tytułem odpowiedź twierdzącą, telewizja CNN się kategorycznie nie zgadzała (komentarz pt. „Dean Koontz did not predict the coronavirus in a 1981 novel”). Mówią dobrze czy źle, grunt, żeby nazwiska nie przekreślić. Ta sztuka się Koontzowi udała, choć oczywiście tym razem jego PR-owcem został COVID-19.

Koontz pisze (i to obficie) od końca lat 60. XX stulecia, poruszając się sprawnie na pograniczu science fiction, kryminału, thrilleru i horroru. Często używał rozmaitych pseudonimów, by rynek łatwiej pomieścił jego liczne dokonania. Jedną z wydanych pod pseudonimem Leigh Nichols książek była właśnie powieść „Oczy ciemności” („The Eyes of Darkness”), która ukazała się w roku 1981 (pierwsze polskie wydanie w roku 2009). A teraz została wznowiona.

Główna bohaterka powieści, Tina Evans, straciła syna. Rok po jego śmierci wciąż wydaje się jej, że widzi go wśród żywych. Rozpacz niszczy umysł. Kiedy zaczyna prześladować ją pojawiający się w tajemniczych okolicznościach komunikat: „NIE UMARŁ”, rozpoczyna się intryga, która początkowo sugeruje tropy nadnaturalne. To, co najważniejsze dla niniejszych rozważań, pojawia się pod sam koniec książki: to broń biologiczna. „Nazwali ją Wuhan-400, ponieważ została opracowana w laboratoriach RDNA zlokalizowanych pod miastem Wuhan. Był to czterechsetny zdolny do życia szczep wirusa stworzony w tym ośrodku badawczym” – czytamy u Koontza. A także: „Wuhan-400 jest bronią doskonałą. Zaraża tylko ludzi.



Wuhan i inne katastrofy

Żadne inne stworzenia nie mogą go przenosić”.

Co najważniejsze, „Oczy ciemności” nie są powieścią o pandemii, tylko thrillerem spiskowym, zatem rzeczywiście trudno mówić o jakiejś prognozie. Rację ma wydawca, sugerując na okładce, że „pisarza zapewne zainteresował fakt, że w chińskim mieście Wuhan w latach 50. XX w. został założony ośrodek badawczy, Wuhan Institute of Virology, który prowadził zaawansowane prace właśnie nad wirusami”. Jestem pewien, że tak właśnie było, gdyż nawet czysto rozrywkowa fikcja, żeby była wiarygodna – podobnie jak kłamstwo – musi zawierać jakąś dozę prawdy.

Medialny (oraz internetowy, fanowski) spór o stopień proroczości książki Deana Koontza to oczywiście tylko drobna część fali rozważań o literaturze katastroficznej,

którą wywołała pandemia koronawirusa. Natychmiast pojawiły się rozmaite listy „lektur na czas pandemii” przypominające dokonania fantastów, którzy plagami dziesiątkującymi ludzkość zajmowali się od dawna, z klasykiem literatury przygodowej Jackiem Londonem na czele. Jego mikropowieść „Szkarłatna dżuma” (1912) pozostaje jednym z najlepszych dokonań na tym polu. Nagle przypominano sobie nawet o tak zatechnych lekturach jak „The Last Man” (1826) Mary Shelley, autorki głośnego „Frankensteinia”. Literacko wątpliwa, zyskała nagle sławę, bo to książka, w której pod koniec XXI stulecia tajemnicza zaraza wybija ludzkość.

Czy to znaczy, że chełpiący się często tym, jak dobrze przewidują przyszłość, pisarze SF, obdarzeni byli jakąś szczególną zdolnością, dzięki której widzieli wcze-

Dean Koontz, autor powieści

„Oczy ciemności” FOT. AL. SCHABEN/LOS ANGELES TIMES/GETTY IMAGES



– zmutowany wirus grypy wydostaje się z laboratorium i wybija niemal wszystkich mieszkańców planety.

Żeby wymienić nawet te najważniejsze, miejsca w tym tekście nie wystarczy, zresztą bardzo wielu z nich (szczególnie z ostatniej dekady) w Polsce nie wydano. Objasnić jednak, jak zmieniał się charakter tych opowieści. Wbrew pozorom przez większość XX w. wcale nie były tak liczne i popularne, jak można by się tego było spodziewać. Czasem pełniły funkcję czysto pretekstową, tak jak nuklearna zagłada w B-klasowych filmach. W takich przypadkach sama natura katastrofy jest nieważna, liczy się tylko to, że daje okazję do pokazania niskobudżetowych nawalek w piachu. Kiedy indziej plaga pomagała wyrazić autorom mizantropię czasów hipisowskich, tak jak w klasycznym opowiadaniu Jamesa T. Tiptree (pseudonim Alice Sheldon) „Ostatni lot doktora Aina” (1969), którego bohaterem jest naukowiec uważający, że ludzkość zasłużyła na zarazę.

Dwa arcyciekawe teksty ukazały się w roku 1988. Pierwszy to nowela Normana Spinrada „Journals of the Plague Years”, która była chyba najciekawszą w fantastyce odpowiedzią na epidemię HIV. W przyszłości obmyślonej przez Spinrada kontakty seksualne grożą śmiercią, konsekwencje są oczywiście ponure. Spinrad również zмага się w tej mikropowieści z Bogim i religią. Drugim było przepiękne, ale i potwornie smutne opowiadanie Connie Willis „Ostatni winnebago”, jeden z najlepszych przykładów podgatunku tzw. cichej apokalipsy w krótkiej prozie fantastycznej. Willis opisuje świat, w którym zaraza nie tylko przerzedziła szeregi ludzi, lecz także wybiła niemal wszystkie zwierzęta.

Connie Willis wyznaczyła szlak, którym podążają za nią inne pisarki, pojawiło się później wiele tekstów podobnie konstruowanych – pandemia, zaraza, globalna katastrofa obserwowane są z bardzo prywatnej, wręcz intymnej perspektywy. To, co porusza, to relacje między ludźmi, a nie malownicze pejzaże zagłady. Do tego nurtu należy też świetna powieść „Stacja Jedenaście” Emily St. John Mandel, która opowiada o świecie po epidemii, w którym nieliczni próbują ocalić skrawki tego, co czyni nas ludźmi – kultury.

ZOMBIE I WOJNA ATOMOWA

W ostatnich 30 latach wystąpiły dwa zjawiska, które odmieniły dzieje niszowego podgatunku, jakim były opowieści

o plagach. Po pierwsze, erupcja opowieści o apokalipsie zombie. Temat na osobne rozważania, ale z pewnością nawet laik i odbiorca przypadkowy przyzna, że jeśli dowiedział się z komiksów, książek, seriali czy filmów o jakimś zabójczym wirusie, to był to jakiś rodzaj wirusa zamieniającego ludzi w zombie. Po drugie, wydarzyła się rzecz ciekawsza: zgodnie z procesem świetnie opisanym przez Dominikę Oramus („O pomieszaniu gatunków. Science fiction a postmodernizm”) motywy i klisze fabularne fantastyki zostały wchłonięte przez literaturę głównego nurtu.

I rzeczywiście, na półkach pojawiły się rozmaite powieści (w tym o epidemiach), które jeszcze pół wieku wcześniej byłyby zakwalifikowane do fantastyki i jako takie pozycjonowane oraz sprzedawane, teraz zaś funkcjonują bez etykietek gatunkowych, po prostu jako literatura piękna. A elementy fantastyczne, czyli plagi i rozmaite scenariusze końca świata, są uznawane za metaforę, a nie futurologię w duchu SF. W powieści Laury van den Berg zaraza usuwa ludzkie wspomnienia (podobnie u Peng Shepherd w „Księdze M”), z kolei Lin Ma wykorzystuje chorobę do bezlitosnej krytyki współczesnego globalnego kapitalizmu. W książce „Severance” tzw. gorączka Shen to zaraza, która z Chin rozprzestrzenia się po świecie dzięki tanim importowanym stamtąd produktom i zamienia ludzi w bezmyślne istoty powtarzające do upadłego te same czynności. Opowieści o epidemiach to już nie niszowy obciach, ale mogą się nimi zajmować najwięksi, choćby Margaret Atwood w trylogii „MaddAddam” czy José Saramago w „Mieście ślepców”.

Ulubionym jeźdźcą apokalipsy XX w. była wojna nuklearna, ukochanym rodzajem zagłady wieku XXI okazuje się epidemia. Warto jednak zwrócić uwagę, że mimo dwóch straszliwych wojen światowych, mimo bezmiaru zbrodni totalitaryzmów, gdybyśmy mieli szukać symbolu minionego stulecia, to byłby to człowiek wykraczający poza swą kolebkę, Ziemię, stawiający pierwszy krok na Księżycu „w imię całej ludzkości”. Symbolem stulecia o wiele bogatszego i przecież o wiele spokojniejszego staje się tymczasem człek zdychający pod płótem, wyrzucając własne płuca, bez szans w starciu z zarazą. Więcej nam to oczywiście mówi o tym, jak postrzegamy punkt, w którym dziś znalazła się cywilizacja, niż o samych epidemiach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Smutno w rodzinie



★★★★★
REŻ. DEREK
CIANFRANCE
„TO WIEM NA
PEWNO”
 („I KNOW THIS
MUCH IS TRUE”)
USA 2020, HBO

wyst. Mark Ruffalo,
Melissa Leo, Philip
Ettinger

Adaptacja opastej powieści Wally'ego Lamba budzi mieszane uczucia. Do czego zresztą przyzwyczaił nas jej twórca, czyli Derek Cianfrance. Ma talent, ma dobrą rękę do aktorów – rola w jego „Blue Valentine” przyniosła Michelle Williams nominację do Oscara – ale zdarza mu się błędzić. „Drugie oblicze” nie było tak udane jak „Blue Valentine”, bo reżyser zbyt wyniósł styl ponad treść. „Światło między oceanami” ześlizgiwało się już w stronę banalnego melodramatu (wciaż z gracją opowiadanego).

„To wiem na pewno” jest wielopokoleniowym dramatem rodzinnym, w którego centrum stoją bracia bliźniacy – Dominick

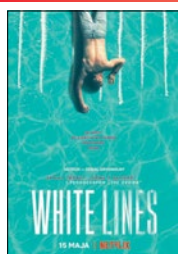
i Thomas. Braci poznajemy w dramatycznym momencie – Thomas, który cierpi na schizofrenię paranoidalną, dokonuje samookaleczenia. Dominick, pisarz z problemami, próbuje uratować Thomasa przed zamknięciem w zakładzie dla obłąkanych o zaostrożnym rygorze. To ledwie pierwsza warstwa tragedii, bo im bardziej zagłębialiśmy się w życiorys bliźniaków oraz cofamy do pokolenia ich rodziców i dziadków (imigrantów z Włoch), tym bardziej widzimy, że szczęśliwa rodzina to nie jest. Przedwczesna śmierć dziecka, gwałt, zakazany romans i rozmaite inne rodzinne sekrety tworzą mapę nieszczęść, których nie szczędził czytelnikom autor powieści na niemal 900 stronach,



a które w sześciu odcinkach próbuje pomieścić Cianfrance.

Jakby tego było mało, dostajemy jeszcze warstwę polityczną, bo odchyły Thomasa mają związek z pierwszą wojną w Zatoce Perskiej (książka Lamba powstała w latach 90.), a jak wojna, to i wstrętne republikanie, a jak wstrętne republikanie, to i wstrętne Bush. Z kolei skręt ku korzeniom rodzinnych komplikacji, czyli cofnięcie się do czasów dziadka braci pochodzącego z Sycylii, to okazja do przypomnienia, że tradycyjny, patriarchalny model rodziny jest źródłem nienawiści i uprzedzeń, no i że może kłaść się cieniem (i kładzie) na kolejne pokolenia.

„To wiem na pewno” warto obejrzeć przede wszystkim dla Marka Ruffalo, który z maestrią i wielkim wyczuciem gra obu braci. Kamera szuka nieustannie jego twarzy, to on jest bramą do dramatu, który chwilami osiąga natężenie trudne do wytrzymania. Nie zdziwię się, jeśli część widzów po paru odcinkach powie: „Pas! Mam dość!”. Nie zdziwię się, kiedy znajdą się i wierni, choć nieco masochistyczni fani. ©©



NOWE SERIALE: „WHITE LINES”

Álex Pina, twórca kryminalnego przeboju Netflixu produkcji hiszpańskiej („Dom z papieru”), przedstawia nowy serial. Jest to koprodukcja hiszpańsko-brytyjska (w obsadzie m.in. Laura Haddock i Angela Griffin). Miejsce akcji: Ibiza, gdzie przybyła z Manchesteru bohaterka próbuje odkryć prawdę o śmierci brata. Tytuł nie wziął

się znikąd, białe kreski narkotyków to jak najbardziej właściwa wskazówka. Rave, DJ-e, zabawy po świt, blichtr mekki nocnych imprezowiczów i brutalny świat dealerów – „White Lines” to kryminał na mocnych dopalaczach. ©© **Piotr Gociek**
• sezon 1. „White Lines”, Hiszpania/Wielka Brytania 2020, Netflix

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Oz Perkins „Małgosia i jaś” („Gretel & Hansel”)
- reż. Stephen Merchant „Na ringu z rodziną” („Fighting with My Family”)
- reż. Spike Lee „Czarne bractwo. BlackKkKlansman” („BlackKkKlansman”), USA 2019

Sprawiedliwość frajerów

Argentyńczycy, jak wiadomo, mają dryg do tańca i różańca (czasem też do rewolucji), lecz pieniądze się ich nie trzymają. Historia byłego piłkarza, który, lekceważąc kryzys, namawia sąsiadów do założenia spółdzielni rolniczej, potwierdza ten stereotyp. Rząd, blokując zniżenie konta bankowe, puszcza bowiem naiwnych obywateli w samych skarpetkach. Aferzyści na kryzysie jeszcze się wzbogacają, co doprowadza bohaterów do rozpacz, stuporu lub szewskiej pasji. Ochłonawszy, postanawiają odzyskać utraconą gotówkę. Prawo prawem, lecz sprawiedliwość (społeczna) jest przecież po ich stronie. Filmów o uczciwych ludziach okrada-

jących złodzieja trochę już nakręcono, więc na ekranie pojawiają się znajome figury: skończony łajdak, dziarscy emeryci, piękna dziewczyna i bystry młodzieniec. „Pechowi szczęściarze” od innych produkcji spod znaku heist movie odróżniają jedynie didaskalia. W 2001 r., gdy ojczyzna Messiego zaliczyła krach finansowy, mrocznym przedmiotem pożądania był telefon komórkowy z klapką, a twardą walutą – dolar amerykański. Najzabawniejszy jest jednak miszmasz w głowach Argentyńczyków. Peronista i anarchista zgodnie twierdzą, że należy wziąć sprawy we własne ręce i wstać z kolan, zamiast oglądać się na państwo. Powodzenia! ©©

★★★★★
REŻ. SEBASTIÁN BORENSZTEIN
„PECHOWI SZCZĘŚCIARZE”
 („LA ODISEA DE LOS GILES”)
ARGENTYNA/
HISZPANIA 2019,
BEST FILM

wyst. Ricardo Darín,
Luis Brandoni,
Daniel Aráoz

Wiesław Chełmiński



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „THROUGH THE DARKEST OF TIMES”

Jak wyglądałaby historia niemieckiej III Rzeszy, gdyby w rękach graczy znalazła się możliwość pokierowania „antynazistowskim ruchem oporu”? Na to pytanie, za pomocą animowanej, dwuwymiarowej strategii turowej, postanowiło odpowiedzieć berlińskie studio Paintbucket Games.

Naszym zadaniem jest unikanie gestapo oraz rozwój siatki konspiracyjnej w czterech fazach rozwoju reżimu (1933, 1936, 1940–1941 i 1944–1945). Niestety, produkcja jest dosyć schematyczna i powtarzalna. Od strony historycznej, bo do takiej pretenduje, prezentuje zaś



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wizję, która już na starcie z historią niewiele ma wspólnego. ©©

Marcin Makowski

- Gatunek: Strategiczna/turowa
- Platforma: PC/iOS/Android
- Producent, dystrybutor: Paintbucket Games/Handy Games
- Klasyfikacja PEGI: 16+

OBŁĘD POD ALPAMI

CINEMAN

Broda siwieje, głowa szaleje. Georges utopił sztruksową marynarkę w kłozie, gdyż udało mu się namierzyć upragnioną kurtkę ze skóry daniela (z frędzlami). W euforii zrywa więzi z przeszłością i wyrzuca telefon, by u podnóża Alp, gdzie kończy się cywilizacja, rozpocząć nowe życie reżysera filmowego. W bonusie dostał bowiem kamerę cyfrową.



wyst. Jean Dujardin, Adele Haenel,
Albert Delpy

★★★★★
REŻ. QUENTIN DUPIEUX
„DEERSKIN”
FRANCJA 2019
CINEMAN.PL

Obciachowy strój, podobnie jak w „Dzikości serca”, określa świadomość, lecz za bohaterem „Deerskin” trudno nadążyć. Jego ambicje daleko wykraczają poza robienie ludziom wody z mózgu i wymuszanie pożądanych zachowań metodą „na filmowca”. To człowiek z misją. Czarna komedia z każdą minutą coraz bardziej ześlizguje się w otchłań absurdu. Doszukiwanie się w tej historyjce drugiego i trzeciego dna jest bezcelowe. Skoro już zdecydowaliśmy się poświęcić 75 min naszego cennego czasu, nie pozwólmy, by Dupieux kpił z nas w żywe oczy. Śmiejmy się z filmu i jego autora. Do rozpuku.

POWRÓT Z DELEGACJI

HBO GO

Niewłaściwa świnka spotkała się z niewłaściwym nietoperzem, przez co umarły miliony ludzi. Ten pomysł jeszcze osiem lat temu mógł wydawać się szalony. COVID-19 dał „Epidemii strachu” nowe życie. Trzeba przyznać, że zasłużone, bo Soderbergh, choć zgromadził na planie plejadę gwiazd, zdołał oprzeć się pokusie nakręcenia efekciarskiego thrillera. Jak na ironię największe atuty: paradoksalny styl i edukacyjne ambicje, pozbawiły film komercyjnego potencjału. Nie dostał nawet zaszczytu wyświetlania w polskich kinach. Oglądany dziś raczej poprawia humor, bo – jak dotąd – mroczna przepowiednia scenarzysty Scotta Z. Burnsa sprawdziła się tylko częściowo. Słabo wypadł wątek chiński, lecz z sensu pożytek mogą wyciągnąć wszyscy, na czele z małżonkami, którzy podróże służbowe wykorzystują do skoków w bok. ©©



wyst. Matt Damon, Laurence Fishburne,
Jude Law

★★★★★
REŻ. STEVEN SODERBERGH
„EPIDEMIA STRACHU”
 („CONTAGION”)
USA 2011
HBO GO

recenzuje Wiesław Chełmiński

MOJA PÓŁKA

Żadnych braków nie odczuwam...

KRZYSZTOF
MAŚŁÓŃ

W swojej najnowszej książce prof. Andrzej Nowak wykorzystał niepublikowane wcześniej zdjęcia z frontu wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. kpt. Adama Paulo de Silvy. Kim był ten autor fotografii ukazujących m.in. zniszczony most kolejowy w Grodnie i gruzy pozostałe ze stacji kolejowej w Mołodecznie, mogły poległych żołnierzy 5. Pułku Piechoty Legionów, wartę polską wystawioną w forcie dźwińskim po jego zdobyciu, polskie pociągi pancerne „Śmiały” i „Bartosz Głowacki”, zdobyczne armaty w Lidzie i wielbłądy (!) w Żytomierzu, „Legunki” w drodze na front, broniący Lwowa II Ochotniczy Szwadron Śmierci czy gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza ze sztabem w wyprawie kijowskiej?

„Paulo de Silva urodził się w 1902 roku w Brzeżanach. Miał zaledwie 17 lat, gdy już walczył z bolszewikami w 4. Pułku Piechoty Legionów. W wojnie 1920 r. przechodzi szlak bojowy przez Baranowicze, Borysów, Puszczę Nalibocką. W odwrocie walczy pod Hrubieszowem i Zamościem, by zakończyć wojnę udziałem w operacji niemieńskiej. Po drodze zebrał – czytamy w »Klęsce imperium zła« – kolekcję zdjęć dokumentujących nie tylko ten szlak, ale również przebieg operacji kijowskiej z kwietnia–czerwca 1920 roku. Obrazy walk, zniszczeń, śmierci, heroizmu i codziennej biedy, czasem humoru żołnierskiego. [...] Mówią pewnie więcej niż całe rozdziały naukowych monografii”.

W 1939 r. Adam Paulo de Silva, już jako kapitan 2. Pułku Artylerii Polowej Legionów, dostał się do sowieckiej niewoli, do obozu w Starobielsku. W marcu 1940 r.,



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK / E&S NEWS

tydzień przed cofnięciem jeńcom prawa do korespondencji, kapitan zdążył wysłać do rodziny swą ostatnią kartkę. Zachowała się do dzisiaj, z pieczęcią sowieckiej poczty i adresami: nadawcy – Gorod Starobielsk, pocztowy jaszczak No. 15 i odbiorcy – Germania, Generalgouvernement Polen, gorod Kielce. Paulo de Silva pisał do najbliższych i... cenzura: „Ja jestem zdrow, żadnych braków nie odczuwam, tylko ta troska, tęsknota za Wami jest bardzo ciężka...”.

W zbiorach rodzinnych znajduje się jeszcze jedna kartka. Nadała ją żona kapitana; są na niej pieczęć z czarną „wroną” III Rzeszy i pieczęć poczty sowieckiej z datą 22 maja oraz informacją „Retour parti” oznaczającą zwrot listu. Adresat nie odebrał już tej korespondencji, nie przeczytał słów żony: „Czekamy, by być razem”. Ma swój grób w Piatichatkach.

Autor „Klęski imperium zła” nieprzypadkowo przywołuje słowa Zbigniewa Herberta, który w „Potworze Pana Cogito” wywodził, że „dowodem istnienia potwora są jego ofiary”. Takie jak kpt. Paulo de Silva.

Książkę Nowaka otwierają i zamykają afisze z wojny 1920 r. Pierwszy zachęcał do walki z Sowietami: „Spiesz bronić Twą matkę, żonę, dzieci”, ze znaczącym ostrzeżeniem: „Kto ten plakat niszczy lub zdziera, kto pozwalał, aby leżał nie naklejony, ten łączy się z wrogiem”, a drugi przypominał: „Polska była i jest krajem wolności. Rosja, carska czy bolszewicka, była i jest wielkim więzieniem”.

B yła i jest... Profesor Andrzej Nowak w „Klęsce imperium zła” dowodzi, że pod wieloma względami diagnoza ta jest wciąż trafna. A rozwijająca się pod rządami Putina rosyjska imperialna propaganda – zakładając przeszłość z wojną 1920 r. na czele – była skuteczna. W przededniu 75. rocznicy obchodów zakończenia drugiej wojny światowej – dla Rosjan „wielkiej Pobjedy”, tylko z powodu koronawirusa niezamienionych w jakiś niewyobrażalny, hucpiarski pokaz buty, pychy i wszechogarniającego kłamstwa – powinniśmy być na to szczególnie wyczuleni.

„... jeśli zapomnimy o historii opisywanej w tej książce – powiada Andrzej Nowak – jeśli oddamy ją tym, którzy chcą zakłamać prawdę o »imperium zła«, chcą odwrócić znaczenia, a w końcu wyjść poza dobro i zło – wtedy nasze »szklane domy« mogą się pewnego dnia zawalić. »Pod gałęziami lip biesiada« [cytat z wiersza zamordowanego w Katyniu Władysława Sebyły – przyp. K.M.] – może zostać przerwana. Dlatego musimy pamiętać o roku 1920. I o tym, co było dalej”. ©



★★★★★
ANDRZEJ NOWAK
„KLĘSKA
IMPERIUM ZŁA.
ROK 1920”
BIĄŁY KRUK,
KRAKÓW 2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

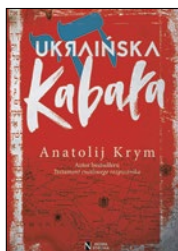
Taras rozczarowany

Spóźniona to książka, choć ciekawa. Spóźniona u nas, bo na Ukrainie ukazała się w punkt – kiedy szykowano się do celebrowania 200. rocznicy urodzin narodowego wieszczu Tarasa Szewczenki (rok 2014, książkę Kryma wydano w 2013 r.). Było to w innej epoce, bo jeszcze przed rewolucją godności na Majdanie, zanim pogoniono precz Wiktora Janukowycza, zanim Rosja dokonała inwazji na wschodnią Ukrainę.

W powieści Kryma (autora m.in. świetnej powieści „Rura”) Szewczenko zostaje wskrzeszony/sklonowany dzięki osiągnięciom naukowca kabalisty i trafia we współczesne czasy jako żywy wyrzut sumienia. Źródłem komizmu jest kilka – sama postać wskrzeszającego, Siemiona Libermana, udźwignęłaby osobną fabułę. Kapitalny jest szyderczy obraz współczesnych literatów Ukrainy i ich reakcji na powrót wieszczu, te partie książki przypominają ton, którym kpił z sowieckich inżynierów dusz Bułhakow w „Mistrzu i Małgorzacie”. Rozmowy zwykłych Ukraińców z Szewczenką to kolejna okazja do uśmiechu, podobnie jak reakcja poety na kult, którym po latach otoczona jest jego osoba, oraz dokumenty służb tajnych i jawnych próbujących zgłębić tajemnicę wskrzeszenia. Krym

uczynił ze swojej książki kolaż, mamy narracje wspomnianych już Szewczenki i Libermana, mamy dopowiadające całą historię rozmaite fikcyjne raporty, wywiady, donosy i rozkazy.

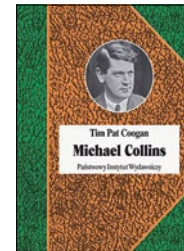
Książka bardzo zabawna, w wielu miejscach jest także smutna, gdy przychodzi do stawiania diagnozy. Wędrujący po współczesnej Ukrainie poeta widzi naród jak zagubione dziecko na rozstaju dróg, które wciąż nie może się zdecydować, kim być i w którym kierunku pójść. Mądrzejsi o te kilka lat (ale chyba kluczowych lat w dziejach współczesnej Ukrainy) wiemy, jaki wysiłek został podjęty, by wyjść z tego zagubienia. Z drugiej strony kto śledzi doniesienia z Kijowa, ten wie, że to, co piętnował Anatolij Krym słowami swojego wskrzeszonego Szewczenki, wcale nie zniknęło – sobiepaństwo moźnych, pogarda dla prawa, alienacja polityków, rosyjskie wpływy, postkomunizm, w którym to terminie „post” należałoby napisać bardzo małymi literami. Warto też sięgnąć po przestrogi pisarza, bo wcale nie jestem pewien, czy zmiany u naszego wschodniego sąsiada są nieodwracalne, czy przypadkiem stare nie jest o krok od powrotu, choć być może w nieco zmienionej, unowocześnionej formie. ©©



★★★★★
ANATOLIJ KRYM
„UKRAIŃSKA KABAŁA”
REA/NOWA
STRONA 2020

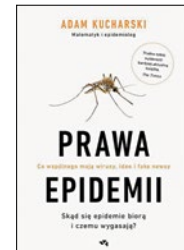
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerna biografia legendarnego przywódcy, jednego z ojców niepodległej Irlandii. Pasjonująca opowieść o najbardziej poszukiwanym człowieku w imperium brytyjskim, jego sojusznikach, przeciwnikach i wielkim dziele.



TIM PAT COOGAN
„MICHAEL COLLINS”
PIW

Intrygująca książka polskiego epidemiologa i matematyka nie tylko o tym, jak rozwijały się prawdziwe zarazy, lecz także o tym, jak szerzą się fałszywe informacje i czy istnieją między tymi zjawiskami podobieństwa.



ADAM KUCHARSKI
„PRAWA EPIDEMII”
WYDAWNICTWO RELACJA

Na co skarżyli się chłopci, a na co miastowi, o co kłóciły się małżeństwa, co mówiły teksty piosenek rockowych, a co popularność komiksów o Żbiku. Wbrew tytułowi szkice nie tylko o PRL, lecz także o innych demoludach.



PRACA ZBIOROWA
„ŻYCIE CODZIENNE W PRL”
IPN

Nowy tom najlepszego współczesnego autora SF. Chiang pisze tylko opowiadania, uwielbiają go czytelnicy i krytycy, a Denis Villeneuve nakręcił na podstawie jego prozy film „Nowy początek”. ©©

recenzuje Piotr Gociek



TED CHIANG
„WYDECH”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: INDYJSKA WŁÓCZĘGA

„Indyjska włóczęga” zabiera nas nie do Azji, lecz Indii Zachodnich, jak swego czasu nazywano Amerykę. Mistrzowski komiks Guarnido (twórcy znanej i w Polsce serii kryminałów noir „Blacksad”) to dopisany z fantazją i humorem ciąg dalszy klasycznej hiszpańskiej powieści lotrzykowskiej z XVII stulecia, „Żywot młodzika niepocziwego imieniem Pablos”. W jej finale tytułowy bohater opuszczał Europę, by



ALAIN AYROLES, JUANJO GUARNIDO
„INDYJSKA WŁÓCZĘGA”
EGMONT 2020

szukać schronienia (i złota) w Nowym Świecie. Komiksowa kontynuacja to zachwycająca, zabawna i zaskakująca historia przegodowa, bez wątpienia jeden z najlepszych albumów, jakie ukazały się w ostatnich latach na naszym rynku. ©©

poleca Piotr Gociek

Jedną z ostatnich kompozycji Romualda Lipko, hymn „Nie zastąpi Ciebie nikt” ku czci św. Jana Pawła II, powstała z okazji 100. rocznicy narodzin Karola Wojtyły, która to przypada 18 maja 2020 r. Kompozytor zmarł z powodu nowotworu 6 lutego br., doczekał jednak prapremiery hymnu (i teledysku, w którym wystąpił) w Operze Krakowskiej podczas XI Kołędowania z Janem Pawłem II. W styczniu w ten właśnie sposób otworzono obchody 100. rocznicy urodzin papieża z Wadowic.

Do kompozycji jednego z najwybitniejszych polskich twórców muzyki rozrywkowej ostatnich lat słowa napisał Marek Dutkiewicz. Śpiewają Kasia Moś, Dorota Osieńska, Natalia Rubiś, Wojciech Cugowski, Marek Piekarczyk oraz Mateusz Ziółko. Utwór to wyrażenie tęsknoty za papieżem Polakiem. „Bo nie zastąpi Ciebie nikt / Do



Nie zastąpi Ciebie nikt

świata otworzyłeś drzwi / Trafił duch do naszych serc / Stał się cud – zniknął lęk / Z nadzieją nam kazałeś iść / Subito santo! Wreszcie Ty!”. W teledysku kadry śpiewających w studiu artystów mieszają się z archiwalnymi zdjęciami Jana Pawła II.

Kończy się doskonale znana scena, w której to Jan Paweł II próbuje skończyć nocne rozmowy z papieskiego okna i prosi, by zgromadzeni poszli już spać.

– Mamy nadzieję, że ten utwór, który został napisany specjalnie z okazji tej

rocznicy, będzie śpiewany przez wszystkich Polaków – mówiła podczas prapremiery teledysku Agata Szuta, dyrektor Instytutu Dialogu Międzykulturowego im. Jana Pawła II w Krakowie, który zainicjował powstanie hymnu. Chociaż obchody jubileuszu wyglądają inaczej, niż to zakładano w przedpandemicznej rzeczywistości, to ze wspólnego śpiewania nie zrezygnowano. Instytut udostępnił podkład muzyczny, tekst oraz nuty i zachęcał do nagrywania oraz przesyłania swoich wykonania hymnu. Najciekawsze miały być opublikowane. Zapewne stało się to 18 maja, w dniu, w którym to wydanie „Do Rzeczy” trafia do kiosków. Oryginalny teledysk „Nie zastąpi Ciebie nikt” ze znakomitym wykonaniem wspomnianych powyżej ma na YouTube już ponad 4,3 mln wyświetleń. Warto powiększyć tę liczbę. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Powrót na stałe?

Poprzednia płyta Edyty Bartosiewicz, „Renovatio”, ukazała się po 15-letniej przerwie. Na najnowsza czekaliśmy o połowę krócej, ale i tak za długo.

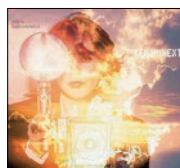
Twórczość Bartosiewicz z lat 90. należy do najbardziej intrygujących zjawisk w polskiej muzyce. Przetworzyła targające nią demony w przejmującą, artystyczną wypowiedź i jednocześnie odniosła sukces komercyjny. Album „Wodospady” z 1998 r. miał utorować jej karierę zagraniczną. Zamiast tego był początkiem długoletniego kryzysu twórczego i osobistego.

Otwierający album singlowy „Lovesong” pojawił się już ponad rok temu. To typowa dla Edyty ballada o potrzebie miłości; ciąg dalszy „wewnętrznego”, emo-

cjonalnego pamiętnika, którego kolejnymi rozdziałami są: „Cichy zabójca”, siedmiominutowe „Monstrum” i „Ten moment”.

W studiu Bartosiewicz wsparł tandem producencki Bodek Pezda i Sławomir „Dżabi” Leniart, znany choćby z formacji Agressiva 69. Ich piętno słychać wyraźniej w „wewnętrznych” utworach, w których autorka diagnozuje świat.

To nie jest wielki album, ale może być przełomowym dla artystki, której mi bardzo brakowało. W kończącej zestaw piosence autorka oznajmia swój nowy początek: „To jest ten moment, to jest ten czas / Otworzyć dziś w sobie okno na świat”. Czy jest to płyta, dzięki której Edyta rzeczywiście poskromiła wewnętrzne monstrum? ©©



★★★★★
EDYTA BARTOSIEWICZ
„TEN MOMENT”
EBA



★★★★★

BŁOTO
„EROZJE”
ASTIGMATIC

Błoto tworzy czterech z siedmiu muzyków wrocławskiego EASB. Dziesięć improwizacji na temat rodzajów gleby. Pierwsza połowa („Ziemie żyzne”) jest rytmiczno-nowoczesna, druga („Ziemie jałowe”) tradycyjno-wywrotowa. Erozja utartego jazzowego myślenia dała bujne plony.



★★★★★

POPKULTURA
„MIŁOŚĆ,
ZDRADA”
AGORA

Macieja Olbrycha

i kompanów fascynuje rodzimy electropop lat 80. Echa dokonań Republiki, Kombi czy Kapitana Nemo słychać zarówno w brzmieniach instrumentów, manierze wokalne, jak i frazach słownych. Mało oryginalne, ale słucha się z uśmiechem. ©©

Jan Paweł II na Jasnej Górze podczas
pierwszej pielgrzymki do Polski FOT. NAC

DODATEK
SPECJALNY



Z prof. Grzegorzem Kucharczykiem
rozmawia Tomasz Rowiński

Nietuzinkowy pontyfikat

TOMASZ ROWIŃSKI: Panie profeszorze, w przededniu 100. rocznicy urodzin Karola Wojtyły mamy do czynienia z pewnego rodzaju paradoksem. Środowiska, które za pontyfikatu Jana Pawła II uważały się za przodowników głosu

i wyjaśniania papieskiej nauki, dziś coraz częściej zajmują się tej nauki dekonstrukcją. Z kolei katolicy tradycjoniści, którzy byli skłonni do słów krytycznych wobec papieża z Polski, dziś znacznie częściej są jego obrońcami. Skąd ta zmiana?

PROF. GRZEGORZ KUCHARCZYK: Można powiedzieć, że jedni i drudzy dojrżeli albo przejrżeli na oczy. Ci, którzy określali siebie jako tzw. dzieci soboru, doszli do wniosku, że trzeba swoje nadzieje

Partner główny



Partnerzy



■ na zmianę paradygmatu w nauczaniu Kościoła ulokować gdzieś indziej. A tradycjonałści, patrząc z perspektywy czasu i widząc, jakie rewolucyjne wiatry wieją z Watykanu, stwierdzili, że ten papież nie był taki zły. Oczywiście w zasobach internetowych można przeczytać wiele opinii krytycznych wobec pontyfikatu Jana Pawła II, ale jednak w perspektywie tego, co się dzieje w Kościele, zwłaszcza od 2013 r., łatwiej jest uznać jego zasługi.

Pamiętam swoje rozmowy z wierzącymi katolikami francuskimi niedługo po śmierci Jana Pawła II. Podkreślali oni, że papież powstrzymał rozkład Kościoła trwający w latach posoborowych – przeciwstawił się eksperymentom liturgicznym i dał nowy, jasny wykład nauczania katolickiego. To prawdziwa opinia?

Bez wątpienia, ale też nie jest to dziwne. Jeśli przyjrzymy się duchowej formacji papieża, o której z wielkim sentymentem pisze w swoich biograficznych książkach, to była ona, mówiąc językiem popularnym, przedsoborowa. Jan Paweł II wielokrotnie wspominał kard. Adama Stefana Sapiechę i odwoływał się do niego, a szerzej – do klimatu katolickiego życia i duchowości, który niemal zaniknął po soborze. Warto o tym pamiętać, bo często nam umyka, że Jan Paweł II – ale jeszcze także Benedykt XVI – to ludzie duchowo i intelektualnie uformowani przed rewolucją, która dotknęła Kościół w latach 60. i 70. W tym obaj różnią się od papieża Franciszka, ten pochodzi z kolejnego pokolenia, przynajmniej w drodze do kapłaństwa uformowanego w klimacie gwałtownego odrzucenia wcześniejszych tradycji.

Kogo jeszcze moglibyśmy wskazać jako postać mającą wpływa na to, jakim papieżem został Karol Wojtyła?

Bez wątpienia taką osobą, i o tym Jan Paweł II także mówił wprost, był Prymas Tysiąclecia, kard. Stefan Wyszyński. Chodzi o ślad, jaki zostawiły w Wojtyłce obchody Tysiąclecia Chrztu Polski czy Wielka Nowenna. Te ważne dzieła Prymasa Wyszyńskiego pomagały Wojtyłce coraz głębiej uczyć się Kościoła, zanurzać się w jego dzieje. Te wszystkie znaki szacunku wobec kard. Wyszyńskiego to nie była tylko kurtuazja, wypływały one z jego serca i umysłu. Wojtyła był rzeczywiście prawdziwym dłużnikiem duchowym Wyszyńskiego. Poza tym, już jako Jan Paweł II, traktował poważnie to, co powiedział światu podczas mszy

Jeśli przyjrzymy się duchowej formacji papieża, to była ona, mówiąc językiem popularnym, przedsoborowa

inauguracyjnej w Watykanie w roku 1978 – „Otwórzcie drzwi Chrystusowi”. On rzeczywiście traktował Sobór Watykański II jako narzędzie wzmożenia Kościoła, a nie jako sposób na rozmycie jego nauki. W tym zresztą także naśladował prymasa Wyszyńskiego. Pamiętam dobrze zdanie jednego z zagranicznych dziennikarzy, który komentował wynik konklawe w październiku 1978 r. Powie działał on, że choć jest to papież zagadka, to bez wątpienia jest to papież katolicki. I to oczywiście było prawdą.

Z drugiej strony prawdą jest też to, że Karol Wojtyła w wielu kwestiach po prostu dojrzewał. Zresztą wcale się z tym nie krył. Miał swoje fascynacje intelektualne, by wspomnieć o fenomenologii, habilitację napisał wokół filozofii Maxa Schelera. Jednak gdy przeczytamy jego encyklikę „Fides et ratio” z 1998 r., to znajdziemy tam wprost stwierdzenie, by odejść w filozofii od fenomenu, a wrócić do filozofii metafizycznej. To jest także znak jego wielkości, że potrafił dla dobra Kościoła poddać rewizji różne swoje zainteresowania, które z biegiem czasu, okazało się, że nijak się mają do potrzeb Kościoła.

Czego nie udało się osiągnąć św. Janowi Pawłowi II w Kościele? Co mógł zrobić lepiej?

Wszystko mógł zrobić lepiej, był jak każdy z nas tylko człowiekiem. Gdybyśmy szukali słabości w jego działaniach, to być może trzeba by się przyjrzeć kwestiom administracyjnym Kościoła. Kurii rzymskiej potrzebna była twarda ręka i miotła. W tych zaniechaniach można szukać słabszych stron pontyfikatu. Zwłaszcza zaś pod koniec rządów św. Jana Pawła II, kiedy był on już bardzo chory i osłabiony, ten obszar spraw wymagał większej uwagi, niż papież był w stanie poświęcić.

Czy zreformowana kuria oznaczałaby zdrowszą moralnie sytuację w Kościele dziś?

Stan kurii ma znaczenie, ale trzeba to szerzej potraktować. Niektórzy obserwatorzy rzeczywiście stwierdzili, że papież wyruszył na te pielgrzymki dlatego, że uznał kurie za bagno nie do ruszenia. Być

może jakieś ziarno prawdy w tym jest. W tym kontekście przypomina mi się głośna sprawa abp. Juliusza Paetza. Jak wiemy, wszystkie instancje, które powinny wcześniej reagować, poczynając od nuncjatury apostolskiej w Polsce, zawiodły. Dossier tej sprawy zostało osobiście dostarczone przez panią Wandę Półtawską Ojcu Świętemu w Rzymie. Kiedy Ojciec Święty dostał do ręki te materiały, nastąpiła zdecydowana i natychmiastowa interwencja, co uderza w tę narrację, która próbuje nas przekonywać, że Jan Paweł II krył pedofilów czy też innych jeszcze zbrojców.

Problemem było to, co działo się przed osobistą interwencją papieża. Żaden papież nie jest w stanie kontrolować całej struktury Kościoła i każdej sprawy, która potencjalnie może się okazać zgrzeszeniem. Dlatego ważne jest, by organizacja kościelna dobrze działała. W tym zakresie św. Jan Paweł II nie był, jak się zdaje, tak wybitny jak w innych.

Jan Paweł II nominował na kardynałów ludzi, którzy po jego śmierci zaczęli demontować dorobek pontyfikatu. Czy to także słabość?

W sprawie nominacji trzeba unikać uproszczonych sposobów rozumowania. W końcu ojcowie Soboru Watykańskiego II w znakomitej części byli nominowani przez Piusa XII, a nawet wcześniejszych papieży. A konklawe, które zebrało się po śmierci Jana Pawła II, wybrało na jego następcę „pancernego” kard. Ratzingera. Jeśli wspominamy kard. Kaspera, to trzeba też pamiętać o specyficznej sytuacji Kościoła w Niemczech, można powiedzieć, że krawiec kraje, jak mu materiału staje. Być może papież i tak wybierał najlepszych. A przecież równocześnie Jan Paweł II wynosił do godności kardynalskiej takie wybitne postaci jak kard. Joachim Meisner, a to był rzeczywiście wierzący hierarcha.

Dlaczego Jan Paweł II angażował się w tak kontrowersyjne sprawy jak spotkanie międzyreligijne w Asyżu?

Myślę, że miał przekonanie o konieczności wykonywania gestów. Dotyczyło to przecież różnych spraw. Pod koniec życia mieliśmy także ucałowanie Koranu. Z drugiej jednak strony Jan Paweł II podpisał deklarację „Dominus Iesus”, która została okrzyczana w środowiskach tzw. postępowego katolicyzmu jako zaprzeczenie całego dorobku ekumenicznego, jako cofnięcie się Kościoła w czasy przedsoborowe. Mamy też inne wypowiedzi, w których papież stanowczo mówi o granicach,

które trzeba wyznaczać czy to ekumenizmowi, czy dialogowi międzyreligijnemu. Zobaczmy, co papież Wojtyła pisze choćby o islamie. Nie wygląda to na zapowiedź deklaracji papieża Franciszka z Abu Zabi, w której czytamy o „wielości religii chcia-nej przez Boga”. Zatem dopiero szerokie spojrzenie na cały pontyfikat pozwala nam ocenić stosunek św. Jana Pawła II do tych spraw. Czym innym zresztą jest dialog z Kościołami prawosławnymi, a czym innym relacje z pierwotnymi formami religijności. Warto zwrócić uwagę szczególnie na dokumenty Jana Pawła II z końca życia. Choćby na encyklikę „Ecclesia de Eucharistia” z 2003 r., w której papież wskazuje na mszę świętą, na Eucharystię jako to, co stanowi wspólnotę Kościoła, jego skarb najcenniejszy. To nie są wypowiedzi, które rozwiewają wszelkie wątpliwości na temat stosunku papieża do depozytu wiary.

Czy „gwiazdorski” styl pontyfikatu Jana Pawła II, gesty interpretowane w kontrowersyjny sposób nie przyczyniły się do dzisiejszego poczucia, że papież może z nauką Kościoła robić, co mu się podoba?

Powinniśmy przyłożyć do tego ewangeliczną zasadę mówiącą, że oceniać należy po owocach. My patrzymy z perspektywy pielgrzymek Jana Pawła II do Polski, które miały dla nas fundamentalne znaczenie, ale zobaczmy, jakie znaczenie miały one dla innych narodów. W Meksyku do dziś wspomina się pierwszą wizytę papieża Polaka jako tę, która pomogła temu narodowi przetrwać kolejne dekady opresyjnego laickiego reżimu. Przypomnijmy sobie, jak rezonowała pielgrzymka do Francji, podczas której papież wypominał najstarszej córce Kościoła brak wiary, ale podczas której miało też miejsce spotkanie z młodzieżą. Spotkanie, co do którego wieszczono, że nie wzbudzi zainteresowania, a zapelniony został cały stadion. Katolicka Francja otrzymała bardzo wiele nadziei od św. Jana Pawła II. Wielkie znaczenie miały pielgrzymki do krajów, które wyszły zza żelaznej kurtyny, do Czech, na Węgry czy na Litwę. Szczególnie ostatnie pielgrzymki, gdy papież był już bardzo słaby, pokazały całemu światu, że w jego postawie nie było gry pod publiczność, ale przekonanie, że tak właśnie powinien realizować swoją misję.

Możemy mówić, że był to wielki pontyfikat w dziejach Kościoła?

Ataki, które dziś są przeprowadzane na ważne dokumenty tego pontyfikatu,

na instytucje, które pozostawił – przypomnijmy czystkę w rzymskim Instytucie Studiów nad Rodziną – wskazują, że ten pontyfikat był rzeczywiście nietuzinkowy. Dzisiaj wyraźniej jeszcze widzimy, jak bardzo głos papieża szedł w poprzek opinii światowej, która zresztą często wygodnie się mości w samym Kościele.

Co uznaje pan za najważniejsze elementy dziedzictwa pontyfikatu Jana Pawła II?

Zwróciłbym uwagę na trzy rzeczy. Pierwsze dwie to najważniejsze encykliki – „Veritatis Splendor” oraz „Fides et ratio” – w których Jan Paweł II mówił



Jan Paweł II (na zdjęciu jego pomnik w Wadowicach) powstrzymał ofensywę wojującego laicyzmu z początku lat 90.
FOT. ADOBE STOCK

o konieczności zdrowej filozofii, która jest podstawą do odpowiedniej teologii. Taka teologia zbudowana na bazie metafizycznej i tomistycznej musi być fundamentem formacji kapłańskiej i seminarystycznej. Tak uformowani kapłani mają szansę prowadzić skutecznie duszpasterstwo. Trzecia rzecz to liczne beatyfikacje i kanonizacje, szczególnie męczenników. Jan Paweł II wynosił na ołtarze ludzi zakorzenionych w konkretnej historii: męczenników reformacji, męczenników rewolucji francuskiej, męczenników wojny domowej w Hiszpanii, powstania cristeros w Meksyku, męczenników komunizmu czy niemieckiego narodowego socjalizmu. Rys tych świętych oprócz tego, że zostali zabici z powodu wiary w Chrystusa, jest taki, że stawali oni w różnych miejscach w obronie tego, co nazywamy cywilizacją Christianitas. To są te nieprzemijające zasługi Jana Pawła II

w przywracaniu pamięci o historii Kościoła. A ponieważ święci wciąż żyją z nami, nie jest to tylko badanie archiwów.

Często krytycznie mówi się o tej aktywności Jana Pawła II jako o „fabryce świętych”.

Cóż, Kościół od Zesłania Ducha Świętego jest fabryką świętych. Bóg wciąż wzbudza świętość w ludziach żyjących wśród nas. Moim zdaniem Jan Paweł II był z pokolenia, które widziało wielu świętych na własne oczy. To pokolenie złożyło hekatombę krwi w czasie drugiej wojny światowej i potem komunizmu. Stąd też prawdopodobnie brało się przekonanie Karola Wojtyły o konieczności oddania sprawiedliwości tym ludziom przez Kościół. A jednocześnie widział w tym możliwość ofiarowania wierzącym dostępu do tak wielu orędowników. Poza tym pisze o tym w „Veritatis Splendor”, męczennicy są świadkami nieprzekraczalnych granic, które relatywizm, także obecny w Kościele, stara się rozmywać.

Dlaczego Jan Paweł II zwyciężył w potyczce z komunizmem, a przegrał z liberalizmem?

Uważam, że udało się Janowi Pawłowi II wiele zdziałać także w zmaganiach z liberalizmem. Przede wszystkim powstrzymał ofensywę wojującego laicyzmu z początku lat 90. Zaczęto wtedy forsować tezę o neutralności światopoglądowej państwa. Pamiętamy, że w pewnej mierze były to czasy jednej opiniotwórczej „Gazety” oraz silnych wpływów medialnych postkomunistów. I kiedy w roku 1991 Jan Paweł II przyjechał do Polski, posługiwał się bardzo mocnymi słowami. Mówił w Lubaczowie o perspektywie zamknięcia katolików polskich w wielkim getcie społecznym. Chociaż spadły na niego za to gromy, to słowa te realnie zmieniły polską opinię publiczną. To nie była tylko kwestia laicyzacji. Bez Jana Pawła II nie dokonałaby się mentalna zmiana, która pozwoliła wprowadzić prawo chroniące osoby nienarodzone. Ono nie jest jeszcze doskonałe, ale nie da się go porównać z tym, co było za komunizmu czy jest dziś w krajach liberalnych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Grzegorz Kucharczyk
– historyk, profesor nauk humanistycznych, pracownik Instytutu Historii PAN.

Chciał być aktorem, został świętym

18 MAJA 1920 – w Wadowicach rodzi się Karol Wojtyła, syn Emilii z Kaczorowskich oraz porucznika Karola Wojtyły. Rodzina mieszka w kamienicy przy Rynek 2 (obecnie ul. Kościelna 7). Okna mieszkania wychodzą na ścianę kościoła, ozdobioną zegarem słonecznym z napisem: „Czas ucieka, wieczność czeka”. Podczas chrztu 20 czerwca otrzymuje imiona: Karol Józef.

13 KWIETNIA 1929 – umiera matka Karola Wojtyły. Miesiąc później w ubranku po starszym bracie przyjmuje pierwszą komunie św. w kościele Ofiarowania Najświętszej Marii Panny w Wadowicach. Mały Karol od 1930 r. służy w nim do mszy.

4 GRUDNIA 1932 – umiera starszy o 14 lat brat Karola – Edmund – który jako lekarz zaraził się w szpitalu szkarlatyną, ratując chorą pacjentkę.

3 MAJA 1938 – abp Stefan Sapięha udziela sakramentu bierzmowania Karolowi Wojtył. 11 dni później przyszły papież Polak odbiera świadectwo maturalne w wadowickim gimnazjum. W tym samym roku przeprowadza się do Krakowa na ul. Tyniecką 10, gdzie zaczyna studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim.

1939–1944 – wybuch wojny i zamknięcie uczelni przez niemieckiego okupanta sprawiają, że Karol Wojtyła przerywa naukę i rozpoczyna pracę robotnika w kamieniołomach na Zakrzówku w Krakowie, a następnie w krakowskich zakładach produkcji sody Solvay. W wolnym czasie jest jednym z reżyserów i aktorów w konspiracyjnym Teatrze Rapsodycznym.

18 LUTEGO 1941 – umiera ojciec.

1942 – Karol Wojtyła wstępuje do konspiracyjnego Arcybiskupiego Seminarium Duchownego w Krakowie. Równocześnie studiuje filozofię na tajnym Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego.

1946 – przyszły papież przyjmuje święcenia kapłańskie z rąk kard. Sapięhy w kaplicy Pałacu Biskupiego przy ul. Franciszkańskiej 3, a następnego dnia odprawia mszę św. prymicyjną w krypcie św. Leonarda na Wawelu. Wkrótce wyjeżdża na studia na uniwersytecie Angelicum w Rzymie.

1948 – Karol Wojtyła broni pracy doktorskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim i rozpoczyna pracę duszpasterską w Niegowici (gdzie zakłada m.in. kółko teatralne). Rok później zostaje przeniesiony do parafii pw. św. Floriana w Krakowie. Wciąż pracuje naukowo. Zakończenie przewodu habilitacyjnego na Wydziale Teologicznym UJ następuje w 1954 r.



1958 – Karol Wojtyła decyzją papieża Piusa XII otrzymuje nominację na biskupa pomocniczego w Krakowie. Konsekracja biskupia odbywa się w katedrze wawelskiej. Nowy biskup przyjmuje jako dewizę słowa św. Ludwika Marii Grignion de Montforta: „Totus Tuus” (Cały Twój).

30 GRUDNIA 1963 – papież Paweł VI mianuje Karola Wojtyłę arcybiskupem metropolii krakowskiej.

16 PAŹDZIERNIKA 1978, GODZ. 18.44 – kardynał Pericle Felici ogłasza tłumom na placu św. Piotra: „Zwiastuję wam radość wielką: mamy papieża. Najdostojniejszego i Najprzewielebniejszego Pana Kościoła Świętego, kard. Karola Wojtyłę, który przybrał sobie imię Jan Paweł II”. „Nie lękajcie się! Otwórzcie drzwi Chrystusowi” – wyzywa papież podczas uroczystej inauguracji pontyfikatu 22 października.

STYCZEŃ 1979 – pierwsza zagraniczna pielgrzymka papieża do Dominikany, Meksyku i na Bahamy.

4 MARCA 1979 – pierwsza encyklika „Redemptor hominis” („Odkupiciel człowiek”).

2–10 CZERWCA 1979 – pierwsza pielgrzymka papieża Polaka do ojczyzny. Padają pamiętne słowa: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi!”.

13 MAJA 1981 – zamach na placu św. Piotra. Jan Paweł II zostaje poważnie ranny. Życie ratuje mu Matka Boska.

16–23 CZERWCA 1983 – druga pielgrzymka do Polski z hasłem przewodnim: „Pokój Tobie, Polsko, Ojczyzno moja!”.

KWIECIEŃ 1984 – Rzymski Jubileusz Młodych staje się początkiem tradycji Światowych Dni Młodzieży.

8–14 CZERWCA 1987 – podczas trzeciej pielgrzymki do ojczyzny pod hasłem: „Do końca ich umiłował” papież broni godności Polaków wobec ówczesnej władzy.

1–9 CZERWCA I 13–20 SIERPNI 1991 – „Bogu dziękujcie, ducha nie gaście” – apeluje do rodaków Jan Paweł II podczas czwartej pielgrzymki do Polski.

22 MAJA 1995 – „Czas próby polskich sumień trwa” – przestrzega papież podczas krótkiej wizyty w Polsce.

31 MAJA–10 CZERWCA 1997 – szósta pielgrzymka do ojczyzny pod hasłem: „Chrystus wczoraj, dziś i na wieki”.

5–17 CZERWCA 1999 – „Bóg jest miłością”. Pod takim hasłem Ojciec Święty po raz siódmy odwiedza Polskę.

20–26 MARCA 2000 – pielgrzymka do Ziemi Świętej: Jordanii, Izraela i Autonomii Palestyńskiej.

16–19 SIERPNI 2002 – ostatnia pielgrzymka Ojca Świętego do Polski pod hasłem: „Bóg bogaty w miłosierdzie”.

2003 – publikacja 14. encykliki „Ecclesia de Eucharistia” oraz „Tryptyku rzymskiego”.

14–15 SIERPNI 2004 – papież udaje się w ostatnią zagraniczną pielgrzymkę do Lourdes we Francji.

2 KWIETNIA 2005 R., GODZ. 21.37 – w wigilię święta Miłosierdzia Bożego w wieku 85 lat Jan Paweł II odchodzi do Domu Ojca.

8 KWIETNIA 2005 – pogrzeb Jana Pawła II. W ceremonii uczestniczy kilka milionów pielgrzymów, w tym aż 1,5 mln Polaków, a także czterech królów, pięć królowych i ponad 70 prezydentów. Wierzący wołają: „Święty, święty, święty” oraz „Santo subito!” (Święty natychmiast).

28 CZERWCA 2005 – rozpoczyna się proces beatyfikacyjny, którego postulatorem zostaje ks. Sławomir Oder.

1 MAJA 2011 – papież Benedykt XVI beatyfikuje Jana Pawła II.

27 KWIETNIA 2014 – kanonizacja Jana Pawła II oraz Jana XXIII. – Byli kapłanami, biskupami i papieżami XX w. Poznali jego tragedie, ale nie byli nimi przytłoczeni. Silniejszy był w nich Bóg; silniejsza była w nich wiara w Jezusa Chrystusa, Odkupiciela człowieka i Pana historii; silniejsze było w nich miłosierdzie Boga, które objawia się w tych pięciu ranach; silniejsza była macierzyńska bliskość Maryi – mówi w homilii papież Franciszek.

MAJ 2020 – rozpoczyna się proces beatyfikacyjny rodziców Jana Pawła II. „W dzisiejszej rzeczywistości zdominowanej przez samotność, niepewność jutra, ale także poszukiwanie sensu życia, osoby Karola i Emilii Wojtyłów stają się świadectwem trwania nieprzemijających wartości, wśród których na pierwszym miejscu jest rodzina” – zauważa kard. Stanisław Dziwisz. © (jap)



enea.pl

Wszystko tu się zaczęło – przypomniał słowa Jana Pawła II kard. Stanisław

Dziwisz w bazylice Ofiarowania NMP w Wadowicach, gdzie 7 maja br. odbyła się uroczysta sesja inaugurująca proces beatyfikacyjny rodziców papieża Jana Pawła II – Emilii i Karola Wojtyłów. Dodawał, że wielokrotnie słyszał od papieża, iż ma on świętych rodziców. Jan Paweł II z wdzięcznością podkreślał rolę rodzinnego domu jako miejsca, gdzie kształtowała się jego duchowość. Jedną z najcenniejszych dla papieża rzeczy osobistych były przechowywane w starym skórzanym etui: obrazek Matki Bożej Częstochowskiej i fotografie rodziców i brata Edmunda. Do końca życia papież odmawiał codziennie modlitwę do Ducha Świętego, której nauczył go w dzieciństwie ojciec.

Karol Wojtyła senior urodził się w 1879 r. w Lipniku w Galicji. Przyszły ojciec papieża ukończył pięcioklasową szkołę ludową i trzy klasy gimnazjum. W wieku 14 lat zaczął pracę w zakładzie krawieckim ojca. Tak jak każdy urodzony w granicach Austro-Węgier i poddany cesarza Austrii po osiągnięciu wieku poborowego wstąpił do „carsko-królewskiej” armii. W wojsku (po odzyskaniu przez Polskę niepodległości) służył Karol Wojtyła do 1927 r.

Według tradycji przyszli rodzice papieża spotkali się w kościele i zakochali od pierwszego wejrzenia, ale – jak zauważa dr Milena Kindziuk, autorka wydanej niedawno pierwszej biografii Emilii i Karola Wojtyłów – jest to najpewniej tylko piękna legenda, a okoliczności ich poznania nie są znane. Jak pisze Milena Kindziuk, najprawdopodobniej spotkali się w Krakowie w 1905 r., a 10 lutego 1906 r. byli już małżeństwem. Autorce biografii podczas zbierania materiałów do książki udało się uzupełnić kilka białych plam



Emilia i Karol Wojtyłowie na fotografii ślubnej

FOT. MUZEUM DOM RODZINY OJCA ŚWIĘTEGO JANA PAWŁA II W WADOWICACH

Zwyczajni, tylko święci



Radosław Wojtas

Jan Paweł II był przekonany, że jego rodzice i brat wiedli życie ludzi świętych. Właśnie ruszył proces beatyfikacyjny Emilii i Karola Wojtyłów

w życiorysach rodziców papieża i sprostować parę nieścisłości. Ustaliła m.in. datę ślubu Wojtyłów oraz to, że Emilia Kaczorowska nie urodziła się w Białej (obecnie Bielsko-Biała), jak dotychczas podawano, ale w Krakowie. Przyszła na świat 26 marca 1884 r. W wieku sześciu lat zaczęła naukę w szkole podstawowej, prawdopodobnie uczęszczała jeszcze do szkoły prowadzonej przez siostry zakonne. Musiała szybko wyrosnąć, gdy w wieku 13 lat zmarła jej matka. Wcześniej, jako ośmiolatka, straciła starszego brata. Jedną z jej starszych sióstr zmarła, gdy Emilia miała 18 lat, a trzy lata później odeszła jej kolejna siostra.

Jak pisze we wstępie do biografii Emilii i Karola Wojtyłów kard. Stanisław Dziwisz: „Wojtyłowie stanowili wyjątkową rodzinę, chociaż trzeba podkreślić, że była to jednocześnie rodzina bardzo zwyczajna, której troski spłatały się z prozaicznymi

czynnościami dnia codziennego”. Pierwszy potomek Emilii i Karola – Edmund Antoni – przyszedł na świat 27 sierpnia 1906 r. Ich drugie dziecko, córka Olga, urodziło się 7 lipca 1916 r., ale zmarło w dniu porodu. Trzeci syn Karol Józef Wojtyła przyszedł na świat 18 maja 1920 r. Wbrew diagnozie, wedle której nie było szans na to, by poród przeżyły i dziecko, i matka. Lekarz Emilii nie chciał prowadzić ciąży i nalegał na przeprowadzenie aborcji.

Jan Paweł II nie pamiętał zbyt dobrze matki. Zmarła 13 kwietnia 1929 r. W książce „Dar i Tajemnica” Ojciec Święty pisał: „Matkę straciłem jeszcze przed Pierwszą Komunią św. w wieku 9 lat i dlatego mniej ją pamiętam i mniej jestem świadom jej wkładu w moje wychowanie religijne, a był on z pewnością bardzo duży”. 4 grudnia 1932 r. zmarł brat Lolka. Edmund zaraził się szkarlatyną od pacjentki, której

leczenia w obawie o własne bezpieczeństwo nie chciał podejmować się pozostały personel szpitala w Bielsku. 26-letni Edmund czuwał przy chorej w izolatce.

Od śmierci brata całą rodziną dla przyszłego papieża został jego ojciec (zmarł 18 lutego 1941 r.). „Mogłem na co dzień obserwować jego życie, które było życiem surowym. Z zawodu był wojskowym, a kiedy owdowiał, stało się ono jeszcze bardziej życiem ciągłej modlitwy. Nieraz zdarzało mi się budzić w nocy i wtedy zastałem mego Ojca na kolanach, tak jak na kolanach widywałem go zawsze w kościele parafialnym” – wspominał Jan Paweł II na kartach „Dar i Tajemnicy”.

Kardynał Stanisław Dziwisz napisał we wstępie do biografii Emilii i Karola Wojtyłów: „Emilia i Karol, jako małżonkowie, stanowili dla siebie wsparcie, ale też byli do końca oddani swym dzieciom. Dbali o ich wykształcenie i wiarę. Wszystkie sprawy, cierpienia, trudy życia powierzali Panu Bogu. To On był ostatecznie w tej rodzinie najważniejszy. Takiej właśnie postawy nauczył się w domu rodzinnym św. Jan Paweł II”. Kardynał Dziwisz chętnie przystał na rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego Wojtyłów. – Traktuję to jako dopełnienie osobowości Ojca Świętego, a także jako obowiązek wdzięczności wobec papieża. Nadto Emilia i Karol Wojtyłowie mogą stać się przykładem dla współczesnych rodzin. Przykładem mocnym i wyraźnym – powiedział w rozmowie z Mileną Kindziuk. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem m.in. z:



**MILENA KINDZIUK
„EMILIA
I KAROL
WOJTYŁOWIE.
RODZICE ŚW.
JANA PAWŁA II”
ESPRESSO 2020**

navigator

POMAGAJ RAZEM Z NAMI. PODZIEL SIĘ PUNKTAMI!

Wspieraj badania związane z leczeniem koronawirusa.



lotosnavigator.pl

FUNDACJA

 **LOTOS**

Wstulecie urodzin Karola Wojtyły rozpamiętujemy jego dokonania, czytamy jego homilie, listy i poezje. Są wśród nich „List do artystów” i trudne, ale niezwykle wysublimowane dzieło ostatnich lat pontyfikatu – „Tryptyk rzymski” z 2002 r. Jest ono poetyckim rozwinięciem niektórych wątków zawartych w homiliach wygłoszonych z okazji zakończenia kolejnych faz konserwacji fresków Sykstyny. Najpierw, w latach 1981–1994, czyszczono i konserwowano malowidła Michała Anioła na

Anioła. Niewidoczne dotąd pod wielowiekowym brudem detale i przytłumione barwy objawiły artyzm jedyny w swoim rodzaju. Odważna decyzja o wykonaniu konserwacji malowideł Sykstyny jest jedną z najbardziej wielkopomnych w całym pontyfikacie papieża z Polski. 8 kwietnia 1994 r., po przeszło 16 latach pontyfikatu, Jan Paweł II zabrał wreszcie głos na temat fresków i ich niezwykle bogatego, głęboko przeдуманego programu ikonograficznego. Po odważnej decyzji w sprawie konserwacji przyszła śmiała, wręcz nowator-

Jan Paweł II i freski Sykstyny



Jerzy Miziołek

**DO DODATEK
SPECJALNY**

W dwóch homiliach, wygłoszonych w kwietniu 1994 i grudniu 1999 r., Jan Paweł II dokonał niezwykle pogłębionego odczytania fresków kaplicy Sykstyńskiej. Na czym polega fenomen jego pochwały sztuki Michała Anioła?

sklepieniu, ukazujące sceny stworzenia świata i ludzi, a następnie „Sąd ostateczny”. W latach 1995–1999 konserwacji poddano freski artystów XV-wiecznych ze scenami z życia Mojżesza i Chrystusa, ukazane na bocznych ścianach kaplicy. Homilia wygłoszona 11 grudnia 1999 r. wieńczyła bez mała 20-letni okres prac konserwatorskich i badawczych. Dostała okazję do przywołania malowideł takich mistrzów pędzla jak Botticelli i Perugino oraz przypomnienia wyboru – 16 października 1978 r. – Polaka na Stolicę Piotrową.

Spod warstw kurzu i sadzy ze świec wyłoniły się niezwykle jaskrawe kolory. Świat zobaczył nowe czy raczej zapomniane oblicze malarstwa Michała

ska interpretacja, dotycząca odwiecznej kontrowersji związanej z obecnością wielkiej liczby nagich postaci w „Sądzie ostatecznym”. Aby w pełni docenić zarówno głębię, odwagę i oryginalność homilii z kwietnia 1994 r., jak i słowa zawarte w środkowej części „Tryptyku rzymskiego”, należy ukazać je na tle innych wypowiedzi – dawnych i współczesnych.

CUD WIEKU CZY OBRAZA UCZUĆ RELIGIJNYCH

Wielu współczesnych Buonarrotie-mu było zachwyconych jego artyzmem, podobnie jak jego biografowie – Giorgio Vasari i Ascanio Condivi. Pierwszy nazywał freski cudem wieku, a drugi





Papież Jan Paweł II uczestniczy w ceremonii chrztu św. w krótko przedtem odrestaurowanej kaplicy Sykstyńskiej. Watykan, 9 stycznia 2000 r. FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

pisał: „W dziele tym wyraził Michał Anioł wszystko to, co z ciała ludzkiego może zrobić sztuka malarska, nie pomijając żadnego ruchu czy postawy”. Pomny na głosy krytyczne i zapewne przytaczając myśli samego artysty, którego był uczniem, dodaje: „Lubował się [Michał Anioł – przyp. J.M.] w piękności ciała, jako ten, co zna je wyśmienicie; do tego stopnia ją kochał, że dało to powód ludziom zmysłowym, którzy nie rozumieją innej miłości piękna jak tylko lubieżną i nieprzystojną”. Postawę tych, „co nie rozumieją”, wyraził słynny Pietro Aretino, który posunął się do rzucania obelg: „A wy [Michale Aniele – przyp. J.M.] ukazujecie świętych i anioły bez jakiegokolwiek przyzwoitości ziemskiej, [...]. Wyuzdanie waszego dzieła byłoby może odpowiednie na ścianach jakiejś rozkosznej łaźni, lecz nie na czołowej ścianie tej kaplicy”. Niespełna trzy tygodnie po odsłonięciu malowidła, 19 listopada 1541 r., Nicolò Sernini przesłał kard. Ercole Gonzadze taką opinię: „Widać, że cały wysiłek [artysta – przyp. J.M.] włożył w namalowanie cudacznych postaci w przedziwnych pozach”. Wszakże te pozy, poszczególne postacie i cała kompozycja były niemal natychmiast sztychowane, kopiowane, naśladowane. Już po połowie XVI w. cytaty z „Sądu ostatecznego” pojawiły się w Krakowie, czego przykładem jest m.in. epitafium Marco Revesli w kościele Franciszkanów, tuż obok pałacu biskupiego, w którym wiele lat rezydował bp Karol Wojtyła.

Jednakże krytyczne uwagi wobec „nagości” „Sądu ostatecznego” nabierały mocy i tylko dzięki autorytetowi papieża Pawła III genialne dzieło pozostało za jego pontyfikatu nietknięte. „Ocenzowanie” fresku było tylko kwestią czasu. Gdy Paweł IV (1555–1559) myślał „o zmianie wyglądu ściany ołtarzowej kaplicy [...], ponieważ były tam postacie zbyt śmiało odsłaniające partie ciała”, Michał Anioł miał wypowiedzieć znamienne słowa: „Powiedzcie Ojcu Świętemu, że to drobnostka, którą łatwo można zmienić; niech tylko zmieni świat, a już nietrudno będzie zmienić obrazy”. Zupełnego przemalowania grupy ze św. św. Katarzyną Aleksandryjską i Błażejem oraz zamalowania szczególnie drażliwych nagości dokonano jednak nie za Pawła IV, ale za czasów jego następcy – Piusa IV. Było to zgodne z decyzją soboru trydenckiego, który

■ krótko, ale nieodwołalnie zalecał po swojej XXIV sesji (przełom listopada i grudnia 1563 r.): „Malowidła w kaplicy Apostolskiej mają być zakryte...”. Akcja „zakrywania” nagości nie uszkodziła arcydzieła, nieco je tylko okaleczyła, zarówno tych na sklepieniu, jak i na ścianie ołtarzowej, trwały. Co ciekawe, umacniały je także opinie wybitnych badaczy renesansu, którzy nie do końca zrozumieli ducha tej epoki. Zrozumiał go i wzniośle o tym napisał – jak zobaczymy – Jan Paweł II.

W drugiej połowie XIX w., idąc za opiniami Jacoba Burckhardta i Ferdinanda Gregoroviusa, patrzono na malowidła w kaplicy Sykstyńskiej jako na przejaw odrodzenia pogaństwa. Gregorovius, autor słynnej niegdyś książki o Rzymie, pisze: „W rzeczywistości w jego [Michała Anioła – przyp. J.M.] »Sądzie ostatecznym« nie ma nic religijnego, to dzieło ma charakter zimny i świecki... postać Chrystusa to pogański atleta”. Podobne opinie możemy znaleźć również w naszych czasach. Tadeusz Rózewicz w usta Jadziaka, bohatera swojej noweli „Śmierć w starych dekoracjach”, wkłada takie oto słowa: „Jeśli chodzi o centralną postać Chrystusa w »Sądzie ostatecznym«, to muszę powiedzieć, że ta młoda atletyczna postać wywarła na mnie wrażenie prawie żenujące, moje wyobrażenie i wiadomości o cielesnej postaci Jezusa były i są krańcowo różne, że prawie byłem zawstydzony, patrząc na tego atleta, przecież to jakiś zapaśnik kulturysta, zupełnie pogańska postać. Nie mogę otrząsnąć się do tej pory z przykrego i drażniącego uczucia. To jest wręcz szokujące”. O iście lekceważącym podejściu wielu zwiedzających Sykstyne do nagich postaci we freskach Buonarrotiego pisze z oburzeniem Gustaw Herling-Grudziński w opowiadaniu „Pożar w kaplicy Sykstyńskiej”.

NA WZÓR I PODOBIENSTWO

I oto w kwietniowy dzień 1994 r. wobec licznie zebranych kardynałów i reprezentantów kultury z całego świata oraz dyrektorki japońskiej telewizji w roli sponsora padają słowa papieża-teologa i papieża-poety. Na piękno i głębię „Homilii podczas mszy św. z okazji odsłonięcia odrestaurowanego fresku »Sąd ostateczny«” zwrócił ostatnio uwagę prof. Antonio Paolucci, do niedawna dyrektor Muzeów Watykańskich. „Jest to Chrystus niezwykle



Michał Anioł, „Stworzenie słońca, księżyca i roślin”
FOT. JERZY MIZIOŁEK

– mówił Jan Paweł II – ma w sobie jakieś antyczne piękno, w pewnym sensie nietypowe dla Jego tradycyjnych przedstawień malarskich. [...] Kaplica Sykstyńska jest właśnie – jeśli tak można powiedzieć – sanktuarium teologii ludzkiego ciała. Jeśli świadczy o pięknie człowieka stworzonego przez Boga mężczyzną i niewiastą, to w tym świadectwie wyraża też w jakiś sposób nadzieję świata przemienionego, przemienionego wraz z Chrystusem zmartwychwstałym, a przedtem jeszcze na górze Tabor”. Już zestawienie przemienienia, zmartwychwstania i sądu ostatecznego, a więc zwrócenie uwagi na kilka warstw znaczeniowych arcydzieła Michała Anioła, jest nowatorskie i współbrzmie z niedawnymi głosami kilku badaczy programu ideowego kaplicy Sykstyńskiej. Ale wobec tego, co dopiero zostało powiedziane, szczególnego znaczenia nabiera określenie „sanktuarium teologii ludzkiego ciała”. Ta prawdziwa – jak zobaczymy w pełni zgodna z duchem renesansu – nobilitacja w duchu chrześcijańskim wizji Michała Anioła powraca też w „Tryptyku rzymskim”, w którym taką m.in. znajdujemy myśl: „Wystarczy pomyśleć, jak Michał Anioł wyraża w swoich obrazach i rzeźbach piękno ludzkiego ciała”.

Czy Jan Paweł II inspirował się sonetami Michała Anioła? W jednym z nich czytamy:

*Ze źródła łaski, co do życia budzi,
bierze się piękno widzialnego świata,
które owocem i odbiciem nieba.*

Odpowiedź na postawione pytanie powinna być zapewne pozytywna, skoro w „Tryptyku” papież woła:

**Przyzywam ciebie, Michale Aniele!
Jest w Watykanie kaplica, która czeka na
owoc twego widzenia!
Widzenie czekało na obraz...
Wchodzimy, żeby odczytywać,
Od zdziwienia idąc ku zdziwieniu.**

Równie kluczowe, zarówno w homilii z 1994 r., jak i w „Tryptyku”, są myśli papieża o scenach stworzenia. Parafrazując je, można powiedzieć, że Przedwieczne Słowo jest niewidzialną ikoną Boga, ale Adam jest widzialny i uzyskuje w sztuce Michała Anioła piękne proporcje i kształty rodem ze sztuki antycznej. Artysta przenosi piękno widzialne człowieka na Boga. „Czy to nie jest zuchwałość?” – pada pytanie. I oto prawdziwie renesansowa w duchu odpowiedź: „Ten widzialny, ucłowieczony Stwórca jest równocześnie Bogiem nieskończonego majestatu”. Następnie mamy przywołanie „przejmującego piękna Piety w bazylice Watykańskiej” i „wzniosłości Mojżesza w San Pietro in Vincoli”. Oto opowieść o Bogu, Adamie, Mojżeszu opowiedziana pędzlem i dłutem Michała Anioła zyskuje najwyższą pochwałę. Pochwała i odniesienie do problematyki nagich ciał powracają z wielką siłą w „Tryptyku”, gdzie po cytacie z Księgi Rodzaju: „Uczył Bóg człowieka na obraz i podobieństwo, mężczyzną

i niewiastą stworzył ich... oboje zaś byli nadzy i nie doznawali wstydu" pada pytanie i odpowiedź: „Czy to możliwe? Współczesnych o to nie pytaj, lecz pytaj Michała Anioła (a może także współczesnych?). Pytaj Sykstyny. Jak wiele tu powiedziane na tych ścianach”.

WCIENIE W CENTRUM RENEANSOWEJ TEOLOGII

Czy Jan Paweł II miał na myśli konkretnych współczesnych? Jednym z nich mógłby być amerykański jezuita John O'Malley, który w latach 70. ubiegłego wieku w nowy, pogłębiony sposób przeczytał kazania wygłaszane w obecności papieża na Watykanie na przełomie XV i XVI w. Ta dogłębna lektura kazań pokazała, że nie ukrzyżowanie (jak w średniowieczu) i nawet nie zmartwychwstanie (jak dla Pawła apostoła czy dla większości współczesnych chrześcijan), ale to, na co ludzkość przez całe wieki oczekiwała – inkarnacja – jest najważniejszym aspektem wiary chrześcijańskiej. Dopiero bowiem w chwili, gdy Chrystus wcielił się za sprawą Ducha Świętego, narodził się z łona Marii, mógł się zacząć proces odkupienia. Bez wcielenia nie byłoby możliwe pasja, odkupienie i zmartwychwstanie. O tym, że akt wcielenia był czołowym tematem w sztuce renesansu, świadczą niezliczone przedstawienia „Madonny z Dzieciątkiem”; sam Michał Anioł wykonał ich pięć. W świetle takich przemysłów ponownie zauważono, jak wspaniały jest człowiek i jak pięknie zbudowane jest jego ciało, skoro sam Bóg – Istota Najwyższa – wcielił się w niego. To ciało było tak przygotowane przez Boga, aby on sam mógł w nim zamieszkać. Dlatego na sklepieniu i na ścianie ołtarzowej Sykstyny widzimy nie tylko piękne ciała Adama i Ewy, „ignudi” – nagich młodzieńców (de facto są to bezskrzydli aniołowie) – lecz także pięknego, duchowo i fizycznie, Chrystusa sędziego o obliczu jakże podobnym do Adama. W odczuciu ludzi epoki renesansu Bóg zdecydował, że przyjmie postać najdoskonalszą. Michał Anioł znał bez wątpienia myśli czołowych teologów swojej epoki, co potwierdzają jego sonety i cytowany wcześniej fragment biografii autorstwa Condiviego.

Czy Jan Paweł II zapoznał się z przemysleniami O'Malleya? Sam był profesorem uniwersyteckim i do końca życia cenił badania naukowe. W swojej

homilii książki amerykańskiego jezuita nie przywołuje, ale homilia to nie wykład uniwersytecki, musi być syntetyczna. I taka jest w pełnym wymiarze, jest ponadto odważna, nowatorska, fascynująca, podobnie jak „Tryptyk rzymski” i „List do artystów” z jego pięknym apelem: „Zwracam się do was, artyści chrześcijańscy: każdemu z was pragnę przypomnieć, że przymierze istniejące od zawsze między Ewangelią a sztuką, niezależnie od swoich aspektów funkcjonalnych, wiąże się z wezwaniem do wniknięcia twórczą intuicją w głąb tajemnicy Boga Wcielnego, a zarazem w tajemnicę człowieka”.

„TOBIE DAM KLUCZE KRÓLESTWA”

Kaplica Sykstyńska była dla naszego papieża, jak dla każdego jego poprzednika i następcy w niej wybranego na Stolicę Piotrową, miejscem szczególnym. Podkreślał to w homilii z 1994 r. i w „Tryptyku rzymskim”.

„Ludzie – czytamy w tym poemacie teologicznym – którym troskę o dziedzictwo kluczy powierzono, zbierają się tutaj, pozwalają się ogarnąć sykstyńskiej polichromii, wizji, którą Michał Anioł pozostawił”. A dalej jest mowa o pamiętnym roku dwóch konklawe i zapowiedzi kolejnych „gdy zajdzie potrzeba”. Do konklawe z 16 października 1978 r. Jan Paweł II szczególnie wzniośle odniósł się w homilii z grudnia 1999 r. Była do tego szczególna okazja, ukończenie wspomnianej już konserwacji fresków ze scenami z życia Mojżesza i Chrystusa. Wykonali je w latach 1481–1482 najznakomitsi malarze z Toskanii i Umbrii. Jednym z nich był Domenico Ghirlandaio, u którego młody Michał Anioł uczył się we Florencji sztuki malowania. Kolejnym twórcą zaproszonym przez papieża Sykstusa IV był Pietro Perugino, autor szczególnie bliskiego Janowi Pawłowi II fresku ukazującego „Wręczenie kluczy św. Piotrowi”. Obok tych dwóch malarzy tworzyli m.in. Botticelli, Cosimo Rosselli, Pinturicchio, Biagio d'Antonio i Luca Signorelli. W homilii klarownie, prosto i pięknie ukazana jest zgodność Starego i Nowego Testamentu (sceny z życia Mojżesza zapowiadają wydarzenia z życia Chrystusa) i podkreślona wczesnorenesansowa maniera malowania, jakże różna od tej Michała Anioła, z którą stanowi wszakże jedyną w swoim rodzaju harmonijną całość. Patrząc na fresk Signorellego ze scenami

z ostatnich lat życia Mojżesza, nasuwają się analogie z wydarzeniami z życia Jana Pawła II w ostatnich latach pontyfikatu. Sceny ukazujące m.in. Mojżesza – starca, z laską na górze Nebo i wreszcie śmierć tego patriarchy – przychodzą na myśl, gdy się ogląda m.in. zdjęcia z wizyty papieża w 2000 r. w Ziemi Świętej, także na górze Nebo, skąd jak Mojżesz po-dziwiał dolinę Jordanu. I wreszcie kres i jak czytamy w „Tryptyku”: „Ostateczna przejrzystość i światło”.

W DUCHU II SOBORU WATYKAŃSKIEGO

Jana Pawła II odczytanie fresków Sykstyny mieści się w przesłaniu II Soboru Watykańskiego, papież sam to podkreśla w „Liście do artystów”, napisanym, jak jego grudniowa homilia sykstyńska, w 1999 r. Nie mają już mocy ustalenia soboru trydenckiego, nie może być mowy o cenzurowaniu arcydzieł malarskich Michała Anioła. Mają nam pomóc w zrozumieniu tajemnicy wcielenia i zbawienia. „Stąd – czytamy w »Liście« – przemawia do nas Michał Anioł, który we freskach kaplicy Sykstyńskiej zawarł niejako cały dramat i misterium świata, od stworzenia po sąd ostateczny, ukazując oblicze Boga Ojca, Chrystusa sędziego oraz człowieka przemierzającego trudną drogę od początków do kresu dziejów”. Mamy też w „Liście” przywołanie soborowego wezwania do artystów: „Świat, w którym żyjemy, potrzebuje piękna, aby nie pogrążyć się w rozpacz. Piękno podobnie jak prawda budzi radość w ludzkich sercach i jest cennym owocem, który trwa mimo upływu czasu, tworzy więź między pokoleniami i łączy je w jedno-myślnym podziwie!”.

„W tym świetle – mówi papież do współczesnych artystów – nie budzi zdziwienia teza o. Marie-Dominique Chenu, że również historyk teologii nie wykonałby w pełni swojego zadania, gdyby nie poświęcił należytej uwagi dziełom sztuki, zarówno literackim, jak i plastycznym, które na swój sposób są »nie tylko estetycznymi ilustracjami, ale prawdziwymi źródłami teologicznymi«”.

Pochwała geniuszu Michała Anioła i niezwykle pogłębione odczytanie jego fresków w kaplicy Sykstyńskiej są – podobnie jak ich konserwacja – jednym z największych dokonań św. Jana Pawła II.



Lata 50., okolice Ojcowa. Na wycieczki rowerowe Karol Wojtyła wyruszał często ze swoimi studentami

FOT. PAP/REPRODUKJA

Papież, który chciał być lotnikiem

Do drzwi jego pokoju w akademickiej bursie dowcipni koledzy przyczepili wizytówkę: „Karol Wojtyła – początkujący święty”. Byłby jednak zupełnie innym papieżem, gdyby za młodu nie pisał wierszy, nie próbował aktorstwa i nie pracował w kamieniołomach

Na tle rówieśników kilkulatni Lolek wyróżniał się pobożnością, ale wykluczał kościelną karierę. Pod wrażeniem szeroko opisywanego przez prasę wyczynu pilota Charlesa Lindbergha, który jako pierwszy człowiek przeleciał nad Atlantykiem, oświadczył podobno: „Będę lotnikiem!”.

Karol Wojtyła należał do pierwszego – i jak się później okazało jedynego – pokolenia ukształtowanego w odrodzonej Polsce. Urodził się trzy miesiące przed Bitwą Warszawską, wszedł w dorosłość tuż przed katastrofą państwa i początkiem tragedii narodu. Jeden z jego

nauczycieli z rodzinnych Wadowic zginął zamordowany w Katyniu.

ROZCZAROWANIE METROPOLITY

Kardynał Bergoglio, dzisiejszy papież Franciszek, nazwał Wojtyłę „papieżem rodziny”. Tymczasem Karol miał niecałe dziewięć lat, gdy zmarła mu matka, 12 – gdy stracił starszego brata. Siostra żyła tylko 16 godzin. Ojciec, ze względu na wojskową przeszłość zwany „kapitanem”, był dla juniora przykładem. Szefował wadowickiemu oddziałowi Sodalicii Mariańskiej i uczył syna patriotyzmu. Nieprzypadkowo przyszły papież wszystkie

trzy msze prymicyjne odprawił w wawelskiej krypcie św. Leonarda, miejscu pochówku polskich bohaterów.

Karol Wojtyła senior szanował inaczej myślących, potępiał antysemityzm. Lolek poszedł w jego ślady. W szkole kolegował się z Jurkiem Klugerem, synem prezesa gminy żydowskiej, byłego oficera Legionów Piłsudskiego. Jak każdy chłopak chętnie grał w piłkę (najczęściej był bramkarzem), jeździł na nartach. Na lekcję zwykł wpadać w ostatniej chwili, rozczochrany, gdyż jego bujna czupryna nijak nie słuchała grzebienia. Oceny miał jednak tak dobre, że na studia dostał się bez egzaminów.

Aktywny w gimnazjalnym kółku teatralnym, widział się w przyszłości jako aktor. Tym wyborem rozczarował metropolitę krakowskiego Adama Stefana Sapiehę, który w maju 1938 r. przyjechał do Wadowic na wizytację. Bardzo spodobała mu się mowa powitalna, ułożona i wygłoszona przez młodego Wojtyłę. Ubolewał, że chłopak nie zamierza zostać księdzem.

Jesienią Lolek był już studentem polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. W odróżnieniu od większości kolegów uważał na zajęciach i nie pisał złośliwych wierszyków o wykładowcach. Był lubiany i tylko z endekami miał na pieńku, bo nie ulegał szerzącej się wówczas na uczelniach antyżydowskiej propagandzie.

PRACA W KAMIENIOŁOMACH

Wybuch wojny zmienił wszystko. Chcąc utrzymać siebie i schorowanego ojca, Karol musiał pracować fizycznie. Został pomocnikiem strażowego w kamieniołomach wapienia, potem zatrudnił się w oczyszczalni sody. Z codziennych kontaktów z robotnikami wyniósł ważną naukę: każdy człowiek ma godność, praca zaś nie jest karą za grzech pierworodny, lecz ma wymiar duchowy, zbliża do Boga. Tak rodziła się teologia Solidarności.

Pracując w fabryce sody, przyszły papież coraz mocniej czuł kapłańskie powołanie. Często się modlił, co nie wszyscy przyjmowali ze zrozumieniem. Bywało, że rzucali w klęczącego Wojtyłę różnymi przedmiotami. Mieszkał wówczas w ciemnej i wilgotnej suterynie, która jego znajomym kojarzyła się z katakumbami. Biedował, lecz pewnego zimowego dnia oddał kurtkę spotkanemu na ulicy pijanemu starcowi, gdyż bał się, że ten zamrznie. W podobnych okolicznościach stracił sweter i buty.

Czas okupacji to również udział w konspiracyjnych spektaklach Teatru Rapsodycznego. Był to projekt, jak na owe czasy, nowoczesny. Jego animatorzy uważali kostiumy i rekwizyty za sprawę drugorzędną. Liczyło się słowo. I choć Karol ostatecznie zrezygnował z aktorstwa, wstępując do krakowskiego seminarium duchownego, nie porzucił zamiłowania do literatury. Jeszcze jako biskup publikował pod pseudonimem wiersze w prasie katolickiej. Z lat wojny i okupacji pochodzą charakterystyczne dla pontyfikatu Jana Pawła II przekonanie, że kultura jest ważniejsza niż polityka i ekonomia.

KSIAŻDZ W PILOTCE

W listopadzie 1946 r., dwa tygodnie po przyjęciu święceń kapłańskich, Wojtyła wyjechał do Włoch na studia teologiczne. Zabrał na drogę dwie pajdy chleba ze słoniną. Ze Stolicy Apostolskiej wrócił z tytułem doktora. Kościelną karierę zaczął jednak od posady wikarego w wiosce Niegowici pod Wieliczką. Prawdopodobnie zwierzchnicy chcieli poddać Wojtyłę próbie, zanim powierzą mu bardziej odpowiedzialne obowiązki. Szybko przekonał do siebie parafian. „Gdy chodził po kołędzie, to, co brał od bogatych, zostawiał u biednych, a na plebanie wracał z pustymi rękami” – wspominał jeden z nich.

Młody ksiądz chodził w zniszczonych butach i połatanej sutannie. Jego osobisty majątek ograniczał się do sprzętu narciarskiego, który dostał od przyjaciół. Chętnie wyprawiał się w góry. Cenił sobie kontakt z przyrodą, zanim jeszcze ekologia stała się modna. Po przeniesieniu do krakowskiej parafii św. Floriana Wojtyła zajął się duszpasterstwem akademickim, do czego predestynowały go temperament i wykształcenie. Jako ostatni kapłan zdążył ukończyć Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego, zanim zamknięto go pod naciskiem władz.

Został wykładowcą w krakowskim seminarium duchownym, potem na

Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Inni profesorowie nosili czarne kapelusze, on – czapkę pilotkę. Śluby ubóstwa traktował bardzo poważnie. Gdy dostał jakiś prezent, szybko oddawał go komuś bardziej – według niego – potrzebującemu. Jego słabą stroną była punktualność. Studenci z Lublina śmiali się, że ksiądz profesor funkcjonuje według czasu „środkowokrakowskiego”.

IDOL MŁODZIEŻY

Młodzi byli trudnymi, wymagającymi rozmówcami. Przyszły biskup Rzymu doskonalił więc swój, nabyty jeszcze w teatrze, talent krasomówczy i sztukę perswazji. Nazwany przez studentów Wujkiem, towarzyszył im na obozach wędrownych i imprezach. „Potrafił włączyć się w swawolne studenckie śpiewy przy ognisku, łącznie z »Hymnem pesymistów« i jego prowokacyjną strofką: »I laikat nie pomoże, gdy kler niszczy dzieło Boże«” – wspominali.

Niektórych studentów odwiedzał w domach. Sutanę zostawiał w szafie także dlatego, że w kraju budującym komunizm duchowni nie mogli działać z otwartą przyłbicą. W państwowych mediach pokazywano chrześcijaństwo jako przesąd, któremu hołdują starcy, więc skazany na wymarcie. Obowiązywała linia propagandowa: „Naród z partią, partia z młodzieżą”. Aktywność Wojtyły odbierała władzy monopol na kształtowanie powojennych pokoleń Polaków. Z tych doświadczeń w przyszłości zrodziła się idea Światowych Dni Młodzieży.

Wiadomość, że zostanie biskupem, dotarła do Wojtyły latem 1958 r., podczas spływu kajakowego na Mazurach. Do najbliższego miasteczka dojechał autostopem, a stamtąd do Warszawy, gdzie z rąk prymasa Wyszyńskiego odebrał nominację. Zapytany o najbliższe plany, odparł, że wraca nad jeziora dokończyć wakacje. Był to winny swoim przyjaciołom i podopiecznym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zygmunt Iwaniec

Święty klient PZU

Pożółkły dokument wydany przez Dyрекcję Wojewódzką PZU w Krakowie nosi datę 24 marca 1960 r. Jest adresowany do „Obywatela Księdza Biskupa Karola Wojtyły”. Głosi, że „zostało przyznane Obywatelowi odszkodowanie za reperaturę samochodu Warszawa”. Kwota w wysokości 10 391 zł była stosunkowo wysoka, biorąc pod uwagę, że „obywatel Wojtyła” opłacał składki w wysokości 1000 zł. Chociaż sam nie miał prawa jazdy i nie jeździł warszawą, to auto było zarejestrowane na niego. Służyło mu przez prawie 20 lat – odkąd został biskupem do 1977 r. W następnym roku był już papieżem.



Za każdym razem, gdy Ojciec Święty po wyjściu z samolotu całował ziemię, na płycie lotniska czekały na niego tłumy pielgrzymów



Papież przed odlotem do Rzymu, Kraków 1997 r.

Papieski LOT

Częste podróże św. Jana Pawła II były jedną z cech wyróżniających jego pontyfikat. Papież Polak odbył 104 pielgrzymki zagraniczne, odwiedził 129 państw na wszystkich kontynentach i niemal tysiąc różnych miejscowości

Z perspektywy przestworzy z niezwykłą wyrazistością jawi się piękno stworzenia, małość i równocześnie [jego] wielkość – to wszystko, co jest objawieniem nieskończonej mocy i mądrości Stwórcy. Niech to codzienne doświadczenie będzie dla was źródłem umocnienia i odnowienia wiary! Niech wciąż ożywia waszą ufność wobec miłości Boga – mówił Ojciec Święty 13 czerwca 1999 r. podczas historycznego spotkania w hangarze Polskich Linii Lotniczych LOT. Było to niezapomniane spotkanie z Pielgrzymem nadziei i miłości.

Podczas swojego pontyfikatu Jan Paweł II, głosząc naukę Chrystusa, przemierzył łącznie ponad 1,7 mln km (sic!). To tak, jakby nasz papież 30 razy okrążył Ziemię wokół równika lub trzykrotnie pokonał odległość między Ziemią a Księżycem. Nie dokonałby tego jednak nawet w połowie, gdyby podróżował np. samochodem. Na pokład samolotu jeszcze

jako Karol Wojtyła wsiadł po raz pierwszy w czerwcu 1962 r. – wówczas z Warszawy przeleciał do Krakowa. Dzięki samolotom św. Jan Paweł II mógł zapisać się w historii Kościoła oraz lotnictwa m.in. jako papież-pielgrzym, który wiele państw, w tym Polskę ośmiokrotnie.

Jak podróżują papieże? Ponieważ Watykan nie ma własnych linii lotniczych ani własnego papieskiego samolotu, gdy Ojciec Święty wybiera się w dalszą podróż, specjalny samolot czarterują dla niego włoskie linie lotnicze Alitalia. Zgodnie z tradycją powrót biskupa Rzymu do Watykanu odbywa się zaś na pokładzie linii lotniczych odwiedzanego kraju. Z Polski Jan Paweł II wracał więc zazwyczaj na pokładzie samolotów należących do PLL LOT.

MIŁOŚĆ POTĘŻNIEJSZA NIŻ ŚMIERĆ

Każda jego pielgrzymka do Polski budziła entuzjazm, inspirowała do modli-

twy i życiowych rozważań. – Nie lękajcie się, otwórzcie drzwi Chrystusowi – mówił rodakom papież Polak w 1979 r. To podczas tej pielgrzymki, podczas mszy św. na warszawskim pl. Zwycięstwa, padły znane milionom Polaków słowa: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”.

Z pierwszej pielgrzymki do kraju (2–10 czerwca 1979) Jan Paweł II wracał na pokładzie LOT-owskiego Tu-134A SP-LHD, samolotu średniego zasięgu.

Podczas drugiej pielgrzymki do Polski (16–23 czerwca 1983 r.), odbywającej się pod hasłem: „Pokój Tobie, Polsko, Ojczyzno moja!”, Ojciec Święty starał się dać Polakom wiarę i nadzieję. Przekonywał, że zło należy zwyciężać dobrem, a „miłość jest potężniejsza niż śmierć”. Do Rzymu wrócił na pokładzie należącym do LOT-u samolotu Il-62M SP-LBE.

Trzecią pielgrzymkę do ojczyzny Jan Paweł II odbył od 8 do 14 czerwca 1987 r. Papież bronił godności Polaków wobec ówczesnej władzy. Do Watykanu poleciał wówczas specjalnym samolotem Tu-154M SP-LCC.

Podczas lotów specjalnych kabina była zawsze specjalnie przygotowana i podzielona na trzy części. Pierwszą z nich zajmował Jan Paweł II, który miał do dyspozycji cztery fotele i niewielki stoliczek. Papież-pielgrzym zajmował zazwyczaj miejsce przy oknie, nad którym wisiał krzyż. Część drugą zajmowały osoby towarzyszące i członkowie



Papieska porcelanowa zastawa

LOT POLISH AIRLINES

080 4201 167 251 1

JOANNES PAULUS II

CRACOW F 30 LO Speed 10 JUN 1990 OK

ROME VOID

VOID

CHTR

Bilet papieski na trasie Kraków-Rzym

Gwardii Szwajcarskiej, a część trzecią dziennikarze relacjonujący pielgrzymkę.

Wyjątkowe są również podawane na pokładzie posiłki. Na przykład podczas lotu z Krakowa do Rzymu 14 czerwca 1987 r. – po zakończeniu trzeciej pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny – w menu znalazły się m.in. pasztet staropolski, indyk z owocami, cielęcina po krakowsku oraz comber z sarny w maładze. Podniebne posiłki serwowano zaś na specjalnej porcelanowej zastawie.

Do wolnej już Polski Jan Paweł II powrócił z czwartą pielgrzymką (1–9 czerwca, 13–20 sierpnia 1991 r.), zorganizowaną pod hasłem „Bogu dziękujcie, ducha nie gaście”.

22 maja 1995 r. odbył też nieoficjalną, 10-godzinną wizytę w Polsce. Przestrzegając przed zbyt szerokim pojmowaniem tolerancji, która może być w istocie nietolerancją wobec ludzi wierzących, i przypominał: czas próby polskich sumień trwa.

„Chrystus wczoraj, dziś i na wieki” – tak brzmiało hasło szóstej pielgrzymki do Polski. Od 31 maja do 10 czerwca 1997 r. papież apelował m.in. o większe otwarcie Kościoła polskiego na Europę,

podkreślając możliwości wpływu Polski na życie duchowe Starego Kontynentu. Przestrzegając jednocześnie przed postrzeganiem wolności jako swobody absolutnej, która prowadzi do świata bez prawdziwych wartości, w których człowiek staje się niewolnikiem swoich instynktów i pragnień. Z Krakowa do Rzymu Jan Paweł II wracał wówczas na pokładzie LOT-owskiego boeinga 737-400, jednego z najpopularniejszych i najlepiej sprzedających się na świecie wąskokadłubowych samolotów pasażerskich średniego zasięgu, słynącego z cichej i komfortowej kabiny. Samolot dostarczano LOT-owi na początku czerwca 1997 r., tuż przed wizytą Ojca Świętego.

NIE ZAPOMINAJCIE O CZŁOWIEKU

Do Polski Jan Paweł II powrócił w dniach 5–17 czerwca 1999 r. Pielgrzymował pod hasłem: „Bóg jest miłością” i stanowczo poparł plany wejścia Polski do Unii Europejskiej. „Tu, w tym mieście wszystko się zaczęło. I życie się zaczęło, i szkoła się zaczęła, i studia się zaczęły, i teatr się zaczął, i kapłaństwo się zaczęło” – mówił wówczas w Wadowicach, wspominając słynne papieskie kremówki. Podczas tej pielgrzymki spotkał się też

z przedstawicielami społeczności lotniczej. – „70-lecie istnienia Polskich Linii Lotniczych LOT stwarzało [właściwą] okazję ku temu, aby zatrzymać się pośród tych, którzy na różne sposoby służą podróżującym drogą powietrzną. Te odwiedziny były również ponieważ podyktowane chęcią przynajmniej częściowego spłacenia długu wdzięczności wobec LOT-u [a pośrednio] i wszystkich innych linii lotniczych na całym świecie, jaki wciąż zaciągam jako [jako papież pielgrzymujący]. Bardzo wam dziękuję za tę szczególną pomoc w mojej posłudze Kościołowi” – mówił podczas spotkania w hangarze Ojciec Święty.

– „Troszcząc się o rozwój materialny, nie zapominajcie o człowieku. Życzę wam, abyście w duchu wzajemnego zrozumienia i dobrego współdziałania służyli wielkiemu dziełu zbliżania ludzi do siebie”

– apelował do zgromadzonej braci lotniczej Jan Paweł II 13 czerwca 1999 r. W hangarze LOT-u Ojciec Święty odprawił uroczystą mszę świętą, dziękując tym, którzy na czterech

międzynarodowych lotniskach w Polsce stworzyli kaplice, „w których pracownicy i podróżni mogą znaleźć chwilę wytchnienia i modlitwy”.

Do Watykanu odleciał na pokładzie należącego do LOT-u boeinga 737. Ten egzemplarz 737-400 o znakach rejestracyjnych SP-LLG swą karierę w lotnictwie rejsowym zakończył po 27 latach 10 marca 2020 r.

– Polska wita Cię, Polska kocha Cię, Polska dziękuje Ci – śpiewały tysiące wiernych na powitanie Ojca Świętego w Balicach 16 sierpnia 2002 r. Jan Paweł II podczas swojej siódmej pielgrzymki do ojczyzny podkreślał, że nie ma dla człowieka innego źródła nadziei jak miłosierdzie Boga. – „Trzeba, aby wołanie o Boże Miłosierdzie płynęło z głębi serc ludzkich, pełnych cierpienia, niepokoju i zwątpienia, poszukujących niezawodnego źródła nadziei” – mówił. Z Krakowa do Rzymu wrócił na pokładzie LOT-owskiego samolotu boeing 737 SP-LLB.

Wspominając 100. rocznicę urodzin papieża Polaka, warto pamiętać o nauczaniu Jana Pawła II i wdrażać je w życie. I pamiętać o tym, co powtarzał Ojciec Święty: czas ucieka, wieczność czeka.



FOT. AUBRE STOCK

Jutro, którego nie będzie

Gdzieś w okolicach roku 2015 dokonało się w Polsce coś znacznie bardziej brzemiennego w skutki niż zmiana władzy, niż nawet zakwestionowanie całej dotychczasowej, pomagdałenkowej hierarchii szacunku III RP i otwarcie drogi dla postulowanej „wymiany elit”. Otóż przede wszystkim – gdzieś w okolicach tej daty – umarła w Polsce generalna, organizująca całe myślenie i debatę publiczną narracja. Czy zgoła – metanarracja. Super-ober-hiper odpowiedź, udzielana na wszelkie pojawiające się w pierwszym ćwierćwieczu niepodległości pytania przez wszelkie autorytety i siły polityczne od lewa do prawa. Na tyle łatwa do intuicyjnego uchwycenia, że rozgrzeszająca Polaków z braku wizji, przemyśleń, określania celów i wszelkich strategii.

Ta uniwersalna odpowiedź i nad-wytuczna wszelkich działań była szalenie prosta i można ją streścić w kilku słowach: „Ma być tak jak na Zachodzie”. Spory dotyczyły tylko tego, które konkretnie aspekty „zachodniości” należy implementować na początku, a do których



Rafał A. Ziembkiewicz

Nie bądźmy ostatnimi, którzy zrozumieją, że świat się zmienia. Zmienił się zresztą już wcześniej – pandemia tylko to ujawniła. W każdym razie czas przyjąć do wiadomości, że na pewno nie będzie już, „jak było” ani „jak miało być”

„jeszcze nie dorośliśmy” – rzadziej tego, co jest w Zachodzie jego istotą, a co tylko powierzchowną modą. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Zachód to uniwersalny wzór; raj, do którego wystarczy się dostać, a tam już wszystko wiedzą, wszystko dawno temu wymyślili i na wszystko mają recepty.

A przede wszystkim – tam się żyje na bogato i beztrudnie, więc za wierne implementowanie przysyłanych dyrektyw nagrodą będzie wytęskniona w czasach PRL-owskiego biedowania konsumpcja.

Metanarracja ta zabiła jakiegokolwiek strategiczne myślenie, snucie wizji, wszelkie debaty. Naszym celem stało się

wejście do struktur zachodnich. A gdy już do nich weszliśmy – pozostanie w strukturach. Dostosowanie się do nich i jak najszerze otwarcie na wzorce państw struktury te tworzących.

Włączenie Polski do Unii Europejskiej dało jednak skutek nieprzewidziany przez lewicowo-liberalny salon, który obdarzył ten projekt bezwarunkowym zachwytem i praktycznie nigdy – do momentu wydania tej książki w każdym razie – nie przyjął do wiadomości, że szerokie masy mogą nie być nim równie zachwycone jak on sam. W szybkim czasie każda polska rodzina, nawet z najmniejszego miasteczka, miała już kogoś w Anglii, Irlandii

czy Niemczech – i, w przeciwieństwie do dawnych czasów, nie był to ktoś, kto pozostając „tam”, tracił kontakt z rodziną i mógł jej tylko przysyłać paczki. Dzięki telefonom, internetowym komunikatorom, tanim liniom lotniczym „wyjechany” pozostawał w stałym kontakcie z rodziną i ze znajomymi. I opowiadał im, dajmy na to, że na jego londyńskim przedmieściu pojawił się „islamski patrol” i kobieta chodząca z odkrytą głową albo mężczyzna z piwem w ręku narażają się na ciężkie pobicie. Że kucharka, która przez omyłkę nałożyła muzułmańskiemu dziecku w szkole niewłaściwy posiłek, mimo iż nie podała mu tego nie-halal talerza, tylko natychmiast odłożyła na bok i nałożyła nowy, została za tę śmiertelną obrazę religii muzułmańskiej z punktu wyrzucona z pracy. Że zatrzymanie dziecka w domu w dniu, kiedy przedszkole odwiedzać mają zбочeni edukatorzy transwestyci, poskutkowało natychmiastową wizytą tajniaków i groźbą pozbawienia praw rodzicielskich...

„Ma być jak na Zachodzie” – co to teraz znaczy? Że polskie miasta mają płonąć jak francuskie, że Polki mają być gwałcone jak Szwedki, że mamy jak Niemcy bać się każdego wyjścia na ulicę, opanowaną przez kolorowe gangi z nożami i maczetami, że polski dziennikarz, który odważy się napisać szczerze to, co myśli bardzo wielu, ma być zaszczuwany i represjonowany jak Éric Zemmour? Że pielęgniarka, która na prośbę pacjenta obieca się za niego pomodlić, albo urzędniczka, która stwierdzi na Twitterze, że nie można być mężczyzną i kobietą jednocześnie, będą relegowane z pracy i skazywane, jak dzieje się to w kompletnie już oszalałej Wielkiej Brytanii?

Aż 70 proc. ankietowanych Niemców przyznaje, że boi się publicznie wyrażać swój pogląd o tym, co dzieje się w państwie. Pracownicy naukowci protestują – słabo – przeciwko atmosferze zastraszenia i cenzurze ogarniającej uczelnie. Partia polityczna, która uzyskuje w wolnych, demokratycznych wyborach poparcie 15 proc. elektoratu, nie może działać, gdyż jest nie tylko odsunięta od jakichkolwiek stanowisk i funkcji w parlamencie, opluwana przez wszystkie media, poddana ścisłemu nadzorowi państwowego establishmentu, lecz także, po raz pierwszy od lat 30., jej członkowie i sympatycy są regularnie atakowani i bici, wiece – rozbijane przemocą, a hotelarze czy restauratorzy, którzy zgodzą się udzielić jej sali, są zastra-

Włączenie Polski do UE dało skutek nieprzewidywany przez lewicowo-liberalny salon, który obdarzył ten projekt bezwarunkowym zachwytem

szani i prześladowani przez bojówkarzy działających z cichym przyzwoleniem władzy i policji. Tak ma być i u nas? W południowych krajach Unii Europejskiej do 40 proc. ludzi przed trzydziestką nie ma pracy ani zdolności wzięcia kredytu, kupienia mieszkania – tak ma być i u nas?

Powiedzmy. A co dostaniemy w zamian? Dobrą ciocię, druha, uniwersalnego opiekuna, który w razie czego zajmie się nami, pomoże, nie da zginąć. Tak wierzone.

Za wcześniej jeszcze, by podsumowywać skutki szoku, którym był triumfalny marsz przez świat chińskiego koronawirusa w pierwszej połowie roku 2020, ale co do jednego nikt nie miał od samego początku wątpliwości: Unia Europejska okazała się w tym momencie zupełnie bezużyteczna. Struktura, hojnie udzielająca w czasach dostatku dobrych rad, jak uporać się z problemami wydumany przez jej cokolwiek oderwane od prawdziwego życia elity, w chwili, gdy pojawił się problem prawdziwy, po prostu jakby zniknęła. Niemcy, Włosi, Grecy, każdy został ze swoimi problemami sam, każdy usiłował je rozwiązać narzędziami państwa narodowego, w obrębie państwa narodowego i z narodowym egoizmem, wyrывая pozostającym maseczki ochronne, respiratory i inne nagle idące w cenę dobra. Wielkiej części naszych politycznych i opiniotwórczych elit nie wystarczyła lekcja „europejskiej solidarności”, jaką były dwa kolejne Nord Streamy, które mogli Niemcy puścić stosunkowo tanio przez należące wszak do tej samej Unii kraje bałtyckie i Polskę, a woleli przepłacić cztero-, może nawet pięciokrotnie, by uzyskać narzędzie do energetycznego szantażu naszych krajów. Ale tego, co ujawnił koronawirus, ignorować się nie da.

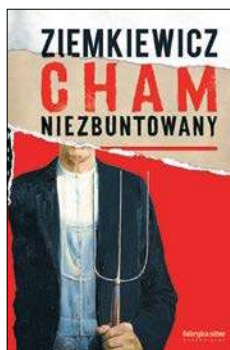
Mityczny Zachód czy Europa pozostają wciąż, owszem, miejscem, gdzie jest więcej pieniędzy, gdzie łatwiej się ustawić i jeśli unika się niebezpiecznych dzielnic

i aktywności, łatwiej żyć. Ale nie jest już mitem, który imponuje. Nie jest już ową uniwersalną odpowiedzią i nadwytyczną. Kropla po kropli, wyjazd po wyjeździe, rozmowa po rozmowie zbierało się – aż czar prysł. A czar, kiedy raz prysnie, to już nie wraca.

Tak zwana klasa polityczna jeszcze tego nie zauważyła. Politycy i media obozu lewicowo-liberalnego wciąż tkwią głęboko w przekonaniu, że wystarczy Polaków postraszyć wyprowadzeniem z Europy czy choćby tylko obcięciem funduszy, a ci wygnają precz PiS-owców i z płaczem rzucą się na kolana błagać pookrągłostołowe nomenklatury, by raczyły wrócić i osłonić nas przed prokowanym gniewem unijnych komisji i trybunałów. Gdy to przekonanie zawiodło i straszenie wyrzuceniem nas z Unii nie zmieniło wyborczych preferencji, lewicowo-liberalna opozycja posunęła się na wybranej przed laty drodze dalej, przekraczając granicę, za którą niezgoda na kierunek rozwoju Polski zmieniła się w zdradę własnego państwa i narodu.

Myślę o uczynieniu przez opozycję osi jej politycznej idei i strategii uchwały trzech izb Sądu Najwyższego, wybranych arbitralnie przez prezes Małgorzatę Gersdorf, której sensem było uznanie orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej – we wszystkich dziedzinach, nie tylko tych wskazanych w podpisanych traktatach – za nadrzędne względem polskiej konstytucji i ustaw. Postulatem wyznawców starego porządku stało się de facto poddanie Polski kolonizacji. Ucywilizowanie „polskiego ciemnogrodu”, skoro ośmielił się zbuntować wobec miejscowej elity, poprzez objęcie protektorem.

Dodajmy, że z tym lizusowskim wiernopoddąństwem wobec eurokracji wyrwała się nasza „elita” akurat w momencie, gdy w kolejnych państwach europejskich coraz bardziej nasila się świadomość, że kosztująca europejskich podatników niewiarygodne sumy bizantyjska biurokracja i wypychające się w różne dziedziny życia, w które wypychać się żaden traktat prawa im nie daje, unijne komisje, rady i trybunały w chwilach kryzysu okazują się zupełnie bezradne i niepotrzebne. Wtedy, czy to mowa o migrantach, czy o załamaniu giełd, czy epidemii, i tak każde państwo musi sobie radzić na własną rękę.





FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

MACIEJ PIECZYŃSKI: Według pana prawdziwą prawicą pod zaborami i w II RP były środowiska ugodowe, dążące do kompromisu. Czy zatem, układając te rozważania na czasy nam współczesne, najprawdziwszym prawicowcem jest dziś w Polsce lider partii Porozumienie?

PIOTR TRUDNOWSKI: Ugodowość prawicy przed I wojną światową dotyczyła prób budowania form narodowej polityczności we współpracy z zaborcami. Dążenie do budowy kompromisu elit politycznych w niepodległym państwie nie ma z tym nic wspólnego. Nie widzę tu przestrzeni do porównań. Przechodząc zaś do Jarosława Gowina, to nie jestem jego obiektywnym recenzentem. W latach 2013–2014 byłem jego współpracownikiem. Choć od czasu mojego zaangażowania mija sześć lat, to z pewnością w wielu sprawach wciąż mam podobne poglądy i oceny do byłego wicepremiera. Kiedy miesiąc temu Gowin podawał się do dymisji, apelowałem, by powstrzymać się z oceną jego działań do pierwszych dni maja. Że jeżeli spełni złożone obietnice, to będą mu się należeć wyrazy największego szacunku. Udało się – wybory nie odbędą



Z Piotrem Trudnowskim, prezesem Klubu Jagiellońskiego rozmawia Maciej Pieczyński

Morawiecki – nowoczesny konserwatysta?

się w maju, a rząd nie upadł. Ja uważam, że wybory w maju skończyłyby się polityczną i ustrojową katastrofą, podobnie zresztą jak upadek rządu w środku pandemii. Gowin wraz z premier Emilewicz nas przed tym uratowali. Nie wiadomo, co będzie dalej. Na dziś udało się uniknąć eskalacji konfliktu.

Mam nadzieję, że będziemy mieć wybory, które będą się cieszyć większą legitymizacją społeczną niż te zaplanowane uprzednio na 10 maja. Wielu pyta złośliwie, dlaczego dopiero teraz Gowin odważył się sprzeciwić prezesowi Kaczyńskiemu, dlaczego wcześniej nie protestował z taką mocą przeciwko tzw. reformie sądownictwa. Sądzę, że w poprzedniej kadencji jego sprzeciw miałby wymiar czysto symboliczny. Tymczasem polityka to sztuka wybierania najlepszego między realnymi scenariuszami, a nie pomiędzy idealistycznymi wizjami, które sobie wymarzyliśmy, a które w prawdziwym świecie nie istnieją. Dzisiaj Gowin okazuje się pierwszym od 15 lat politykiem prawicy, który wszedł w polemikę z Jarosławem Kaczyńskim i doprowadził do rozwoju sytuacji nie tylko po swojej myśli, lecz także w zgodzie z dobrem wspólnym, interesem publicznym. Pokazał, że od czasu do czasu wierność ideałom ważnym dla państwowca może przynieść efekt.

Jak w tym świetle wygląda ekipa rządowa? Chwalił pan Morawieckiego, Emilewicz i Szumowskiego za to, że udało im się zbudować minimum zaufania do własnych poczynań ze strony opozycji i szerokie oparcie opinii publicznej.

Zdecydowanie pozytywnie oceniam działania rządu podjęte w pierwszym etapie walki z pandemią. Dzisiaj pojawia się wiele głosów mówiących, że być może przeszarżowaliśmy z ograniczeniami. Fakty są jednak takie, że uniknęliśmy katastrofy zdrowotnej i zapaści systemu ochrony zdrowia właśnie dzięki szybkim i odważnym decyzjom premiera i ministra zdrowia. Do tego dochodzi sposób uprawiania polityki w pierwszych tygodniach kryzysu. Reaktywacja Rady Bezpieczeństwa Narodowego, konsultacje projektów z opozycją, odpowiadanie na pytania dziennikarzy na konferencjach prasowych – gorąco kibicowałem tej pandemicznej „nowej normalności” politycznej. Pozwalała choć na chwilę wobec bezprecedensowego kryzysu zapomnieć o okopach polsko-polskiej wojny.

Mateusz Morawiecki miał być „prawicowym Tuskiem” – teflonowym, nowoczesnym, popular-

nym. Jako bankier, człowiek biznesu, był totalnym przeciwieństwem stereotypu konserwatysty. Czy Morawiecki to rzeczywiście przekonujące uosobienie nowoczesnej polskiej prawicy?

Z odpowiedzią na to pytanie mam dwa problemy. Po pierwsze, gdy przez ostatnie tygodnie opinię publiczną rozpalala dyskusja o wyborach, Morawiecki konsekwentnie milczał...

Może jako twardo stąpający po ziemi konserwatysta wolał zajmować się walką z pandemią niż polityczną nawalanką?

Wedle medialnych doniesień podczas wewnątrzkoalicyjnego kryzysu, w ramach którego próbowano już po „pakcie Jarosławów” wrócić do scenariusza wyborów w maju, Morawiecki miał się temu przeciwstawić. Jeśli tak było, to byłaby to dobra wiadomość – ale nie wiemy, jak było naprawdę. Drugi mój problem z premierem Morawieckim jest taki, że odłączył szefem rządu, robił wiele, aby pokazać twardemu elektoratowi, że jest przede wszystkim prawdziwym „pisowcem”. Tak usilnie odcinał się od wizerunku liberała i bankiera, że obawiam się, iż po prostu wielu mógł wydawać się mało wiarygodny. Nie leżą mu te buty. Sądję, że błędzi, próbując udawać klon Marka Suskiego. Wielu wyborców PiS zaakceptowałoby go jako lidera podmiotowego, nowoczesnego konserwatystę.

Na czym w jego wykonaniu ten nowoczesny konserwatyzm polega?

Myszę, że w jego przypadku to przede wszystkim brak kompleksów wobec Zachodu, Unii czy globalnego kapitału. Dzięki brakowi kompleksów – a więc z jednej strony poczucia niższości, a z drugiej strony bez potrzeby demonizowania – Morawiecki umie się odnaleźć w różnych światach, choć przecież wie doskonale, że niekonieczne są zdominowane przez bliskie mu tradycyjne i patriotyczne wartości.

Przeciwieństwem „nowoczesnego konserwatyzmu” jest stereotypowo rozumiany tradycyjny konserwatyzm, personifikowany przez Jarosława Kaczyńskiego. Jak już pan wspominał, prezes PiS musiał po raz pierwszy komuś ustąpić. Czy to oznacza, że teraz do głosu coraz częściej będą dochodzić „nowocześni konserwatyści”, bardziej skłonni do porozumienia, bardziej pragmatyczni i lepiej rozumiejący współczesną rzeczywistość?

Jeszcze zanim wybuchła awantura o wybory, dało się zaobserwować wyraźne pęknięcie w obozie władzy. Podział zarysował się na ekipę rządową i ekipę

parlamentarną. Ci pierwsi znaleźli się siłą rzeczy na pierwszej linii frontu walki z koronawirusem. Ministrowie Morawieckiego udowodnili, że potrafią w odpowiednim momencie podjąć daleko idące, radykalne decyzje. Pokazali, że myślami wybiegają naprzód, potrafią przewidywać rozwój sytuacji. Pracowali w pocie czoła i niehumanitarnym tempie. Ogłaszali kolejne projekty. Rzeczowo informowali opinię publiczną o kolejnych, czasem niepopularnych, decyzjach. W tym samym czasie parlamentarzyści Zjednoczonej Prawicy bawili się w złośliwe zaczepki pod adresem polityków opozycji. Ludzie Morawieckiego nie mieli czasu na takie partyjne połajanki, wyłączyli się z bieżącej walki politycznej. Wyczuli, że nadciąga katastrofa, a ich dziejową misją jest uratować Polskę przed najczarniejszymi scenariuszami.

Gdzie w tym wszystkim był prezes PiS? „Kaczyński niszczy wysiłki Szumowskiego i Morawieckiego, a przy okazji podpala państwo” – stwierdził pan w jednym z komentarzy na portalu Klubu Jagiellońskiego, odnosząc się do zmian prawa wyborczego, jeszcze zanim Gowin wymusił kompromis. Bardzo ostre słowa. Zabrzmielo tak, jakby prezes PiS nie był przywódcą obozu prawicy, tylko rewolucjonistą, Piłsudskim, który nie wysiadł z „czerwonego tramwaju”.

Pisałem te słowa w chwili, gdy – ku zaskoczeniu nas wszystkich – po kilku tygodniach wspomnianej politycznej „nowej normalności” w wykonaniu rządu i prezydenta szef PiS rzucił granat w postaci nocnej zmiany Kodeksu wyborczego. Zresztą, na marginesie, od tego momentu też większość tak chwalonych przeze mnie działań rządu zaczęła coraz bardziej kuleć. Tamta „nocna wrzutka” to było prośenie się o wybuch kryzysu. Mnie nie chodzi o skandowanie „KON-STYTUCJA”, ale o konsekwencje potencjalnego braku legitymizacji prezydenta wybranego w takiej atmosferze. Uważałem i uważam, że gdyby w takich warunkach doszło do wyborów w maju, to wcześniej czy później obudzilibyśmy się w koszmarze każdego konserwatysty. Emocje społeczne wynikające z przymusowej izolacji i kryzysu gospodarczego i tak prędzej czy później wybuchną i wyleją się na ulicę. Tyle że zupełnie inaczej zachowuje się tłum, gdy mówi o swojej obiektywnej krzywdzie i oczekuje wsparcia od rządzących, a zupełnie inaczej, kiedy do tych maszerujących w proteście zbiorników z benzyną dorzucimy zapalną w postaci politycznej

agitacji: „Nie dość, że ta władza zabrała wam miejsca pracy, nie dość, że nie uchroniła was przed pandemią i kryzysem gospodarczym, to jeszcze doprowadziła do nieuczciwego wyboru prezydenta! To nie tylko nieudacznicy, lecz także uzurpatorzy!”

Jednak cokolwiek by PiS zrobił, opozycja i tak by podważała wybór Andrzeja Dudy na prezydenta. Co za różnica?

Różnica polega na odbiorze społecznym. Dotąd nikt na poważnie nie negował demokratycznego mandatu PiS. Poparcie dla partii Kaczyńskiego opiera się na dwóch fundamentach. Po pierwsze, przywracanie godności tym, którzy w III RP byli tej godności pozbawieni. Po drugie, wiarygodność w spełnianiu obietnic wyborczych. Przepychanie na siłę wyborów w dobie pandemii, gdy ponad podziałami politycznymi powszechnie jest odczucie, że wybory w tej sytuacji nie powinny się odbywać, tylko po to, by osiągnąć konkretny cel polityczny – to nie ma nic wspólnego ani z wiarygodnością, ani z dystrybucją godności.

Jeśli Kaczyński, pańskim zdaniem, próbował „podpalić państwo”, to znaczy, że odmawia mu pan prawicowości?

Nie czuję się zrećcznie w roli strażnika czy arbitra prawicowych cnót, bo nie mam ku temu żadnego tytułu. Niemniej nie jest przypadkiem, że jednym z najbardziej poczytnych artykułów opublikowanych przez Klub Jagielloński w ostatnich latach był ten pod wiele mówiącym tytułem „Ostatni rewolucjonista III RP” poświęcony właśnie Kaczyńskiemu. O ile prezes PiS jest w stanie doprowadzić do końca III RP, o tyle trudno uwierzyć, by naprawdę zbudował IV RP. Nas i pokoleniowo, i ideowo wizja sprawniejszego i uczciwszego państwa pociąga dużo bardziej niż chole tańce na truchle Polski Kiszczaka i Michnika.

Jednak może doprowadzić do powstania tej IV RP. Jak „lodołamacz” zburzy postpeerelowską Polskę, by na jej gruzach nową rzeczywistość zbudowali „nowocześni konserwatyści” z Morawieckim i Gowinem na czele... Realna wizja?

Atrakcyjna, ale mało prawdopodobna nie tylko dlatego, że trudno się buduje na gruzach. Historia pokazuje, że umiarkowana prawica raczej nie wzbudzała emocji wyborców. Niestety, jakkolwiek brzmi to przygnębiająco w ustach

prezesa Klubu Jagiellońskiego, w Polsce nie ma miejsca na wiodącą inteligencką partię prawicową. Według słynnej anegdoty Ludwik Dorn jeszcze za czasów Porozumienia Centrum przygotował dla Kaczyńskiego analizę elektoratu, z której wynikało, że potencjalni wyborcy ich ówczesnej partii – chadeckiej, proatlantyckiej, przedsiębiorczej, inteligentnej – to zbiór pusty. Do tego dochodzi dziś globalna tendencja ważniejsza niż powszechne nad Wisłą diagnozy o polaryzacji. Przenoszenie naszego życia do Internetu, gdzie liczą się klikajty i bańki społecznościowe, prowadzi do radykalizacji postaw. Umiarkowanie nie jest w cenie. W latach 90. przeciętny polityk demokratów czy republikanów nie uwierzyłby, że poważnym kandydatem jego formacji na prezydenta może być ktoś taki jak Bernie Sanders czy Donald Trump...

Biorąc to wszystko pod uwagę, ile jest prawicy w Zjednoczonej Prawicy?

Przygotowując się do rozmowy z panem, wynotowałem sobie siedem wyznaczników prawicowości. Po pierwsze – gospodarka. Trudno nazwać PiS partią wolnorynkową. Z drugiej strony wbrew stereotypom w ostatnich latach nie podjęto żadnych radykalnych działań w kierunku np. progresji podatkowej. Można wskazać nawet pewne sukcesy na odcinku biurokratycznym: choćby Konstytucję Biznesu, pakiety ułatwień dla przedsiębiorców czy konsolidacja instytucji publicznych. Nawet świadczenie „500+”, choć budzi sprzeciw wolnorynkowców, zostało wprowadzone tak, by dało się go bronić z pozycji konserwatywnych – jako świadczenie oparte na chadeckiej idei pomocniczości, skierowane bezpośrednio i powszechnie do rodzin, a nie zwiększające państwową kontrolę i interwencjonizm.

Po drugie, sprawy światopoglądowe. PiS wykorzysta każdą okazję, by demonizować zagrożenia wynikające z postulatów lewicy. PiS jednak więcej mówi, niż robi. Czasem mam wrażenie, że głosi potrzebę walki o wartości nie po to, by kształtować ład prawny i społeczny, ale po to, by utrzymać stałe wzmocnienie swojego elektoratu. To paradoksalnie mało konserwatywna postawa, bo nie prowadzi dokładnie do odwrotnych skutków.

Trzeci wyznacznik to stosunek do państwa i instytucji. Zjednoczona Prawica podjęła wiele propaństwowych inicjatyw,

takich jak Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju czy uszczelnienie systemu podatkowego. Stworzyła kilka obiecujących instytucji. Jednocześnie można wskazać wiele działań niszczących zaufanie do instytucji i autorytet państwa. Mało kto też dziś pamięta, że odsądzany przez PiS od czci i wiary Trybunał Konstytucyjny w poprzednim modelu miał dość konserwatywną linię orzeczniczą. Zoll, Safjan czy Rzepliński podejmowali decyzje, które nie mogły się podobać środowiskom lewicowo-liberalnym. A jednak dla PiS ważniejszy był spór o to, „czyje elity”, a nie o to, „jakie wartości”.

Czwarte kryterium prawicowości to wizja społeczeństwa. PiS ze zrozumiałych wyborczo i historycznie względów jest partią antyelitarną, co jest przeciwieństwem naturalnej konserwatywnej intuicji. Bez sprzężenia interesu elit z interesem państwa, bez ich symbiozy nie da się zbudować silnego i podmiotowego państwa. Reforma wymiaru sprawiedliwości wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby zamiast przeciągać na swoją stronę pojedynczych oportunistów skonfliktowanych ze swoim środowiskiem, PiS spróbował przekonać część sfrustrowanej elity sędziowskiej. Nie trzeba było iść na czołowe zderzenie.

Piąte kryterium to kwestia sposobu osiągania politycznych celów. PiS chętniej stosuje metody rewolucyjne niż ewolucyjne. Tutaj partii Kaczyńskiego zdecydowanie bliżej do jakobińskiej lewicy niż do konserwatywnej prawicy. Do tego należy dodać dwa kryteria specyficzne dla polskich realiów. W naszych warunkach geopolitycznych prawicowość od zawsze właściwie, z niewielkimi niechlebnymi wyjątkami, łączyła się z orientacją prozachodnią. Dzisiaj – z kierunkiem proamerykańskim, proeuropejskim i antyrosyjskim. Ten warunek w swojej praktyce politycznej PiS wciąż spełnia, choć obawiam się, że przez retorykę „wstawania z kolan” wśród wielu wyborców prawicy przestaje to być dziś niestety naturalna orientacja. Wreszcie, kwestia stosunku do historii. PiS jest partią antykomunistyczną. Nie możemy jednak zapominać, że i tutaj przejawia się postawa wybiórcza – bo przecież i PiS ma swoich „postkomunistów”. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Trudnowski – prezes Klubu Jagiellońskiego, ekspert ds. społeczeństwa obywatelskiego.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Wojna polsko-ukraińsko-bolszewicka

W tym roku będziemy obchodzić 100. rocznicę Bitwy Warszawskiej.

Armia nasza odniosła zwycięstwo na przedpolach stolicy i uratowała Polskę (a być może również kawał Europy) przed bolszewickim piekłem.

Z tej okazji warto przypomnieć, że w wojnie tej nie biliśmy się samotnie. Nie, nie chodzi o garść francuskich oficerów płaczących się po sztabach polskich armii i oddających się uciechom w warszawskich lupanarach. Chodzi o naszych wiernych wschodnich sojuszników, przedstawicieli narodów zagrożonych przez bolszewizm. U boku Wojska Polskiego w 1920 r. dzielnie bili się: Ukraińcy, Kozacy, Rosjanie, Białorusini, żołnierze wielonarodowych antybolszewickich oddziałów gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza.

Nasi wschodni sojusznicy z 1920 r.

zasługują na piękny pomnik w Warszawie. Tymczasem IPN zrobił świetną robotę i wydał piękną książkę „Razem z Wojskiem Polskim” Andrija Rukkas. To opowieść o armii Ukraińskiej Republiki Ludowej atamana Semena Petlury.

Ukraińcy walczyli razem

z Polakami zarówno w natarciu – podczas ofensywy na Kijów, jak i w odwrocie. Szczególnie dzielnie stawiali pod Zamościem. Niestety, ponieśli klęskę. Polacy, nad ich głowami, dogadali się z bolszewikami i zawarli rozejm. Ukraińscy sojusznicy zostali na lodzie. Ten gorzki koniec nie przekreślił jednak wspólnych walk i przelanej krwi.

„Armia URL – pisze Rukkas – była aktywnym uczestnikiem wojny. Kampanię 1920 r. należy zatem traktować jako wojnę polsko-ukraińsko-sowiecką. Warto odejść od ustalonej tradycji i zrezygnować z przestarzałego pojęcia „wojna polsko-sowiecka”, które niezasłużenie stawia armię ukraińską poza kontekstem działań wojennych.

Odrodzenie w 1920 r.

armii ukraińskiej jest wielkim państwowotwórczym osiągnięciem naszych przodków, sławnych bojowników o wolność Ukrainy! Godnym dziedzicem i kontynuatorem tradycji bojowych Armii URL powinny zostać współczesne siły zbrojne niepodległej Ukrainy, których żołnierze powinni wychowywać się na dokonaniach bohaterów 1920 r.”. Amen. ©©



★★★★★

ANDRIJ RUKKAS
„RAZEM Z WOJSKIEM POLSKIM. ARMIA UKRAIŃSKIEJ REPUBLIKI LUDOWEJ W 1920 ROKU”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pożar na Wawelu

Nie jest prawdą, że renesans pojawił się w Polsce wraz z królową Boną. Rzeczywiście przywiozła ona do Polski nowatorskie poglądy polityczne i nowe obyczaje kulinarne, ale architektura odrodzenia zagościła nad Wisłą kilkanaście lat wcześniej. Wznoszenie renesansowej rezydencji na Wawelu rozpoczęto bowiem

stroje i kosztowności. Zwabiło to licznych złodziei, którzy pod pozorem ratowania królewskiego dobytku rabowali, co się dało. Straty dworu oceniano na 15 tys. florenów, co można w dużym przybliżeniu przeliczyć na ok. 4 mln euro. A do tego dochodziły jeszcze poważne zniszczenia części mieszkalnej zamku.

W tej sytuacji Zygmunt III Waza na czas odbudowy przeniósł się wraz z dworem do Warszawy. Z czasem miasto to stało się królewską siedzibą, o czym zadecydowała bliższa odległość od Wilna, gdzie król często przebywał. Z Warszawy było też bliżej do północno-wschodnich granic kraju, które wówczas były najbardziej zagrożone, a także do Szwecji, której tronu władca nigdy się nie wyrzekł. Do tego nie żyła już Anna Jagiellonka, dotychczas rezydująca na warszawskim zamku.

Nie oznaczało to, że decyzję podjęto z dnia na dzień, dwór jeszcze przez jakiś czas krążył między Warszawą, Wilnem a Krakowem. Ostatecznie opuszczono Wawel 24 maja 1609 r., chociaż nikt wówczas nie przestał uważać Krakowa za stolicę Polski. Warszawa miała być tylko rezydencją monarchy i miejscem zwoływania parlamentu (choć nie zawsze). Z czasem jednak sytuacja się zmieniła i Stanisław August Poniatowski zadecydował, że nawet jego koronacja odbędzie się w Warszawie. Ze względów geograficzno-politycznych przenosiny stolicy były raczej nieuniknione, chociaż cały proces przyspieszył fatalny pożar w 1595 r. ©©

Wawel opuszczono w 1609 r., choć nikt wówczas nie uważał Warszawy za stolicę

w 1502 r., chociaż ukończono już za czasów Bony (1536 r.). W tym samym roku pożar poważnie uszkodził skrzydła południowe i wschodnie, a odbudowa trwała aż 12 lat.

Pożary były jednymi z najgorszych kataklizmów w dawnych wiekach. Wystarczyły przewrócona świeca, iskra z kominka czy uderzenie pioruna, by dorobek pokoleń stanął w płomieniach. Kolejny pożar Wawelu był przyczyną decyzji o przeniesieniu siedziby królewskiej do Warszawy. Wielki ogień pojawił się pod koniec stycznia 1595 r., a sytuację pogorszyło, że pożar miał miejsce w niedzielę, gdy znaczna część służby przebywała na weselu jednego z wódników królewskich. Silny mróz spowodował też, że zamarzły zamkowe ujęcia wody. Wybuchła panika, dwór pakował cenniejsze rzeczy w skrzynie, które spuszczano przez okna, a na koniec luzem wyrzucano

Moskwa: politicum mysticum



Piotr Zychowicz

Wielkie Księstwo Moskiewskie w XV w. sięgnęło po schedę po imperium bizantyjskim. W ten sposób zrodziła się trwająca do dziś idea Trzeciego Rzymu

68

Oto Rosja, kochająca i nienawidząca. Jej marsz przez dzieje przypomina ruchy wahadła. Raz skłaniała się ku Wschodowi, innym razem ku Zachodowi. Była jakby zawieszona między dwoma cywilizacjami: tradycyjną (staroruską) i liberalną (zachodnioeuropejską).

Dwa modele kulturowe determinowały istotę sporu ideowego, który przez całe wieki wpływał na myśl i działalność polityczną. Wszystko, cokolwiek działo

się w »rosyjskim kotle«, przebiegało burzliwie albo powoli. Krwawo, z zawziętością, nieustępliwie; albo pokojowo, dobrodusznie”.

Doprawdy, nikt nie pisze o Rosji tak ciekawie, a jednocześnie z takim znawstwem i smakiem jak prof. Andrzej Andrusiewicz. Bez rusofobii, ale i bez rusofilii. Po prostu ciekawie. Wydawnictwo Literackie wydało niedawno (i to jak wydało!) kolejny tom serii książek profesora, w których przybliży polskie-

Plac Czerwony w Moskwie w XVII w.
na obrazie Apolinarego Wasniecowa
FOT. DOMENA PUBLICNA



Mistycyzmem i czarem Wschodu. Złotem cerkiewnych kopuł, dymem kadzideł, pieśnią, która porusza w człowieku jakąś nieokreśloną, a czułą strunę.

Rosja bowiem to nie tylko projekt polityczny, to również projekt duchowy. Tytułowy „Trzeci Rzym”, któremu swoją nową książkę poświęcił prof. Andrzej Andrusiewicz. Chodzi o wielką mesjanistyczną ideę, która zrodziła się sześć wieków temu – w blaskach średniowiecza. I trwa do dzisiaj.

SCHEDA PO IMPERIUM

Idea Trzeciego Rzymu była ściśle związana ze wzrostem potęgi politycznej państwa moskiewskiego i jego ekspansji terytorialnej.

Pierwszy Rzym to – rzecz jasna – Watykan, centrum wiary katolickiej i świata łacińsko-zachodniego.

Drugi Rzym to Konstantynopol, stolica Cesarstwa Bizantyjskiego, a zarazem chrześcijaństwa obrządku wschodniego.

Problem w tym, że ten drugi Rzym w 1453 r. przestał istnieć. A może raczej – przeobraził się. Mury Konstantynopola runęły pod ciosami oręża osmańskiego, a wraz z nimi upadło Cesarstwo Bizantyjskie. Na kopule patriarchalnego soboru Mądrości Bożej – w którym koronowano kolejnych bizantyjskich władców – krzyż został zamieniony przez znak półksiężyca.

Drugi Rzym przestał być światem chrześcijaństwa wschodniego, a stał się centrum świata islamu.

„Upadek Konstantynopola – pisze prof. Andrusiewicz – był szokiem dla całego świata chrześcijańskiego, ale dla Moskwy szansą dziejową. Kościół Konstantynopola był matką wszystkich chrześcijan wschodnich i ten najświętszy tron wpadł teraz w ręce pogan. Patriarchat konstantynopolitański nie tylko stracił swą dominującą pozycję, lecz także praktycznie przestał istnieć.

Kto przejmie wielkie dziedzictwo Bizancjum? – takie pytanie stawiał ówczesny świat. Cztery patriarchaty (Konstantynopol, Aleksandria, Jerozlima, Antiochia) zostały zajęte przez wojska tureckie. Pozostała Ruś. I tylko tam »na skrzydłach aniołów« można było przenieść Drugi Rzym. Od tego momentu niekwestionowane przywództwo Kościoła wschodniego przejęła Moskwa. Dla prawosławnych jęczących w niewoli niewiernych wydawała się ostatnią pociechą i nadzieją”.

Od tego momentu Wielkie Księstwo Moskiewskie było już nie tylko zwykłym państwem – jakich w Europie Wschodniej było wiele – lecz także nową strukturą: politicum mysticum. Władza cara oparta była nie tylko na jego zbrojnych hufcach i zasobności kiesy, lecz także na namaszczeniu Cerkwi prawosławnej. A ambicje polityczne zaczęły sięgać daleko, daleko poza granice państwa Moskiewii. Były to ambicje imperialne.

Oczywiście po drodze należało skruszyć opór innych pretendentów do przewodnictwa Świętej Rusi – Nowogród Wielki, Kijów, Psków i Twer. To Moskwa osiągnęła siłą, sprawną dyplomacją, przekupstwem i... udaną polityką matrymonialną. Mowa o zaaranżowanym przez papieża Pawła II małżeństwie między Zoe – córką ostatniego władcy Bizancjum Fomy Paleologa – a moskiewskim wielkim księciem Iwanem III.

Papież starał się poprzez ten związek zmontować doraźny sojusz między papieżstwem a Moskwą w celu wspólnej walki z wyznawcami islamu. Długofalowe efekty tego mariażu okazały się zaś całkowicie nieoczekiwane. Piękna, 16-letnia bizantyjska księżniczka w 1472 r. wyruszyła w mającą trwać cztery miesiące podróż do Moskwy. Na dziki, zimny i tajemniczy Wschód. Wiozła ze sobą bezcenne pamiątki po dynastii Paleologów, m.in. święte księgi ojców Kościoła wschodniego.

32-letni Iwan nie zamierzał tracić czasu. W tym samym dniu, w którym Zoe przybyła do miasta, książę zawiódł ją przed ołtarz w soborze Zaśnięcia Bogurodzicy (Uspienski). Mariaż ostatniej dynastii Bizancjum z moskiewskim domem panującym Rurykowiczów stał się faktem. W żyłach kolejnych władców Moskwy zaczęła krążyć krew imperatorska. W ten symboliczny sposób skończyła się historia Moskiewii, a zaczęła historia Rosji.

„Akt ślubny – pisze prof. Andrusiewicz – czynił Iwana prawnym spadkobiercą Paleologów, a pierwszym tego znakiem na Rusi stał się przyjęty od nich herb dwugłowego orła, który oznaczał jedność Kościoła chrześcijańskiego z chrześcijańskim państwem. Czarny dwugłowy orzeł »przyleciał« z południa (Bizancjum) i na dobre uwił sobie gniazdo na północy.

Pierwszy herb młodego państwa oznaczał jego suwerenność, stał się symbolem »wiecznej Rusi-Rosji« i wiązał się z politycznymi aspiracjami wielkie-

mu czytelnikowi świat rozpięty na kolosalnych przestrzeniach Eurazji. Między Smoleńskiem a Władywostokiem.

Świat ten u wielu Polaków wzbudza grozę, a czasami niechęć. Jednocześnie fascynuje i przyciąga. Swoimi przestrzeniami, dziką, bujną przyrodą, genialną literaturą, jakiej Polska nigdy nie miała i mieć już raczej nie będzie. Pasjonującą, pełną dramatycznych wydarzeń i tajemnic historią. A także tym, co zwykło się nazywać „tajemnicą duszy rosyjskiej”.

go księcia jako spadkobiercy imperatorów bizantyjskich i rzymskich, ponadto zyskiwał znaczenie jako ilustracja idei Rzymu w Moskwie. Orzeł – groźny i silny ptak – symbolizował mocną władzę i silne państwo”.

ROSJA KONTRA SODOMA

Tak jak komunizm miał swojego Marksa, tak również idea Trzeciego Rzymu musiała mieć swojego proroka. Był nim mnich Filoteusz (Fiłofiej) żyjący w klasztorze Jeleazarowa w Pskowie. Ten uczony, szanowany duchowny był autorem posłań do wielkiego księcia – Wasyla III. Między innymi słynnego listu „O naprawie znaku krzyża i sodomskiej rozpusty”. Filoteusz przekonywał, że ośrodkiem owej rozpusty jest Zachód. Jej rozsądnikami – „przekłęci łacinnicy”.

„Istotę zagadnienia autor wypowiadał jasno: państwo Wasyla III jest jedynym i ostatnim na świecie spadkobiercą potęg Rzymu i Bizancjum – podkreśla profesor. – Upadły one, gdyż trawił je głęboki kryzys moralny, religijny, społeczny, pogrążyły się w grzechu i dostały się we władanie szatana – księcia ciemności. Celem Moskwy, jak twierdził Filoteusz, miało być posługiwanie się bronią Chrystusa: prawdą i światłością. W każdej epoce pewni ludzie i pewne państwa doświadczają »dni światła i łaski«. Taki czas nadszedł dla Rusi”.

A teraz oddajmy głos samemu mnichowi z Pskowa:

„Nasza ruska ziemia Bożą miłością i modlitwami Przenajświętszej Dziewicy i wszystkich świętych cudotwórców wyrasta z niemowlęctwa i wywyższa się. Wszystkie chrześcijańskie carstwa dobiegły końca i zeszyły się w jednym carstwie naszego władcy, godnie z prorocत्वami, to właśnie jest carstwo rzymskie: ponieważ dwa Rzymy upadły, a trzeci stoi, a czwartego nie będzie”.

Zgodnie z tą optyką Rosja stawiała się imperium dobra, które wraz ze swoją ekspansją miało nieść kolejnym ludom i kolejnym ziemiom harmonię Królestwa Bożego. Różnica między „carem niebieskim” a „carem ziemskim” zacierała się. Ten ostatni stawał się pomazańcem Bożym. Właśnie tak zrodziło się to, co prof. Andrusiewicz nazywa „megaideą”. Resztę tej historii znamy dobrze – niepo-



ANDRZEJ ANDRUSIEWICZ
„TRZECI RZYM”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

zorne niegdyś, gnębione przez Tatarów księstwo moskiewskie przeistoczyło się w jedną z największych światowych potęg.

ZAPADNICY I CAROBÓJCY

Idei Trzeciego Rzymu nie zniszczyło ani przeniesienie stolicy imperium do Petersburga, ani opanowanie Moskwy przez wojska polsko-litewskie w roku 1610, ani zdobycie Moskwy przez wojska napoleońskie w roku 1812. Idea ta przetrwała okres wielkiej smuty, a także największą katastrofę, jaka spadła na Rosję – plagę bolszewizmu.

Mit Trzeciego Rzymu trwał, choć często przeobrażał się i przyjmował rozmaite formy. Żył własnym życiem. Zapładniał wyobraźnię poetów, teologów, polityków, żołnierzy i władców. Jedną z jego hybryd była XIX-wieczna idea panslawistyczna, czyli dążenie do zlania się wszystkich narodów słowiańskich w jednym morzu. Oczywiście pod światłym przywództwem promieniującej swym blaskiem Świętej Rusi.

Inną hybrydą była idea słowianofilska. Czyli przekonanie o wyższości rosyjskiego projektu cywilizacyjnego nad projektem Zachodu. Harmonia, głęboka duchowość i szczytne ideały – zamiast kultu pieniądza i rozumu, moralnego rozbestwienia i nowoczesności. Nie dla zmian, które w Rosji wprowadził Piotr Wielki, tak dla powrotu do staroruskich korzeni.

„Słowianofile – pisze autor „Trzeciego Rzymu” – mianowali Rosję Świętą Rusią, stawiając przed nią zadanie obrony przed »bezbożną« kulturą Zachodu i wrogą człowiekowi religią mużulmańską. Konstatawali oni, że myśl rosyjska ma przede wszystkim charakter religijny. Dla nich istniały dwa odrębne światy: Wschód i Zachód, Rosja i Europa. Pierwszy kwitł, rozwijał się, drugi umierał”.

Oczywiście idee te zawsze miały w Rosji swoich zdeklarowanych, zaciętych przeciwników. Przeciwno słowianofilom występowali zapadnicy. Czyli zwolennicy przejęcia wzorców zachodnich i upodobnienia Rosji do nowoczesnych krajów Europy. Przejęcia zachodniego modelu kulturowego, wolności jednostki i organizacji państwowej. Porzucenia tatarsko-bizantyjskiej spuścizny, która miała być czynnikiem wsteczności i zacofania

Rosji względem świata. Przedmiotem wstydu, a nie dumy.

Również parareligijne uwielbienie dla carów – pomazańców Bożych – w praktyce wyglądało bardzo różnie. Jak wyliczył Andrzej Andrusiewicz, spośród 10 carów dwóch zabito, a jednego zdezonizowano. A spośród 14 carów-cesarzy pięciu zamordowano, a dwóch zmarło w niewyjaśnionych okolicznościach.

Rozgrywający się w Rosji spór między Wschodem a Zachodem trwa również obecnie. Owo wahadło, o którym pisze prof. Andrusiewicz, nadal wychyla się raz w jedną, raz w drugą stronę. Rosja stoi na rozdrożu. Raz zbliża się do Zachodu – tak jak podczas rządów Borysa Jelcyna – a raz się od niego raptownie oddala. Jak za rządów Władimira Putina.

Opowieść o Trzecim Rzymie wcale nie kończy się bowiem wraz z męczeńską śmiercią ostatniego cara Wszechrusi – zastrzelonego przez bolszewickich zbrodniarzy w piwnicy domu Ipatiewa. Wprost przeciwnie, w ostatnich latach obserwujemy prawdziwy renesans, powrót tej idei.

„Historia Rosji jakby zatoczyła koło – pisze prof. Andrusiewicz. – Odradzające się prawosławie dąży do chrystianizacji ludzkości pod auspicjami Rosji. Jedynego w Europie państwa »prawdziwie chrześcijańskiego«, ostatniego bastionu przed zalewem zdegenerowanego liberalizmu i globalizmu.

Czasy się zmieniają, ale z politycznego punktu widzenia zmieniło się niewiele. »Rzymska« Moskwa ukazuje się światu jako ostatni obrońca zagrożonej cywilizacji »pierwszorzymskiej«. Na początku XXI wieku Rosja powróciła na Bliski Wschód pod sztandarami prawosławia do walki z terroryzmem islamskim. W tyglu idei wskrzeszona nie tylko przez kręgi konserwatywne retoryka Trzeciego Rzymu sprzyja umocnieniu roli Rosji na scenie światowej. Pojawił się nowy język komunikacji społecznej, nowi liderzy »trzeciorzymscy«, mowy mistycyzm, ale stare problemy, pola walki i stereotypy pozostały”.

To, co w tej idei jest atrakcyjne, to jej uniwersalistyczny charakter. Rosjaninem trzeba się urodzić, ale obywatelem Trzeciego Rzymu można się przeciwieństwo stać z wyboru. Trzeci Rzym oślepią swym blaskiem i kusi. Przyciąga jak magnes. Hipnotyzuje. Znam sporo takich, którzy gotowi są na ten zew ze Wschodu odpowiedzieć. I za nim podążyć.

© 2016 Wszelkie prawa zastrzeżone



PUTIN UCZY HISTORII

Władimir Putin, prezydent kraju, który nigdy nikogo nie napadł, nie ograbił i nie oszukał, proponuje skupienie się na okropnym zachowaniu Polski i innych krajów Europy, które doprowadziło do „rozerwania na strzępy” Czechosłowacji w 1938 r. Przy okazji Putin stwierdził, że „Związek Radziecki faktycznie potępił tajną część paktu Ribbentrop-Mołotow pod koniec lat 80.” I już wiadomo, kto zachowywał się godnie i właściwie, a kto nie. Przynajmniej Putin to wie.

FOT. MIKHAIL SVEIDOVETZ/GETTY IMAGES

SZWEDZKI EKSPERT ZASKOCZONY

Szwecja jest dziś ostatnim krajem w Europie, który nie zdecydował się na obostrzenia i społeczną izolację. Okazało się, że umiera dużo osób. Naczelny epidemiolog Szwecji Anders Tegnell w telewizji wyznał, że wysoka liczba ofiar pandemii w jego kraju była „dla wszystkich zaskoczeniem”. Przyznał też, że machnięcie ręką na izolację oznaczało pogrom w domach dla seniorów. Ale zaznaczył, że kraj nie przedkładał życia starszych ponad innych. Tymczasem „The Financial Times” podsumował, że mimo braku izolacji szwedzka gospodarka nic nie zyskała. I w dłuższej perspektywie dotknięta będzie tak samo jak te w innych krajach.

PREZYDENT POLECA NAPAR

Gdy w Szwecji naczelny epidemiolog dziwi się, że przy braku izolacji więcej ludzi zaraziło się i umarło, na Madagaskarze prezydent poleca miksturę, która ma leczyć pacjentów z koronawirusa w ciągu 10 dni. Napój, który poleca Andry Rajoelina, składa się z bylicy i innych ziół. I choć Światowa

Organizacja Zdrowia przestrzega i odradza krajom kupowanie takich specyfików, to zamówienia na ziołowy napój złożyły już Gwinea Równikowa, Gwinea Bissau, Niger oraz Tanzania.

IRAN TRAFIŁ IRAN

Irańska marynarka wojenna prowadziła ćwiczenia w rejonie Zatoki Omańskiej. Jak poinformowały tamtejsze media, doszło do „incydentu”. A dokładnie wyglądało to tak, że jeden irański okręt trafił rakietą inny irański okręt. Na pokładzie trafionego okrętu wsparcia „Konarak” zginęło 19 irańskich marynarzy, a 15 zostało rannych.

NA RINGU Z REKINEM

W Australii, w stanie Wiktorja, dwaj młodzi mężczyźni wybrali się na deski surfingowe. Jak widać na nagraniach, które pokazano w mediach, do surferów podpłynął rekin i zaatakował 23-letniego Dylana Nacassa. Rekin ugryzł go w nogę, ale młodzieniec wyzwolił się z dramatycznej sytuacji, wyprowadzając ciosy z pięści. W ten sposób jego przygoda z rekinem zakończyła się tylko niegroźną raną nogi, na którą założono szwy. © **Łukasz Zboralski**



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Rządy epidemiologów

Kryzys jest zjawiskiem zbyt strasznym, aby go zmarnować – zauważył przed laty amerykański ekonomista i laureat Nagrody Nobla Paul Romer.

Z tymi słowami zgodzi się też wielu polityków i socjologów. Wszak w czasach wojen, zarazy i innych kataklizmów ludzie jednoczą się wokół władzy. A im sprawniej rząd walczy z zagrożeniem, tym obywatele chętniej mu ufają. Widać to np. w Australii. Władze w Canberze szybko ogłosiły zwycięstwo w pierwszej bitwie z koronawirusem, a notowania premiera Morrisona poszybowały do 70 proc. Oczywiście we Włoszech, gdzie

rząd popełnił wiele błędów, zauważyć można zjawisko odwrotne: według jednego z sondaży politykom wierzy tylko 4,6 proc. Włochów.

Koronawirusową szansę przeąpił też Donald Trump. Po tym, jak publicznie radził Amerykanom, aby wprowadzali do organizmu środki dezynfekujące, świat zrozumiał, dlaczego na kubkach z kawą czytamy, że jest ona gorąca. Jednocześnie jednym z nowych rządzących USA stał się dr Anthony Fauci. Słynny immunolog nie tylko prostuje rady prezydenta, lecz także ma duży wpływ na to, kiedy Ameryka zostanie na nowo otwarta. Ma też wielki posłuch na rynkach. Gdy w ubiegłym tygodniu

stwierdził w senacie, że zbyt szybkie otwieranie gospodarki będzie skutkowało znacznie większą liczbą ofiar i opóźni powrót do normalności, zimny prysznic spadł na inwestorów na świecie. Jego obawy potwierdzają zaś doniesienia z Niemiec, Chin czy Korei Południowej.

Wielu polityków nie chce się jednak zgodzić, aby rządy ukradli im epidemiolodzy. Wśród tych ostatnich też są bowiem niezłe ziółka. Neil Ferguson, czołowy brytyjski epidemiolog, stracił robotę, bo choć sam zalecał twarde zasady, to podczas kwarantanny spotykał się z kochanką. Teraz karierę może zrobić już tylko w polityce... ©

Jak Zachód długi i szeroki, kościoły pozamykano lub radykalnie ograniczono swobodę dostępu do świątyń. Wielkanocy, w której taki odsetek katolików na świecie nie mógł uczestniczyć we wspólnych modlitwach, nie było od czasów Konstantyna Wielkiego, a więc od 17 stuleci. Dopiero teraz nieśmiało zaczynają odzywać się głosy przedstawicieli poszczególnych episkopatów domagających się poszerzenia dostępu do mszy świętych, jednak z różnym skutkiem. O ile rząd Włoch zadeklarował, że od połowy maja kościoły znów będą dostępne dla wiernych (z uwzględnieniem reżimu sanitarnego i zachowania jednego metra dystansu między ludźmi), o tyle np. władze Portugalii podtrzymały decyzję o bezterminowym zamknięciu świątyń. W Polsce zaś – mimo petycji laikatu oraz apeli duchowieństwa – nadal obowiązuje zapis ograniczający liczbę wiernych – w tej chwili do jednego na 10 m kw. świątyni.

MILCZĄCY ŚWIADEK HISTORII

Katolicy z pewnością do końca życia zapamiętają ów okres, skutki tej pamięci odczuwać zaś będziemy w Kościele zapewne przez długie dekady.

A co świat zapamięta Kościołowi z czasów pandemii? Z pewnością właśnie posłuszeństwo – posunięte do niewyobrażalnych rozmiarów – objawiające się jednak nie tylko podporządkowaniem się reżimowi sanitarnemu, lecz także milczeniem w obliczu ograniczania wolności i wprowadzania „nowej normalności”.

Oto wszak na naszych oczach rodzą się zupełnie nowe – bardziej i mniej prawdopodobne – scenariusze dla świata po pandemii. Nie są jednak opisywane przez blogerów fantastów, ale przez autorów wielkich tytułów prasowych. Czytamy bowiem o konieczności przyspieszenia globalizacji i skupiania władzy w rękach centralnych instytucji, czytamy o możliwym przyjęciu przez Zachód chińskich – a więc komunistycznych i antychrześcijańskich – mechanizmów zarządzania państwami, czytamy o radykalnym ograniczaniu swobód obywatelskich, o szeroko zakrojonych możliwościach nowoczesnych technologii mogących przyczynić się do powstania mechanizmów totalnej kontroli. A Kościół milczy.

Głosu papieża Franciszka – tak chętnie przecież cytowanego od początku pontyfikatu przez główne światowe me-



Głos wołających na pustyni



Krystian Kratiuk

Pandemia COVID-19 udowodniła, że żyjemy w czasach niezwykłego sojuszu tronów i ołtarza – świadczy o tym nie tylko bezkrytyczna i natychmiastowa zgoda biskupów na pozamykanie kościołów niemal na całym świecie, lecz także milczenie Kościoła na temat sposobu rozgrywania batalii o kształt świata po koronawirusie. Są jednak wyjątki

dia – nie słyhać w ogóle. Dwa tygodnie przed Wielkanocą w spektakularnym geście samotnie błogosławił miastu i światu z pl. Świętego Piotra, a w same Święta Zmartwychwstania Pańskiego przypomniał o potrzebie międzyludzkiej solidarności i wezwał do wprowadzenia płacy podstawowej. I tyle – to wszystko, jeśli chodzi o głos jednego z najważniejszych ludzi na świecie, Wikariusza Chrystusa (który to tytuł w aktualnym wydaniu „Rocznika Watykańskiego” określono już li tylko historycznym). Katolicy zainteresowani wewnątrzkościelnymi debatami dowiedzieli się również od papieża, że dopuszcza myśl, iż koronawirus „może być czymś w rodzaju reakcji Matki Ziemi na niekorzystną dla planety działalność człowieka”. A warto dodać, że

przedstawiciele duchowieństwa w tych samych dniach w zdecydowanych słowach potępiali hipotezę, z której mogło wynikać, iż epidemia stanowi odsłonę Bożej kary za grzechy...

PRZECIWKO „NOWEJ NORMALNOŚCI”

Dlatego nie miałym echem (choć jak zwykle nie w Polsce) w mediach katolickich i świeckich (bo również choćby w „The New York Times” i w „Deutsche Welle”) odbił się list otwarty podpisany przez trzech kardynałów i kilku biskupów, w tym abp. Carlo Maria Viganò. List zatytułowany „W obliczu poważnego kryzysu. Apel do Kościoła i świata” został chętnie przedrukowany przez konserwatywne media na całym świecie (po

Abp Carlo Maria
Viganò jest jednym
z sygnatariuszy listu
„W obliczu poważnego
kryzysu. Apel do Kościoła
i świata”

FOT. PATRICK SEMANSKY/AP/EAST NEWS

czalnych form ograniczania wolności, kontroli osób i śledzenia ich ruchów. Te nieliberalne tryby narzucania są niepokojącym preludium do powstania Rządu Światowego wymykającego się spod wszelkiej kontroli”. To niezwykle odważne słowa, z którymi oczywiście można polemizować. Miażdżąca większość polskich mediów (w tym niemal wszystkie katolickie) uznała jednak, że lepiej o nich w ogóle nie wspominać.

Biskupi – ale również podpisani pod listem świeccy publicyści, lekarze, prawnicy, akademicy i przedstawiciele organizacji pozarządowych – zwrócili się również do rządzących państwami o zachowanie czujności „celem uniknięcia stosowania najbardziej rygorystycznych form kontroli ludności – czy to w postaci systemów śledzenia, czy też jakichkolwiek innych form namierzania lokalizacji [...]. W szczególności obywatelom należy zapewnić możliwość odrzucenia takich ograniczeń wolności osobistej, bez nakładania jakichkolwiek kar na osoby, które nie zamierzają skorzystać ze szczepionek, z metod śledzenia i wszelkich innych środków o analogicznym charakterze”. Zaapelowali też do mediów „o aktywne angażowanie się w prawidłowy przekaz informacyjny, który nie będzie karać odmiennych poglądów przez uciekanie się do form cenzury, co powszechnie ma miejsce w mediach społecznościowych, prasie i telewizji” i przypomnieli, że „uczciwa konfrontacja opinii jest najlepszym antidotum na ryzyko narzucenia podstępnych form dyktatury”.

Wreszcie wszyscy duchowni sygnatariusze listu napisanego przez abp. Viganò przypomnieli, że Kościół stanowi domaga się autonomii w rządzeniu, kulcie i głoszeniu kazań. „Stanowczo domagamy się prawa do samodzielnego podejmowania decyzji w kwestii odprawiania mszy świętej i udzielania Sakramentów, podobnie jak żądamy pełnej autonomii w sprawach podlegających naszej bezpośredniej jurysdykcji, takich jak, tytułem przykładu, normy liturgiczne oraz sposoby sprawowania Komunii i Sakramentów. Niezależnie od powodów państwo nie ma prawa ingerować w suwerenność Kościoła. Współpraca władzy kościelnej, nigdy nie negowana, nie może być uwikłana przez władzę cywilną w jakiejkolwiek formy zakazywania lub ograniczania kultu publicznego lub posługi kapłańskiej [...]. Prosimy o znie-

sienie ograniczeń w sprawowaniu funkcji publicznych” – czytamy w apelu.

JEŚLI CI UMILKNĄ...

Autorzy listu zwrócili się jednak nie tylko do moźnych tego świata – przedstawicieli władzy świeckiej, mediów i świata nauki. Apelują także do zwykłych katolików, pisząc: „Wszyscy jesteście wezwani do oceny obecnych faktów zgodnie z nauką głoszoną przez Ewangelię. Wymaga to dokonania wyboru: albo z Chrystusem, albo przeciwko Chrystusowi. Nie pozwólcmy dać się onieśmielić czy zastraszyć przez kogoś, kto wmawia nam, że jesteśmy mniejszością: Dobro jest powszechniejsze i potężniejsze niż to, w co świat chce, byśmy uwierzyli. Walczymy z niewidzialnym wrogiem, który rozdziela obywateli, separuje dzieci od rodziców, wnuki od dziadków, wiernych od ich duszpasterzy, uczniów od nauczycieli, klientów od sprzedawców. Nie pozwólcmy, aby pod pretekstem wirusa zostały wymazane wieki cywilizacji chrześcijańskiej, wprowadzając nienawistną technologiczną tyranie, w której ludzie bezimienni i bez twarzy mogą decydować o losach świata, sprowadzając nas do wymiaru rzeczywistości wirtualnej. Jeśli to jest plan, do którego zamierzają nas skłonić moźni tej ziemi, niechaj wiedzą, że Jezus Chrystus, Król i Pan Historii, obiecał, że bramy piekielne go nie przemogą”.

Niebotyczna wręcz różnica między opisaną tu narracją konserwatywnej części Kościoła a milczeniem i akceptacją nowego porządku przez przedstawicieli katolickiego głównego nurtu tylko potwierdza głęboki podział ujawniający się od wielu dziesięcioleci. Z jednej strony mamy wszak wezwanie do walki, z drugiej zaś biskupie decyzje o zamykaniu kościołów. Jedni duchowni przestrzegają przed ograniczaniem wolności, inni zaś zachęcają do przedłużenia restrykcji. Sygnatariusze apelu abp. Viganò pamiętają, że Kościół jako sól ziemi ma prawo głośno odnosić się do niepokojącej rzeczywistości, inni zaś wołają skupić się na rzekomo „odpowiedzialnej” współpracy z tymi, którzy na co dzień grzmiają o rozdziale Kościoła i państwa, dopuszczają do mordowania nienarodzonych, cenzurują katolickie opinie, promują rozwiążność i wszystkie inne grzechy.

Miażdżąca większość milczy. Nie wszyscy jednak chcą czekać, aż kamienie wołać będą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

polsku dostępny jest – wraz z pełną listą sygnatariuszy – na PCh24.pl), stanowi bowiem długo wyczekiwany głos ludzi Kościoła w sprawie okołopandemicznych przesileń.

Autorzy listu (wśród których są kardynałowie Müller, Zen i Pujats oraz bp Athanasius Schneider czy arcybiskupi Tomasz Peta i Jan Paweł Lenga) zauważają, że „pod pretekstem epidemii zostały naruszone niezbywalne prawa obywateli przez ograniczanie w sposób nieproporcjonalny i nieuzasadniony ich podstawowej wolności, w tym również korzystania ze swobody kultu, wypowiedzi oraz przemieszczania się”. Według sygnatariuszy „zdrowie publiczne nie powinno i nie może stać się usprawiedliwieniem dla deptania praw milionów osób na całym świecie, nie mówiąc już o zwolnieniu władz cywilnych z obowiązku podejmowania działań dyktowanych mądrością i mających na celu wspólne dobro”. Dodają, że „wiele światowej sławy autorytetów z dziedziny nauki i medycyny potwierdza, że alarm podniesiony przez media w związku z COVID-19 nie wydaje się w pełni uzasadniony”.

Autorzy apelu twierdzą też, że „istnieją siły, które mają interes w wywołaniu paniki wśród ludności wyłącznie celem trwałego narzucenia niedopusz-

Nowa rada kierowana będzie przez czterech wiceprzewodniczących – dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Jednak parytet przestaje obowiązywać, jeżeli chodzi o światopogląd.

Catalina Botero Marino jest kolumbijską prawniczką z Universidad de los Andes, działaczką proaborcyjną, zasiadającą we władzach Centrum Praw Reprodukcyjnych międzynarodowej organizacji prawników z siedzibą w Nowym Jorku, która ma na celu promowanie na całym świecie tak rozumianych praw kobiet.

Jamal Greene to wykładowca prawa w Szkole Prawa Uniwersytetu Columbia, który otwarcie mówi, że ma bardzo liberalne poglądy. Gdy w 2016 r. napisał dla „New York Timesa” tekst na pożegnanie konserwatywnego sędziego Antonina Scali, wyraźnie zaznaczył w nim, że choć uwielbiał słuchać jego argumentacji, to jeżeli chodzi o poglądy, to jest jego kompletnym przeciwieństwem.

Helle Thorning-Schmidt to z kolei była socjaldemokratyczna premier Danii (w latach 2011–2015), której poglądy polityczne są dosyć oczywiste i mieszczą się w mainstreamie zachodnioeuropejskiej socjaldemokracji.

Ostatnim wiceprzewodniczącym jest **Michael McConnell**, wykładowca prawa z Uniwersytetu Stanforda, były sędzia federalny, który – zdaniem prawniczych komentatorów w USA – odgrywa tu rolę kwiatka u kożucha.

„Z czterech wiceprzewodniczących tylko jeden – prof. Michael McConnell ze Szkoły Prawa Uniwersytetu Stanforda – wydaje się być jakkolwiek konserwatywny. Pozostała trójka to niekwestionowani liberałowie” – komentuje Doug Mainwaring, publicysta katolickiego portalu „Life Site News”.

PRAWICA BOI SIĘ CENZURY

To cztery kluczowe nazwiska w radzie, którą powszechnie już obwołano „sądem najwyższym” Facebooka. Reklamowana jako instytucja niezależna od korporacji Marka Zuckerberga, z wbudowanymi bezpiecznikami mającymi uchronić ją od wszelkich nacisków, rada ma za zadanie podejmować ostateczne i wiążące decyzje w sprawie najbardziej kontrowersyjnych treści. Takich, wokół których toczyć się będą zacięte spory o to, czy przekraczają granice swobody wypowiedzi, czy nie.

„Ochrona wolności wypowiedzi poprzez niezależną ocenę” – tak brzmi motto rady.

Rada Nadzoru Myśli

FOT. ADRIAN STOK/123REDEK



Piotr Włoczyk

Od decyzji nowo utworzonej Rady Nadzoru zależeć będzie, które treści będą na Facebooku dozwolone, a które zabronione. Co do jej obiektywizmu można mieć jednak pewne wątpliwości – ciało to kompletnie zdominowane jest przez lewicę

„Po tym, jak ta wspólnota przekroczyła dwa miliardy ludzi, stało się jasne dla Facebooka, że nie powinien on podejmować tak wielu decyzji na temat wolności wypowiedzi i bezpieczeństwa w sieci samodzielnie. Rada Nadzoru została stworzona, by pomóc Facebookowi odpowiedzieć na

niektóre najważniejsze pytania dotyczące wolności wypowiedzi on-line: co zdjąć, co zostawić i dlaczego” – czytamy na stronie internetowej tej instytucji.

Niepokoje prawicy (nie tylko w USA) miał uśmierzyć tekst, który ukazał się na początku maja w „New York Timesie”.

Podpisali się pod nim wszyscy wiceprzewodniczący.

„Członkowie rady pochodzą z różnych środowisk, jeżeli chodzi o życie zawodowe, kulturalne, religijne, i mają różne poglądy polityczne. Niektórzy z nas byli bardzo krytyczni wobec Facebooka, inni nie. Ale wszyscy mamy umiejętności i doświadczenie, które może pomóc tej Radzie w omawianiu najważniejszych zagadnień odnośnie do treści, które stoją przed użytkownikami Internetu. Wszyscy jesteśmy niezależni od Facebooka. I wszyscy jesteśmy zdecydowani bronić wolności wypowiedzi w ramach międzynarodowych norm i praw człowieka”. To ostatnie zapewnienie szczególnie martwi przedstawicieli prawicy, którzy przekonują, że za hasłami o „międzynarodowych normach” i „prawach człowieka” wobec tak lewicowego składu rady stoi proste narzędzie do cenzurowania poglądów, które nie wpisują się w lewicowy mainstream.

„To przerażająca wizja, że potężna, lewicowa grupa może kontrolować wypowiedzi konserwatystów – głosy, które bronią wolnej przedsiębiorczości, tradycyjnego małżeństwa, wolności religijnych, życia nienarodzonych, prawa do posiadania broni” – napisał Sojusz Wolności Słowa (Free Speech Alliance – FSA), stowarzyszenie grupujące czołowe amerykańskie i kanadyjskie organizacje konserwatywne. – Ta rada jest zdominowana nie przez orędowników amerykańskiej konstytucji i obrony praw, ale przez członków, którzy w przeważającej większości żyją w krajach sprzeciwiających się ochronie takich wartości”.

LUDZIE SOROSA

Poza czterema wiceprzewodniczącymi do rady wybranych zostało również 16 innych osób (docelowo ma być ich 40). Chociaż radę stworzył Facebook, to zapewnione przez korporację na specjalnym funduszu 130 mln dol. i brak możliwości usunięcia wybranych członków mają gwarantować pełną niezawisłość tej instytucji.

Jak jednak wskazuje FSA, również wśród 16 „zwykłych” członków lewica i skrajna lewica ma absolutną przewagę, a trzech członków rady to bliscy współpracownicy George’a Sorosa. „Soros ma dziś dużo większe wpływy w Radzie niż cała amerykańska prawica, która jest reprezentowana przez jednego tradycyjnego konserwatystę i jednego libertaria” – czytamy w oświadczeniu FSA.



Do rady wybrano czterech wiceprzewodniczących oraz 16 innych osób (docelowo ma być ich 40) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wśród członków rady wskazywanych jako współpracownicy amerykańskiego miliardera są András Sajó (w latach 2008–2017 sędzia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, wykładowca założonego przez George’a Sorosa Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego, który notabene pomagał przy jego utworzeniu) oraz Afia Asante-waa Asare-Kyei z Ghany, zajmująca się walką o poszerzenie praw społeczności LGBT. Asare-Kyei stoi też na czele Open Society Initiative dla Afryki Zachodniej, organizacji wchodzącej w skład sieci fundacji George’a Sorosa.

Wśród ciekawych nazwisk członków rady można jeszcze wymienić Tawakkul Karman (jemeńską laureatkę Pokojowej Nagrody Nobla, która bardzo mocno sympatyzuje z Bractwem Muzułmańskim i wygłaszała nawet rok temu podniosłą mowę podczas uroczystości pogrzebowej Muhammeda Mursiego, islamistycznego prezydenta Egiptu w latach 2012–2013), Alana Rusbridgera (w latach 1995–2015 redaktora naczelnego bardzo mocno lewicowego brytyjskiego dziennika „The Guardian”) oraz prof. Pamelę Karlan, wykładowczynię prawa z Uniwersytetu Stanforda, zastępczynię prokuratora generalnego za rządów Baracka Obamy, która dała się poznać jako zagorzała krytyczka Donalda Trumpa i zwolenniczka tęczyowej rewolucji. W 2009 r. powiedziała w wywiadzie dla „Politico”: „To żaden sekret, że jestem jedną z tłumu LGBT”.

GOTOWI NA WYBORY W USA

Rada ma zacząć działać tuż przed wyborami prezydenckimi w USA, co bardzo niepokoi wielu na amerykańskiej prawicy. Ta od lat narzeka na lewicowy

przechył Facebooka. Prawdziwy alarm wszczęto przy okazji wyborów prezydenckich w 2016 r. Blokowanie prawicowych treści pod zarzutem siania „mowy nienawiści”, banowanie konserwatywnych publicystów, faworyzowanie tekstów wspierających liberalno-lewicową wizję świata – takie zarzuty szczególnie często zaczęły padać właśnie w okresie ostatniej amerykańskiej kampanii prezydenckiej.

Te oskarżenia znalazły swoje potwierdzenie w maju 2016 r. w publikacji Gizmodo, niezwykle popularnego serwisu technologicznego. Opierając się na rozmowach z osobami zatrudnionymi w Facebooku, Gizmodo opublikował tekst, z którego wynikało, że pracownicy internetowego giganta celowo marginalizują zasięgi prawicowych mediów.

Z kolei dwa lata temu w Facebooku doszło do swego rodzaju buntu, gdy Brian Amerige, wysoko postawiony programista pracujący wówczas dla Marka Zuckerberga, opublikował w serwisie dostępnym jedynie dla pracowników Facebooka post zatytułowany „Jesteśmy polityczną monokulturą, która nie toleruje innych poglądów”. Wpis spotkał się z dużym odzewem innych pracowników, którzy również widzieli ten problem. Całą sprawę nagłośnił „New York Times”.

„Twierdzimy, że z otwartością przyjmujemy wszystkie poglądy, ale szybko atakujemy – często całymi hordami – każdego, kto prezentuje pogląd, który stoi w kontrze do lewicowej ideologii. Etykietujemy ludzi słowami kończącymi się na »fob« i »ista«” – napisał Amerige. Trudno podejrzewać, by monokulturowa Rada Nadzoru mogła to zmienić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Witold Repetowicz

Wzrost czarnego rasizmu wobec obcych w Afryce w związku z pandemią COVID-19 spowodował, że zaczynają to dostrzegać również środowiska lewicowe

Jeden z moich znajomych, mający częściowo kurdyjskie pochodzenie, usłyszał kiedyś, że nie może być rasistą, bo jest „kolorowy”. W zasadzie miał być to chyba komplement, choć gdyby to nie szalona aktywistka lewicowa, lecz np. prawicowy publicysta stwierdził, że wychowana w polskiej tradycji osoba nie jest stuprocentowym Polakiem, lecz jako „kolorowa” jest „obcego pochodzenia”, to rozpętałyby się burza, a oskarżenia o rasizm walałyby niczym pioruny. Mój znajomy swą „białość” nie odbiega zresztą od polskiej normy, ale najwidoczniej o byciu kolorowym nie decyduje kolor skóry, lecz lewicowe teorie rasowe. Nie to jednak jest w tym kontekście najistotniejsze. Chodzi bowiem o zaprzeczenie tzw. odwróconego rasizmu. Część środowisk lewicowych twierdzi bowiem, że postawy rasistowskie są właściwie wyłącznie białym, a agresja „kolorowych” wobec obcych to uzasadniona reakcja na postkolonialną traumę, niewolniczy wyzysk i prześladowania.

DIALOG I KRZYK

Dlatego zaskakujące było to, że lewicowy „The Guardian” opublikował niedawno artykuł, w którym użył słowa „ksenofobia” w kontekście ataków czarnych na białych i Azjatów w Afryce. Nastroje te spowodowane są właśnie strachem przed tym, że obcy roznoszą zarazę. „Guardian” w swoim artykule z 10 kwietnia opisywał ataki na pracowników organizacji humanitarnych oraz misjonarzy niosących pomoc mieszkańcom Republiki Środkowoafrykańskiej i ostrzegał, że może to spowodować niedobór żywności i leków dla wielu mieszkańców. Zaczęły się one po tym, gdy jako pierwszą osobę zainfekowaną zdiagnozowano włoskiego misjonarza. Później w miejscowej prasie pojawiły się artykuły oskarżające francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona o plan wymordowania całej miejscowej populacji za pomocą wirusa.

Foreigners targeted in Central African Republic as coronavirus fears grow

Peacekeeping and aid operations face disruption as outsiders are scapegoated in one of Africa's most vulnerable countries

- Coronavirus - latest updates
- See all our coronavirus coverage



Lewicowy „The Guardian” opublikował niedawno artykuł, w którym użył słowa „ksenofobia” w kontekście ataków czarnych na białych i Azjatów w Afryce

UN peacekeepers from the Pakistan army in Kaga Bandoro, Central African Republic. Photograph: Jack Losh

A backlash against foreigners in Central African Republic threatens to disrupt peacekeeping and aid supplies in one of Africa's most fragile countries.

Rasiści lepsi i gorsi

Agresji słownej towarzyszy oczywiście fizyczna, toteż ONZ zaleciło swoim pracownikom niewychodzenie z domów. „Guardian” cytuje również przedstawiciela Lekarzy bez Granic, tłumaczącego reakcje miejscowej ludności obawą przed rozprzestrzenianiem się wirusa i koniecznością intensyfikacji dialogu, by uniknąć eskalacji. „Guardian” przypomina też, że rasistowskie ataki na obcych w tym ubogim kraju nie zaczęły się wraz z pandemią, ale jedynie się nasiliły. W 2019 r. odnotowano aż 300 ataków na pracowników organizacji pomocowych, w tym morderstwa.

Oczywiście problem nie dotyczy wyłącznie Republiki Środkowoafrykańskiej, ale w zasadzie całej czarnej Afryki. I nie tylko jej. Ten sam „Guardian” kilka dni później pisał o problemie stygmatyzowania czarnych obcokrajowców w Chinach. I to z tego

samego powodu – pandemii. O rasizmie czarnych w Afryce oraz Chińczyków wobec czarnych pisały również inne media. Temat można ciągnąć w nieskończoność i może warto, bo wciąż jest zbyt mało znany. Warto również porównać reakcje na te zjawiska z kwestią zwalczania rzeczywistego i domniemanego rasizmu oraz ksenofobii w Europie.

Nie ulega wątpliwości, że problem ten na naszym kontynencie jest realny, bez względu na to, jak by go niektórzy chcieli zakrzyczeć. I właśnie w tym problem, brak jest rzeczowego dialogu. Komentując wspomniane wcześniej rasistowskie nastroje w Republice Środkowoafrykańskiej, jeden z przedstawicieli europejskich organizacji pomocowych stwierdził, że „trzeba je zrozumieć”. Równie dobrze można by twierdzić, że trzeba zrozumieć rasistowski

terroryzm w Europie, który niestety jest również faktem, choć nie o takich rozmiarach, jak twierdzi lewica.

Europejscy antyrasiści nie chcą w ogóle zrozumieć obaw europejskich autochtonów przed migrantami i rzucają na lewo i prawo oskarżenia o rasizm. Piszesz o gwałtach sylwestrowych w Kolonii – podjudzasz do agresji przeciw migrantom. Piszesz o zamachach dokonywanych przez muzułmanów – jesteś rasistą.

Tyle że dokładnie takie same zarzuty można sformułować w odniesieniu do obaw Afrykańczyków w stosunku do białych (czy żółtych) obcych. Wszak epidemia koronawirusa w czarnej Afryce ma marginalny zasięg, a znacznie więcej gwałtów czy innych seksualnych nadużyć w Afryce dokonują miejscowi, a nie biali czy żółci obcy. O ile jednak tam zaleca się dialog, o tyle w Europie jest tylko krzyk: „Rasiści!”. A reakcją na to jest z kolei całkowite wyparcie problemu. Antyrasiści gromadzą się więc w swoim kółku wzajemnej adoracji, ciągnąc z budżetu UE rozmaite granty na nikomu niepotrzebne konferencje. Problemy pozostają, a ci, którzy udzielają na nie odpowiedzi, okrzykiwani są, słusznie lub nie, rasistami. W ten sposób pojęcie to w Europie uległo dewaluacji, na czym skorzystali prawdziwi rasiści.

ZMIANY WYBORCZYCH TENDENCJI

Dzisiaj problem migracji, terroryzmu oraz ksenofobii i rasizmu został w Europie zepchnięty na margines. Pandemia spowodowała radykalne ograniczenie skali nielegalnej migracji do Europy, choć jej całkowicie nie zastopowała. Podobnie jest z zagrożeniem terrorystycznym. Ono również radykalnie spadło, ale pewne incydenty z udziałem islamskich fanatyków wciąż w Europie się zdarzają.

Środowiska lewicowo-liberalne oraz mainstreamowe radują się również z ogólnego spadku poparcia dla ugrupowań określanych jako skrajna prawica. W Niemczech poparcie dla AfD spadło do 9 proc., choć przed pandemią sięgało 15 proc. W Hiszpanii notowania VOX spadły z 17–19 proc. do 12–14 proc., w Holandii dwie antyimigranckie partie – PVV i FvD – mogą obecnie liczyć na 25 miejsc w parlamencie, choć w grudniu było to 31, a poparcie dla austriackiej FPÖ spadło z 16 do 12 proc. Nawet w nieradzącej sobie z pandemią Szwecji nieznacznie spadło poparcie dla Szwedzkich Demokratów.

Zmiany te są jednak wynikiem chwilowego tylko zniknięcia problematyki

migracyjnej, a także powszechnego zjawiska zyskiwania poparcia przez partie rządzące. Lewica czy Zieloni, o ile nie są u władzy, bynajmniej nie zyskują. Przykładowo w Niemczech poparcie dla Zielonych spadło w znacznie większym stopniu niż dla AfD, bo z 24 do zaledwie 15 proc. W chwilach trwogi ludzie gromadzą się wokół władzy i stąd wzrost poparcia dla partii rządzących bez względu na to, jaką prowadzą politykę wobec pandemii i jaką polityczną rodzinę reprezentują.

Wyjątkiem od tej generalnej tendencji są Włochy, które były najbardziej narażone na napływ nielegalnych migrantów z Afryki, a obecnie najdotkliwiej uderzyła w nich zaraza. Wprawdzie Liga byłego ministra spraw wewnętrznych Matteo Salviniego straciła ok. 2–3 punktów procentowych, jednak wciąż zajmuje pierwsze miejsce w sondażach, a jej główny sojusznik, konserwatywno-nacjonalistyczni Fratelli d'Italia, poprawił swoje notowania z 10 do 15 proc.

Gdy pandemia się skończy, tendencje te mogą się bardzo łatwo zmienić. Problem migracji wróci jak bumerang i to równie szybko, jak nastąpiły klęski wspomnianych zwycięzców pierwszej oraz drugiej wojny światowej. W dodatku wróci ze zdwojoną siłą, gdyż wiele wskazuje na to, że skala i związane z nią negatywne zjawiska ulegną natężeniu. Dzisiaj te słowa mogą wydawać się dla wielu oderwane od rzeczywistości. Jaka migracja? Przecież wszystkie granice są pozamykane na całym świecie. I tym gorsze będzie przebudzenie, prowadzące właśnie dlatego do pogłębienia postaw ekstremalnych – z jednej strony postulatów szerokiego otwarcia granic i tłumienia wszelkiej debaty na temat problemów oskarżeniami o rasizm, z drugiej zaś wzrostu realnego rasizmu i związanego z tym terroryzmu w postaci choćby ataków na ośrodki dla uchodźców.

Teoretycznie mogłoby się wydawać, że Europa pogrążona w postpandemicznym kryzysie będzie mniej atrakcyjnym celem migracji, ale Trzeci Świat zbiednieje jeszcze bardziej, zwłaszcza że teraz nie płyną z Europy ani Bliskiego Wschodu transfery pieniężne gasterbeiterów do ich rodzin w Indiach, Bangladeszu czy Afryce. Ponadto wiele wskazuje na to, że bogate monarchie Półwyspu Arabskiego będą chciały pozbyć się kilkuset tysięcy, jeśli nie kilku milionów, mieszkających tam migrantów zarobkowych. Faktem jest też, że organizacje wysyłające statki do podwożenia migrantów z wybrzeża Libii do Włoch

nie zawiesiły całkowicie swej działalności na czas pandemii. Ponadto istnieje duże prawdopodobieństwo wzrostu natężenia migracji na kierunku wschodnim, to jest z obszaru byłego ZSRS do Polski. Wynikać to może m.in. z utraty pracy w Rosji przez miliony środkowoazjatyckich migrantów.

Rasistowski terroryzm jest faktem, choć jednocześnie wciąż zjawiskiem marginalnym, nawet jeśli uwzględnimy lutowy atak w niemieckim Hanau, w którym zginęło 10 osób, głównie Kurdów, a sprawcą posługiwał się retoryką rasistowską. Według raportu Europolu za 2018 r. w Europie doszło wówczas tylko do jednego aktu terrorystycznego zakwalifikowanego jako skrajnie prawicowy, w którym zresztą nikt nie zginął. Tymczasem w zakresie terroryzmu o podłożu skrajnie lewicowym było 19 ataków lub prób ich przeprowadzenia. Znacznie więcej było natomiast aktów terroru klasyfikowanych jako etnonacjonalistyczne, przy czym do tej kategorii wlicza się też przemoc między Kurdami a Turkami. Jest to szczególnie interesujące, gdyż w raportach na temat rasizmu problem tureckiego rasizmu wobec Kurdów w Europie właściwie w ogóle nie występuje. Zgodnie z dogmatem, że rasista musi być „biały”, a ofiara „kolorowa”.

W raporcie Rady Europy dotyczącym Niemiec na temat nietolerancji i rasizmu za 2019 r. mowa jest m.in. o problemach migrantów czy Romów, dyskryminacji homoseksualistów, rasizmie wobec czarnych i islamofobii oraz ksenofobicznej, skrajnie prawicowej mowie nienawiści. Słowa nie ma natomiast o nienawiści zawartej w kazaniach czy publikacjach islamskich radykałów skierowanej zresztą nie tylko do „białych” autochtonów, lecz także do uchodźców ze świata muzułmańskiego, którzy uciekli z powodów religijnych. W części poruszającej politycznie i rasistowsko motywowane akty przemocy brak też wzmianki o konfliktach między różnymi grupami migrantów, często powiązanych z rasistowską retoryką.

Pandemia spowodowała jednak pojawienie się nowych elementów w ksenofobicznej retoryce (tj. oskarżeń pod adresem migrantów, że są źródłem zarazy) i wzrost aktywności wciąż jednak marginalnych organizacji o charakterze neonazistowskim czy rasistowskim, zwłaszcza w Niemczech. Trudno się dziwić, że właśnie tam, gdzie jest najwięcej migrantów, a polityczna poprawność każe wszelką debatę nad problemami dusić w zarodku.

Służby medyczne od ponad dwóch miesięcy walczą o zdrowie i życie Polaków. Zaangażowane są także służby mundurowe – żołnierze, strażnicy graniczni, policjanci. Wsparcie spółek Skarbu Państwa, w tym Grupy LOTOS, to realna pomoc. Gdański koncern dba także o bezpieczeństwo zakładu, swoich pracowników i klientów na stacjach paliw. Co ważne, zaangażowanie w walkę z pandemią nie zachwiało ciągłości produkcji spółki i nie wpłynęło na zmianę planów inwestycyjnych koncernu.

– Nasze działania mają na celu realne wsparcie placówek medycznych w walce z pandemią. Mamy nadzieję, że zakupiony sprzęt oraz środki ochrony indywidualnej poprawią standard leczenia chorych oraz ułatwią pracę personelowi medycznemu. Lekarze, ratownicy i pielęgniarce to prawdziwi bohaterowie naszych czasów. Chciałbym im ogromnie podziękować – mówi Paweł Jan Majewski, prezes Zarządu Grupy LOTOS.

Gdański koncern włączył się w akcję zakupu środków ochrony indywidualnej, która została przeprowadzona na zlecenie Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Trzeci już transport, prawie 700 m sześciu kombinezonów i przyłbic, dotarł 11 maja na lotnisko Wrocław-Strachowice. Operację zorganizowano w ramach programu SALIS. W całe przedsięwzięcie zaangażowanych było wiele podmiotów: Ministerstwo Obrony Narodowej, Ministerstwo Zdrowia, Agencja Rozwoju Przemysłu, Agencja Rezerw Materiałowych oraz Poczta Polska.

MILIONY NA POMOC

Na pomoc w walce z koronawirusem Grupa LOTOS przeznaczyła już znaczne środki finansowe. 5 mln zł trafiło do czterech placówek medycznych w województwie pomorskim oraz zachodniopomorskim. Dzięki temu Uniwersyteckie Centrum Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni otrzymało m.in. nowoczesny aparat USG. Z kolei Szpital Wojewódzki w Koszalinie wzbogacił się o komorę BIO-BAG, służącą do transportu chorych. Do Samodzielnego Publicznego Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Szczecinie zostało zakupionych m.in. 48 łóżek z materacami przeciwdrobnoustrojowymi, a także urządzenie do dezynfekcji powietrza z użyciem plazmy. Czwartą placówką, która mogła liczyć na wsparcie Grupy LOTOS, jest 7. Szpital Marynarki



Skuteczna pomoc w walce z koronawirusem

Pandemia COVID-19 zmieniła życie społeczne i gospodarcze. Do walki z koronawirusem potrzebne są siły i zaangażowanie nie tylko służb medycznych. Społeczna kwarantanna i zamrożenie gospodarki będą miały swoje konsekwencje. Dlatego Grupa LOTOS, jako spółka strategiczna dla polskiego bezpieczeństwa energetycznego, aktywnie wspomaga walkę z wirusem na wielu frontach. Jednocześnie koncern zachowuje ciągłość produkcji i realizuje planowe inwestycje.

Wojennej z Przychodnią SPZOZ w Gdańsku. Spółka wyposaża ją w osiem kardiomonitorów, moduł EEG i wózek akumulatorowy do przewozu odpadów skażonych.

Innego rodzaju pomoc otrzymały natomiast wszystkie szpitale zakaźne w Polsce, do których trafiają chorzy z ciężkimi objawami COVID-19. Dostały one od koncernu z Gdańska 400 specjalnych kart paliwowych na łączną kwotę 2 mln zł. Karetki i inne pojazdy należące do tych placówek mogą bezpłatnie zatańkować paliwo na każdej stacji LOTOSU w Polsce. Grupa LOTOS przekazała także Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Szczecinie 1,5 tys. litrów płynu dezynfekcyjnego. Środkami ochrony indywidualnej wsparto również m.in. przychodnię w Gdańsku-Brzeźnie oraz Wojewódzki Szpital Specjalistyczny w Częstochowie. Sześć placówek medycznych z Pomorza otrzymało także siedem samochodów umożliwiających transport pacjentów, próbek testowych i materiałów medycznych. Wszystkie działania były koordynowane przez Ministerstwo Aktywów Państwowych.

LOTOS przekazał też maseczki ochronne i płyn do dezynfekcji funkcjonariuszom Komendy Głównej Policji w Warszawie. Łączna kwota tej darowizny to prawie 250 tys. zł. Koncern umożliwił też darmowe tankowanie paliwa żołnierzom 7. Pomorskiej Brygady Wojsk Obrony Terytorialnej. Wszystkie służby zaangażowane w działania związane z pandemią – Straż Graniczna, Wojsko Polskie, Pogotowie Ratunkowe, Straż Pożarna, Policja, Straż Miejska, Służby Celno-Skarbowe oraz Inspekcja Transportu Drogowego – mogą zatrzymać się na stacjach LOTOS na bezpłatną kawę. Dotychczas wydano już tysiące napojów.

AKCJE WSPARCIA

Grupa LOTOS angażuje się w walkę z pandemią, nie tylko wspierając pracę placówek medycznych, lecz także priorytetowo traktując bezpieczeństwo swoich klientów. Na stacjach paliw wprowadzono bowiem niezbędne środki bezpieczeństwa, które mimo ostatniego poluzowania w kwarantannie społecznej, są nadal traktowane z dużą starannością. Koncern zadbał także o swoich kontrahentów, chroniąc ich przed skutkami spowolnienia gospodarczego. Spółka LOTOS Oil stworzyła specjalny program „Razem w przyszłość”, który umożliwia

m.in. hurtowy zakup produktów na promocyjnych warunkach, np. z opcją zapłaty należności w ciągu 100 dni.

LOTOS zachęca też do działania wszystkich kierowców. „Każdy czeka na swoje NAI” to nowa kampania i zarazem kolejna inicjatywa koncernu na rzecz walki z pandemią. Od maja klienci stacji LOTOS mogą przekazać swoje punkty z programu Navigator na badania związane z leczeniem koronawirusa. Oprócz spotu telewizyjnego z udziałem ambasadorów marki LOTOS, w pięciu polskich miastach pojawiły się wyjątkowe murale nawiązujące do kampanii. Szczegóły dotyczące akcji znajdują się na stronie www.lotosnavigator.pl.

ROZWÓJ POPRZEC INWESTYCJE

– Bez zakłóceń produkujemy i dostarczamy na rynek nasze produkty, wspieramy polskie służby w walce z koronawirusem, ale równolegle też cały

inwestycji w projekt „Polimery Police”. Realizacja tych planów zapewni spółce wzrost w długim okresie, ale będzie również ważnym wsparciem dla gospodarki odradzającej się po pandemii i gwarancją zleceń dla szerokiej grupy mniejszych podmiotów.

Obecnie realizowane projekty inwestycyjne to m.in. budowa pilotażowej stacji dokującej LNG czy kolejnego nalewaka kolejowego. Finalizacja tego ostatniego zapewni odblokowanie wąskiego gardła logistycznego w ekspedycji paliw, a w szczególności do silników Diesla, na rynek krajowy. Dzięki temu koncern zwiększy bezpieczeństwo polskich klientów na stacjach, zmniejszając ich zależność od importowanego produktu. W tym roku ma również zapaść m.in. finalna decyzja inwestycyjna odnośnie do Hydrokrakingowego Bloku Olejowego oraz morskiego terminalu przeładunkowego na Martwej Wiśle.



FOT. BEATA ZAWIŁ

czas pracujemy nad kolejnymi projektami. Grupa LOTOS ma stabilną kondycję finansową, na którą składa się zarówno niskie zadłużenie koncernu, jak również płynność pozwalająca na efektywne realizowanie bieżących procesów oraz dalszych inwestycji – wyjaśnia Paweł Jan Majewski, prezes Zarządu Grupy LOTOS.

W 2020 r. spółka zamierza wydać na inwestycje ok. 1,4 mld zł. Dodatkowo 500 mln zł zabezpieczono na realizację

Wsparcie, którego udziela Grupa LOTOS w walce z koronawirusem, to znak dla państwa, że ma znaczącego sojusznika w czasach pandemii, ale także partnera, na którym może się oprzeć podczas wychodzenia z kryzysu. LOTOS kieruje się odpowiedzialnym podejściem do biznesu, w którego centrum znajduje się zarówno zdrowie naszego społeczeństwa, jak i gospodarki.

Samochód na wynos



Jacek Przybylski

Pandemia COVID-19 sieje spustoszenie w salonach dealerskich. Sprzedaż nowych aut spadła w Polsce niemal o 70 proc., a w niektórych krajach zachodniej Europy o ponad 95 proc. Takiego kryzysu branża nie przechodziła jeszcze nigdy w historii

W kwietniu zarejestrowano w Polsce niewiele ponad 15 tys. samochodów osobowych, czyli aż o 67 proc. mniej niż w kwietniu 2019 r. – podał w najnowszym raporcie Instytut Badań Rynku Motoryzacyjnego SAMAR. Ogromny

spadek dotknął również importu aut używanych – w pierwszych tygodniach kwietnia sprowadzono ich najmniej od maja 2004 r.

Chociaż w Polsce sytuacja jest zła, to i tak nie jest jeszcze aż tak tragiczna jak w wielu krajach na zachodzie Europy. Sprzedaż nowych aut w brytyjskich salonach w kwietniu spadła ogółem o 97,3 proc. (rok do roku) i osiągnęła najniższy poziom od 1946 r. W sumie w kwietniu na Wyspach sprzedano zaledwie 4321 samochodów, podczas gdy w kwietniu 2019 r. klienci kupili ich 161 tys. Jeszcze dramatyczniej ta statystyka wygląda w przypadku aut kupowanych przez osoby prywatne – w tym segmencie rynek sprzedaż spadła o 98,7 proc.

We Włoszech spadek sprzedaży w porównaniu z kwietniem 2019 r. wyniósł w ubiegłym miesiącu 98 proc. (ze 107,9 tys. do 2,2 tys. egzemplarzy), w Irlandii 90,3 proc., a we Francji 88,8 proc. W kwietniu pojawiło się

jednak światełko w tunelu. Wzrost sprzedaży o 4,4 proc. rok do roku (do 2,07 mln egzemplarzy) odnotowali dealerzy na największym motoryzacyjnym rynku świata, czyli w Chinach. Nawet oni nie są jednak pewni, czy było to jedynie krótkotrwałe odbicie po tym, jak przez niemal trzy miesiące większość salonów została zamknięta, a w najgorszym miesiącu – w lutym – w kraju liczącym 1,4 mld mieszkańców sprzedano zaledwie 310 tys. aut. Kwietniowy wzrost na chińskim rynku udało się bowiem uzyskać głównie dzięki bardzo dobrym wynikom sprzedaży pojazdów komercyjnych, w tym ciężarówek (wzrost o 32 proc.). Sprzedaż aut osobowych spadła w kwietniu o 2,6 proc.

DODAJ AUTO DO KOSZYKA

Na koronawirusa o wiele odporniejsze od tradycyjnych aut okazują się samochody elektryczne oraz hybrydowe. Ich sprzedaż w Europie zmalała bo-



W kwietniu sprzedaż aut spadła w niektórych krajach o ponad 90 proc.

FOT. ADOBE STOCK

wiem o niecałe 10 proc. (tradycyjnych o 97 proc.). W Wielkiej Brytanii najczęściej kupowanym samochodem stała się więc nagle w kwietniu elektryczna Tesla Model 3 (658 sprzedanych egzemplarzy).

Pandemia utrudniła jednak wprowadzanie na rynek elektryków. Motoryzacyjni giganci muszą przecież organizować premiery nowych modeli z poszanowaniem wszelkich zaleceń epidemiologicznych. Ponieważ targi motoryzacyjne jako jedno z pierwszych padły ofiarą koronawirusa, w kwietniu japońska firma Mitsubishi swojego najnowszego Outlandera PHEV – najpopularniejszego w Europie SUV-a z napędem hybrydowym – zaprezentowała Polakom w Internecie.

Niektóre marki, np. Seat, organizują też internetowe prezentacje modeli, które od dawna są już w ofercie. Nie wychodząc z domu, można nie tylko wziąć udział w premierze nowego modelu czy prezentacji wcześniejszych, lecz także po

prostu go kupić. I to często na preferencyjnych warunkach. Wspomniane Mitsubishi kupującym auta w salonie wirtualnym oferuje do 30 tys. zł zniżki, rabat w Oplu sięga 8 tys. zł. „Wirtualne” lub „internetowe” salony otworzyły też takie marki jak np. Audi, Ford, Kia, Lexus, Seat, Škoda, Toyota czy Volkswagen. Niektórzy dealerzy na własną rękę rozwijają internetowy kanał sprzedaży.

Cały proces zakupu odbywa się elektronicznie. Z handlowcem rozmawia się za pomocą komunikatora wideo, bez wychodzenia z domu załatwia się też wszystkie formalności – od umowy zakupu do ubezpieczenia. Kupując auto zdalnie, można też liczyć na korzystniejsze warunki leasingu czy wynajmu długoterminowego. Nawet na jazdę testową nie trzeba jechać do salonu. Dealer może podstawić odkazane i ozonowane auto pod dom klienta. W czasie pandemii samochodów przetestujemy bez handlowca na fotelu pasażera.

Aby pozyskać kupujących, branża coraz częściej oferuje całkowicie wirtualne zakupy – nowe, lśniące auto pracownik dealera przywiezie więc prosto pod dom, a kluczyki przekaże w odkazanym pudełku. Taka usługa nie jest jednak jeszcze powszechna i w niektórych przypadkach może być dodatkowo płatna. Część marek odbiór nowego samochodu umożliwiała nadal jedynie w swoich salonach. Obowiązują w nich jednak dodatkowe środki ostrożności: personel chodzi w rękawiczkach, a pracownicy dbają o zachowanie odpowiedniej odległości od klientów.

TABLICE OD KURIERA?

Bezproblemowy proces zdalnego zakupu aut psują jednak urzędnicy. Co prawda dokumenty niezbędne do rejestracji dealerzy mogą przelać nam prosto do domu, ale już do urzędu w celu rejestracji trzeba pofatygować się osobiście.

W maju polski Związek Dealerów Samochodów – zrzeszający 70 proc. dealerów w całej Polsce – wystosował więc list do ministra cyfryzacji Marka Zagórskiego z apelem o umożliwienie zdalnej rejestracji pojazdów. W XXI w. rejestracja samochodu wciąż wymaga bowiem dwóch lub nawet trzech żmudnych wizyt u urzędników w starostwie. Trzeba najpierw złożyć wniosek w formie papierowej, poczekać łaskawie na dowód tymczasowy, a po miesiącu

odebrać „twardy” dowód rejestracyjny. Obawy przed spędzeniem kilku godzin w kolejce po tablice rejestracyjne mogą więc odstręczać od kupna nowego auta.

Tymczasem nie ma problemu – jak dowodzą dealerzy – aby wszystkie procedury załatwić drogą elektroniczną poprzez rządowy portal Gov.pl. Dokumenty i tablice do rejestrujących samochody mogłyby zaś dostarczać kurierzy, a kupujący auta nie musieliby już brać urlopu na wielogodzinne wizyty w urzędach. Cyfrowe ułatwienia wydają się niezbędne, bo według epidemiologów koronawirus zostanie z nami na dłużej. Kłopot w tym, że wydziały komunikacji to kury znośące złote jaja dla samorządów. Starostowie niezbyt chętnie widzieliby więc taką cyfrową rewolucję.

SAMOCHEDEM BEZPIECZNIEJ

Teoretycznie sama pandemia powinna zachęcić ludzi do kupna własnego auta. W czasach zarazy nie ma bowiem bezpieczniejszego środka transportu. W prywatnym samochodzie nie mamy przecież kontaktu z nikim obcym, a więc unikamy potencjalnego zakażenia. W autobusach czy tramwajach nie wszyscy pasażerowie noszą maseczki i trzymają bezpieczny odstęp. Więcej osób do pracy będzie więc chciało dojeżdżać swoim prywatnym samochodem.

Podobnie będzie z wyjazdem na wakacje. We wcześniejszych latach dynamiczny rozwój tanich linii lotniczych sprawił, że wiele osób na urlop wybierało się tylko samolotem – taka podróż pozwalała bowiem zaoszczędzić zarówno czas, jak i pieniądze. W tym roku do łask wrócą jednak samochody. Po pierwsze dlatego, że branża lotnicza potrzebuje czasu na przystosowanie się do „nowej normalności”, a podróży kolejną wiele osób będzie się obawiać. Po drugie zaś cena litra paliwa w wielu miejscach Polski spadła już poniżej 4 zł, co sprawia, że podróże własnym autem stały się dużo tańsze. Kłopot w tym, że towarzyszący pandemii kryzys gospodarczy i szybki wzrost bezrobocia ograniczyły siłę nabywczą wielu potencjalnych klientów. Nawet ci, których stać na zakup nowego auta, wolą teraz wstrzymać się z wydawaniem oszczędności.

Koronawirus zadał wyjątkowo mocny cios nie tylko dealerom, lecz także światowym producentom aut, zmuszając wielu z nich do całkowitego

Z powodu pandemii COVID-19 japońska firma Mitsubishi premierę najnowszego Outlandera PHEV zorganizowała on-line

FOT. YOUTUBE/MITSUBISHI MOTORS POLSKA



■ wstrzymania produkcji. Toyota szacuje, że jej przychody w tym roku spadną o 80 proc., a sprzedaż nowych samochodów tej marki spadnie z 10,46 mln do 8,9 mln. – Pandemia COVID-19 jest dla nas poważniejszym szokiem niż globalny kryzys finansowy w roku 2008 – przyznał podczas internetowego briefingu dla mediów szef japońskiego koncernu Akio Toyoda. Inne wielkie koncerny, np. Honda Motor czy General Motors, ze względu na niepewność wywołaną koronawirusem nawet nie próbują ogłaszać konkretnych prognoz.

Według analityków cytowanych przez CNBC globalna sprzedaż nowych samochodów może spaść nawet o ponad 30 proc. Dla porównania podczas światowego kryzysu finansowego spadek ten wynosił ok. 11 proc. Z kolei brytyjska organizacja zrzeszająca producentów i sprzedawców samochodów SMMT prognozuje, że nawet po zniesieniu obostrzeń dotyczących przemieszczania się sprzedaż nowych samochodów w całym 2020 r. spadnie do 1,68 mln z 2,25 mln egzemplarzy prognozowanych jeszcze w styczniu obecnego roku.

Według chińskiego stowarzyszenia producentów samochodów (VAAM) w całym roku sprzedaż będzie niższa niż rok wcześniej o 15–25 proc. Dla Chin to podwójnie zła wiadomość. Przemysł motoryzacyjny odgrywa bowiem ważną rolę w gospodarce Państwa Środka – daje zatrudnienie ponad 40 mln osób i każdego roku generuje 1 bln dol. przychodów. Chiński rynek jest również bardzo ważny m.in. dla europejskich i amerykańskich produ-

centów – Volkswagen czy General Motors sprzedają w Chinach niemal połowę wyprodukowanych samochodów. Władze w Pekinie, aby zachęcić obywateli do kupna nowych aut, ogłosiły przedłużenie programu subsydiów i ulg podatkowych na zakup nowych samochodów elektrycznych lub hybrydowych. Dodatkowo władze niektórych prowincji mają też swoje programy zmierzające do zwiększenia popytu na auta – w większości przypadków to po prostu gotówka dla kupującego. Wysokość takich zachęt dochodzi niekiedy do równowartości 6 tys. zł.

PREMIA ZA ZAKUP AUTA?

W Polsce rząd zamierzał już na początku roku wprowadzić dopłaty do samochodów elektrycznych, których maksymalna wartość miała wynosić nawet 37,5 tys. zł. Przepisy wciąż nie weszły jednak w życie i na razie nie wiadomo, kiedy władze w Warszawie zaczną zachęcać klientów do zakupu nowych ekologicznych aut.

Tymczasem spadająca sprzedaż samochodów to poważny problem również dla europejskich producentów części do nich. Cała branża motoryzacyjna w Unii Europejskiej zatrudnia bowiem niemal 14 mln osób, co stanowi ponad 6 proc. całkowitego zatrudnienia w UE i odpowiada za 7 proc. PKB. Tylko w krajach Grupy Wyszehradzkiej (V4) – odpowiadających za jedną piątą całkowitej unijnej produkcji samochodów – w sektorze motoryzacyjnym bezpośrednio zatrudnionych jest 650 tys. osób, a pośrednio ponad 1,3 mln. Wiele firm już zaczęło cięć kosztów i rozważa

zwolnienia na niespotykaną dotąd skalę. Problemy gigantów mogą przełożyć się również na kłopoty polskich firm, będących ważnymi dostawcami podzespołów i części samochodowych. Polski Związek Przemysłu Motoryzacyjnego oraz Czeski Związek Przemysłu Motoryzacyjnego, Związek Przemysłu Motoryzacyjnego Republiki Słowacji oraz Węgierski Związek Importerów Pojazdów w maju zwróciły się więc z apelem do krajowych rządów, parlamentów i instytucji UE o konstruktywne działania przywracające branżę do normalności po kryzysie COVID-19.

Malejący popyt to bowiem tylko jedno z wielu zmartwień producentów. Chociaż w wielu fabrykach wrócono już do pracy, to nowe regulacje dotyczące utrzymywania dystansu oraz zapewnienia bezpieczeństwa pracownikom nawet dla największych koncernów stanowią ogromne wyzwanie. Szczegółowa instrukcja dotycząca ponownego otwarcia fabryk Forda liczy aż 64 strony. Jakby tego wszystkiego było mało, branża obawia się również wejścia w życie nowych przepisów, w tym nowych wymogów dotyczących norm Euro 6/VI, które wkrótce mogą jeszcze bardziej osłabić przemysł motoryzacyjny.

Wraca również temat tzw. premii wrakowych, które wprowadzono w kilkunastu krajach Europy podczas globalnego kryzysu gospodarczego (w Niemczech było to nawet 2,5 tys. euro). Specjalne dopłaty za złomowanie starych, paliwożernih samochodów 11 lat temu wprowadzono również w Stanach Zjednoczonych. Sukces tego programu przeszedł najśmielsze oczekiwania, dzięki czemu udało się uratować przed bankructwem największych amerykańskich producentów, a także przyspieszyć ożywienie całej amerykańskiej gospodarki. Premie za złomowanie starych aut, a także zwolnienie z podatku od zakupu aut hybrydowych podczas kryzysu finansowego otrzymywali też Japończycy.

Również teraz branża motoryzacyjna oczekuje pomocy w ponownym rozruchu. Władze w Berlinie prowadzą już wstępne rozmowy z przedstawicielami takich gigantów jak BMW, Daimler czy Volkswagen. A co z polskimi kierowcami? Podczas poprzedniego kryzysu nie mogli oni liczyć na ulgi. Szkoda, że również teraz nie słychać ani o obiecanych dopłatach, ani o ulgach podatkowych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Transport napędzany gazem od PGNiG

Poprzez gwarancję dostaw i niską cenę paliw przyczyniamy się do dynamicznego wzrostu liczby nowych pojazdów z napędem gazowym w Polsce. Rosnąca popularność gazu w transporcie jest również związana z regulacjami wprowadzanymi przez polski rząd, takimi jak zniesienie podatku akcyzowego na paliwo gazowe dla transportu czy ustawa o elektromobilności i paliwach alternatywnych. Cieszymy się, że te działania przyniosą skutek, ponieważ szerokie wykorzystanie paliw gazowych w transporcie, to przede wszystkim szansa na poprawę jakości powietrza w Polsce – mówi Jerzy Kwieciński, Prezes Zarządu PGNiG SA.

Według danych Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego w 2019 r., z łącznej liczby 1032 zakupionych nowych miejskich autobusów, aż 182 posiadało napęd CNG, co stanowi 22 proc. udział

Gazomobilność, czyli transport oparty na gazie ziemnym, staje się w Polsce faktem. Na wykorzystanie ekologicznych i tanich paliw gazowych – CNG (sprężony gaz ziemny) i LNG (skroplony gaz ziemny) – decydują się kolejni przewoźnicy autobusowi, firmy transportowe, komunalne, a także przedsiębiorcy i zwykli kierowcy. Grupa Kapitałowa PGNiG planuje między innymi budowę dodatkowych 38 stacji tankowania w przyszłym roku.

aż 41 zasilanych jest gazem CNG. To oznacza blisko 33 proc. udział wśród autobusów zarejestrowanych w tym okresie.

– Gazowa rewolucja na polskich drogach stała się faktem. Przewoźnicy coraz częściej wybierają pojazdy napędzane paliwem CNG czy LNG, ze względu na walory ekologiczne i niską cenę paliwa – podkreśla Marcin Szczudło, Wiceprezes Zarządu PGNiG Obrót Detaliczny.

Rzeszów, Tychy, Łomża, Suwałki czy Bielsko-Biała. Dzięki temu w najbliższym czasie po polskich drogach będzie jeździć łącznie ponad 620 autobusów gazowych zasilanych ekologicznym gazem CNG. Oznacza to wzrost liczby tego typu pojazdów o 75% względem roku 2016. PGNiG szacuje, że do 2023 r. po ulicach polskich miast będzie jeździć ponad 1500 autobusów zasilanych gazem CNG (lub LNG).

maja, dzięki skutecznym działaniom sprzedażowym, podpisaliśmy umowę na dostawę paliwa CNG dla Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania w Krakowie – dodaje Marcin Szczudło.

Sprężonym gazem CNG będzie napędzanych 18 nowych pojazdów ciężarowych

i dostawczych, należących do floty MPO w Krakowie. Według szacunków PGNiG Obrót Detaliczny liczba pojazdów komunalnych zasilanych CNG od 2016 roku w Polsce wzrosła o ponad 130%!

– Z naszych stacji tankowania CNG korzystają również firmy kurierskie, taksówkarze, a także piekarnie, hurtownie spożywcze czy pralnie. Ponadto, z danych PZPM wynika, że do 31 marca 2020 r. w Polsce było zarejestrowanych blisko 3000 samochodów osobowych napędzanych gazem ziemnym, a paliwo CNG/LNG cieszy się coraz większą popularnością w tym segmencie. W przyszłym roku Grupa PGNiG planuje budowę dodatkowych 38 stacji sprężonego gazu – deklaruje Wiceprezes PGNiG Obrót Detaliczny.

Warto przypomnieć, że cena paliwa CNG na stacjach PGNiG Obrót Detaliczny jest obecnie na najniższym od 2 lat poziomie i wynosi mniej niż 3 złote za metr sześcienny. Jest to jeden z powodów, dla których rynek paliw gazowych staje się w Polsce coraz bardziej konkurencyjny.

Według danych Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego (PZPM) w 2019 r. z łącznej liczby 1032 zakupionych nowych miejskich autobusów aż 182 posiadało napęd CNG, co stanowi 22 proc. udział w rynku. Dane za I kwartał 2020 r. są jeszcze bardziej optymistyczne

w rynku. Dane za I kwartał 2020 r. są jeszcze bardziej optymistyczne – na 125 wszystkich nowozarejestrowanych autobusów miejskich

Na wykorzystanie gazu ziemnego do zasilania pojazdów użyteczności publicznej, zdecydowały się: Warszawa, Tarnów, Kielce,

– Popularyzacja gazu jako paliwa dotyczy to nie tylko autobusów, ale również transportu ciężkiego czy firm komunalnych. Na początku



FOT. JAN BODACZ/TYPIST NEWS

Tanajno – czyli kto?



Tomasz Cukiernik

Kim jest kandydat na prezydenta RP, który rozkręcił protesty przedsiębiorców przeciwko rządowym ograniczeniom prowadzenia działalności gospodarczej w czasie pandemii?

Uczestnictwo Pawła Jana Tanajno w warszawskim strajku przedsiębiorców 7 maja zakończyło się kilkugodzinnym zatrzymaniem go przez policję w Legionowie. Został wypuszczony bez dodatkowych problemów, ale to nie pierwsza taka sytuacja. – Wygląda na to, że Paweł zaczyna lubić nocne przejażdżki radiowozem. Zwiedził już Legionowo i Nowy Dwór Mazowiecki, ponoć następny wypad skończy się na Podlasiu. To, że prawdopodobnie następne internowanie będzie gdzieś w komendzie na Podlasiu, przekazał mu jeden z policjantów – mówi Łukasz Pająk, szef sztabu wyborczego kandydata na prezydenta Polski Pawła Tanajno.

Tuż przed protestem, podczas debaty prezydenckiej w TVP, Tanajno nie odpowiadał na pytania prowadzącego. Zamiast tego powtarzał tezę o ekstermi-

nacji polskich przedsiębiorców przez rząd PiS i zapraszał do facebookowej grupy „Strajk Przedsiębiorców”. Mówił o obłudzie i kłamstwach polityków. Oskarżył prezydenta Andrzeja Dudę i premiera Mateusza Morawieckiego o zagładę polskiej gospodarki, o fale bankructw, obniżek pensji i zwolnień. Dodał, że to nie wirus niszczy polskie firmy, ale nieodpowiedzialność polityków, brak pomysłów i zwykłe lenistwo.

POLITYCY TO GAMONIE

Tanajno to urodzony w 1975 r. warszawiak. Nie ukończył studiów prawniczych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, ale ma wykształcenie wyższe z zarządzania (licencjat w Wyższej Szkole im. Bogdana Jańskiego w Warszawie). Ten mąż i ojciec córki oraz trzech synów przede wszystkim jest przedsiębiorcą. – Mój największy sukces to moja zdolność

do przedsiębiorczości. Przez całe moje życie utrzymuję się z jakichś przedsięwzięć biznesowych, większych, mniejszych i zawsze mi się to udaje. Na tym polu największym moim błędem było to, że w 2001 r. po kryzysie związanym z bańką internetową zlekceważyłem inwestycje w sektor sprzedaży internetowej, bo być może dzisiaj bym był największym potentatem na skalę europejską, jeśli chodzi o sprzedaż komputerów, a niestety przegapiłem ten moment – opowiada Tanajno.

Związany był z wieloma ugrupowaniami. Należał do PO na początku jej istnienia, a w latach 2012–2019 do partii Demokracja Bezpośrednia. Współpracował także z Ruchem Poparcia Palikota, Kukiz'15 oraz Partią Kobiet.

Startował w różnych wyborach z list różnych ugrupowań – zawsze bezskutecznie. W 2002 r. Tanajno kandydował do rady warszawskiej dzielnicy Mokotów. W wyborach prezydenckich w 2015 r. uzyskał 0,2 proc. ważnych głosów, zajmując ostatnie miejsce. W tym samym roku nie zdobył mandatu poselskiego w wyborach parlamentarnych. W 2018 r. w wyborach samorządowych, startując na stanowisko prezydenta Warszawy, dostał zaledwie 0,42 proc. głosów. Nie udało mu się uzyskać mandatu także rok później w wyborach do Parlamentu Europejskiego. – Jeśli chodzi o sprawy publiczne, to moja największą porażką było to, że w ogóle zaufałem jakimkolwiek politykom i angażowałem się w takie projekty jak Platforma Obywatelska czy Ruch Palikota, a jednocześnie te porażki doprowadziły mnie do wielkiego sukcesu, jakim jest świadomość tego, że nieważne są tak naprawdę barwy polityczne w tej chwili, tylko najważniejsza jest walka o suwerenność obywateli, bo to ona jest wartością, od której zaczyna się wszystko – zaznacza Tanajno, który polityków i urzędników nazywa gamoniami.

Jakie poglądy ma Tanajno? – Ja jestem liberałem. Kocham wolność. Tylko liberałowie chcą zarówno wolności gospodarczej, jak i światopoglądowej. Lewica chce, aby w szkole były lekcje gender – chce wykorzystać aparat państwa do tego, aby wszyscy zgodnie z jej światopoglądem mieli kontakt z tą nauką, prawica znowu domaga się lekcji religii, a liberał chce, żeby szkoła uczyła matematyki, fizyki i żeby w ogóle nie zajmowała się sprawami światopoglądowymi – mówi Tanajno, który jest też entuzjastą marihuany.

– Jeżeli słowo „wolnościowiec” rozumiemy przez kwestie i gospo-

darce, i światopoglądowe, to jest on zdecydowanie wolnościowcem – dodaje Pająk. I rzeczywiście wśród postulatów gospodarczych Tanajny można znaleźć deregulację gospodarki czy zmniejszenie biurokracji. Jednak inne jego propozycje nie są już tak jednoznaczne.

Na przykład z jednej strony mówi o nadmiernym fiskalizmie i konieczności likwidacji PIT lub podniesienia kwoty wolnej, a z drugiej strony w 2015 r. twierdził, że obecnie mamy optymalną wysokość podatków, a od ich wysokości ważniejsza jest ich prostota. W wywiadzie z radiową Jedynką pięć lat temu Tanajno stwierdził, że w Polsce nie trzeba robić cięć budżetowych, żeby było lepiej, lecz jedynie zwiększyć efektywność.

Nie do końca jasne są też jego poglądy socjalne. Podczas kampanii wyborczej w 2015 r. na swojej stronie internetowej pisał o „końcu z zasiłkami”, ale był zwolennikiem wysokiego wsparcia dla rodzin wielodzietnych i dopłacania dla najmniej zarabiających na zasadzie bezwarunkowego dochodu podstawowego czy ujemnego podatku dochodowego Milтона Friedmana.

W ostatnim czasie Tanajno kojarzony jest przede wszystkim z jego inicjatywą strajku przedsiębiorców, której grupa na FB liczy już 241 tys. członków. – Walczymy z obłudą Mateusza Morawieckiego, który nie robi nic, nie uratował żadnego miejsca pracy, za to robi wszystko, abyście wy, Polacy, stracili miejsca pracy w prywatnych przedsiębiorstwach albo żeby wam obniżono pensje – mówił Tanajno 8 maja podczas protestu w Warszawie.

Pomoc polskim firmom w walce o przetrwanie w sytuacji tak naprawdę zablokowania możliwości prowadzenia działalności gospodarczej, co w wielu przypadkach prowadzi je wprost do bankructwa, jest jak najbardziej szlachetna i słuszna. – Zaczęło się na początku kwietnia po tym, jak przedłużono dwutygodniową kwarantannę, rozszerzono jej zakres i okazało się, że zostaliśmy wszyscy oszukani przez Morawieckiego. To była odpowiedź na bezmyślną kwarantannę i oszustwa rządu w zakresie sposobu przeprowadzenia tej kwarantanny, a następnie oszustwa rządu co do rzekomej pomocy zamiast po prostu odszkodowań – zaznacza Tanajno. – Jestem uparty jak osioł i dlatego nie odpuszczę tej PiS-owskiej bandzie poniesienia odpowiedzialności za to, co zrobili – zapewnia.

Nie wszyscy jednak wierzą w czyste intencje Tanajny. Niektórzy komentatorzy uważają, że protestami przedsiębiorców chce wyłącznie zbić kapitał polityczny. Został nawet określony „KOD-em po recyklingu”. Na strajku przedsiębiorców dostrzeżono obecność osób kojarzonych z Komitetem Obrony Demokracji czy Obywatelami RP. „A obok kandydata Tanajno śliczne resortowe bużki oraz resortowi dziennikarze” – napisał na FB dr Tomasz Sommer, redaktor naczelny „Najwyższego Czasu!”.

(NIE)CZyste intencje?

Tomasz Elbel, sympatyk Konfederacji z Jeleniej Góry, oskarża Tanajnę o koniunkturalizm i ostrzega, że na takie osoby trzeba uważać. – Przecież to, co robi Tanajno, służy jako element kampanii wyborczej. W ten sposób liczy na zwiększenie sobie poparcia kosztem... no, kogo? Ano jedynego ugrupowania, które każdego dnia daje wyraz poparcia dla polskich małych i średnich firm – Konfederacji. Tak, Tanajno liczy na to, że sympatycy właśnie Konfederacji zagłosują na niego – uważa Elbel, podkreślając, że biznesmeni ostro krytykował wszystkie partie Korwin-Mikkego.

– Jest kreowany na nowego Palikota – spekuluje Przemysław Holocher, wydawca magazynu „Magna Polonia”. – Patrząc na niektóre media, takie jak TVN24, Onet, Interia czy „Gazeta Wyborcza”, możemy wysnuć przypuszczenie, że jest to akcja sterowana ku temu, żeby wypromować Pawła Tanajnę. Mogę się mylić, bo nie jestem jasnowidzem, ale trzeba umieć interpretować znaki. Czas pokaże, jednak trzeba zachować daleko idącą ostrożność. Może to zostać wykorzystane do realizacji bliżej nam nieznanych interesów, przecież w ostatnich latach mieliśmy istny wysyp tzw. antysystemowców – podsumowuje.

Także sami przedsiębiorcy są podzieleni w kwestii intencji Tanajny. – Działania Tanajny oceniam pozytywnie. Myślę, że nie chodzi mu o promowanie siebie, politycznie przecież nic na tym nie zyska. Gdyby miał w d... przedsiębiorców, to nie robiłby zadymy w Warszawie – mówi Wojciech Kotyla, właściciel firmy ze Śląska. – Moim zdaniem w pierwszej kolejności Tanajno reprezentuje przedsiębiorców. Kampania jest dla niego tłem. Przedsiębiorcy nauczeni są zarabiać, a w obecnej chwili stoją lub notują duże spadki obrotów, a proponowane przez

rząd tarcze nie pokrywają kosztów. I tu właśnie pojawia się Tanajno, który mówi o tym głośno – podkreśla.

Są nawet głosy, że celem ataków na Tanajnę jest skłócenie przedsiębiorców organizujących się przeciwko koronawirusowym restrykcjom rządu PiS, aby w ten sposób osłabić protesty. – Jedynymi osobami, które nie wierzą w moje szczere intencje, są PiS-owskie trolle i cała machina PiS-owskiej propagandy, która próbuje zrobić ze mnie wariata, oszusta i nie wiadomo co tam jeszcze. Nie spotkałem się, aby ludzie normalni kiedykolwiek mi powiedzieli, że nie wierzą w moje szczere intencje, bo każdy racjonalnie myślący człowiek nie ma żadnych wątpliwości, że to jest szczere, ponieważ jestem przedsiębiorcą, więc ja mam to także w moim interesie, tym samym, o który oni walczą, więc trudno tu w ogóle kwestionować moją szczerość – zapewnia Tanajno.

– Charakteryzuje go ideowość objawiająca się tym, że nie interesują go stołki, tylko szerzenie idei, szeroko rozumianej idei liberalnej. Dał się poznać jako osoba godna zaufania i rzetelna – przekonuje Pająk.

Jednak już np. taksówkarze mają mu za złe, że bojkotował ich protest i popiera aplikacje takie jak Uber. – Tanajno „uderzył” w niszę, o której żaden z kandydatów nie pomyślał. Przedsiębiorcy od zawsze byli traktowani jako dojne krowy. On wychodzi do ludzi i mówi: „Ja będę waszym przywódcą, ale pójdźcie za mną i głosujcie na mnie” – mówi anonimowo właściciel firmy transportowej z Zielonej Góry. Nie tylko taksówkarze mają wątpliwości. Tanajno straszył procesem sądowym w trybie wyborczym Arkadiusza Władykę, właściciela firmy Fabryka Niskich Cen, za to, że publicznie zadał mu pytanie, dlaczego nie szanuje polskich przedsiębiorców i traktuje ich instrumentalnie. – Dla pana Tanajny igrzyska to jest istota życia i śmierci. Im większy dym, tym jest lepiej. Nie mówię, że tak jest, ale odczuwam, że jeśli jakieś zdarczenie go nie promuje, to nie bierze w nim udziału. On się z każdym zwiąże, byle tylko dojść do władzy – uważa Marek Jarocki, przedsiębiorca z branży logistycznej, który dla ruchu Tanajny organizował protesty przedsiębiorców w Katowicach.

Kto ma rację? Wydaje się, że prawdziwe intencje Pawła Tanajny zweryfikuje czas. Po wyborach prezydenckich będziemy wiedzieli, czy nadal jest chętny do działań na rzecz przedsiębiorców.



Jakub Wozinski

Koronawirus stworzył dla koncernów farmaceutycznych okazję do świetnego zarobku. Nawet jeśli skuteczne leki czy szczepionki nie powstaną zbyt szybko, to wielcy gracze i tak świetnie zarobią



Farmaceutyczne złote żniwa

Pomimo że wyobraźnię milionów osób na całym świecie do czerwoności rozpałała zapowiedź Billa Gatesa, że jego fundacja zamierza przeznaczyć 125 mln dol. na przyspieszenie i koordynację prac nad szczepionką przeciwko koronawirusowi, w ostatecznym rozrachunku suma ta wydaje się dość skąpa. Naprawdę wielkie pieniądze na znalezienie remedium na najbardziej zaskakującą infekcję XXI w. przeznaczają bowiem sami podatnicy, choć najczęściej w ogóle o tym nie wiedzą.

WYŚCIG POTENTATÓW

Na początku marca prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump spotkał się z przedstawicielami najważniejszych amerykańskich koncernów farmaceutycznych. W spotkaniu wzięli udział m.in. przedstawiciele firm Johnson & Johnson, Pfizer, Gilead Sciences czy też Regeneron. Liczba zakażonych w USA nie była jeszcze

wówczas szczególnie duża, lecz dla wszystkich było jasne, że koronawirus wdrze się wkrótce z impetem także do Ameryki. Trump chwalił rodzimy przemysł farmaceutyczny za wielkie osiągnięcia, choć jeszcze na początku swojej kadencji był z nim w konflikcie i groził wprowadzeniem istotnych zmian w listach leków refundowanych. Skala gospodarczych zniszczeń wywołanych przez koronawirusa spowodowała jednak, że branża farmaceutyczna ma dziś dla amerykańskiego prezydenta kluczowe znaczenie.

Na świecie trwa obecnie wielki wyścig o opracowanie skutecznej szczepionki, a także leku zdolnego pomóc w walce z chorobą COVID-19. W wyścigu tym realnie biorą jednak udział przede wszystkim wielkie podmioty, które są w stanie spełnić wyśrubowane przez lata normy, faktycznie uniemożliwiające wejście na rynek nowym graczom. Najsilniejszą pozycję od lat posiadają firmy amerykańskie, które generują

ok. 33 proc. całego globalnego przychodu branży (na liście 10 największych koncernów świata aż sześć zlokalizowanych jest w USA). Oprócz nich tradycyjnie silne są firmy z Europy Zachodniej i Japonii, a ostatnio także z Chin.

Bill Gates z pewnością zarobi na produkcji leków i szczepionek na koronawirusa, ale dlatego, że od dawna posiada udziały w czołowych firmach farmaceutycznych. Te zaś doskonale wiedzą, jak wykorzystać istniejące regulacje, żeby zmaksymalizować swoje zyski. Świetną okazję do tego dają m.in. przepisy o tzw. lekach sierocych, czyli wykorzystywanych w rzadko występujących chorobach. Obliczono, że ich stosowanie jest średnio ok. 20 razy bardziej kosztowne niż w przypadku środków używanych do leczenia bardziej pospolitych schorzeń, dlatego państwa dopłacają do badań nad nimi oraz refundują ich zakup. Amerykańskie koncerny od lat nadużywają ustawo-

dawstwa dotyczącego leków sierocych, stosując kruczki prawne i zyskując tym samym specjalne zwolnienia i dopłaty. W Stanach Zjednoczonych od 2015 r. aż połowa wszystkich leków dopuszczanych każdego roku na rynek ma status „sierocy”, a wartość ich rocznej sprzedaży ma osiągnąć w 2020 r. aż 176 mld dol.

SIEROCY LEK NA GLOBALNĄ CHOROBE

Pole do nadużyć, jakie dają przepisy o lekach sierocych, wykorzystano także w przypadku badań nad lekarstwem na COVID-19. Wykorzystano w tym celu zapis, że rzadko występująca choroba musi mieć mniej niż 200 tys. przypadków w chwili przyznania specjalnego statusu. Jak wiadomo, liczba przypadków choroby wywołanej przez koronawirusa już dawno przekroczyła ten poziom, co spowodowało, że amerykańskie firmy farmaceutyczne znalazły się w ogniu krytyki. Jedną z nich, kalifornijski potentat Gilead Sciences, zrezygnowała niedawno pod naciskiem opinii publicznej ze statusu leku sierocego dla swojego specyfiku o nazwie Remdesivir, który w ostatnim czasie stał się jedną z największych nadziei na skuteczną walkę z koronawirusem.

Pierwotnie Remdesivir został stworzony z myślą o leczeniu gorączki wywołanej przez wirus eboli, lecz coraz więcej badań pokazuje jego skuteczne działanie także w przypadku zakażenia koronawirusem. Wielkie nadzieje związane ze skutecznością leku sprawiły, że akcje Gilead Sciences na nowojorskiej giełdzie błyskawicznie zdrożały, a chwilowo zyskała także cała giełda. Kalifornijski potentat już raz w swojej historii wyprodukował lek, który okazał się prawdziwym przełomem. W 2004 r. wprowadził na rynek specyfik o nazwie truvada, który okazał się niezwykle skuteczny w walce z AIDS. Pomimo sporów prawnych dotyczących praw do produkcji leku Gilead Sciences zarobił na nim w ciągu ostatnich 15 lat aż 30 mld dol. Inwestorzy liczą, że i tym razem spółka odniesie spektakularny sukces.

NIEFORMALNY KARTEL

Najczęstsze zarzuty podnoszone przeciwko wielkiemu koncernom farmaceutycznym dotyczą właśnie tego, że pomimo czerpania pełnymi garściami z funduszy publicznych przywłaszczają sobie na wyłączność profity ze sprzedaży nowych leków. Dzieje się tak praktycznie

od samych początków istnienia przemysłu farmaceutycznego. W przypadku USA największe gracz na rynku nie zmieniają się od pierwszego rządowego programu z 1941 r., który miał za zadanie uruchomienie masowej produkcji penicyliny. W tym celu zawieszono nawet działanie ustawodawstwa przeciwdziałającego tworzeniu karteli. Lista kilkunastu firm, które otrzymały wówczas dofinansowanie i specjalne przywileje, pokrywa się niemal w całości z obecną listą największych firm farmaceutycznych (część z nich stała się przedmiotem fuzji).

Wielkie koncerny farmaceutyczne prowadziły przez lata na tyle skuteczny lobbying, że obowiązujące obecnie w wielu krajach świata przepisy w praktyce wykluczają możliwość wejścia na rynek nowych graczy. Sztucznie wyśrubowane standardy, obowiązkowy wieloletni cykl badań czy też konieczność utrzymywania niezwykle drogich w utrzymaniu centrów badawczych sprawiają, że cała branża potrafi skutecznie narzucić wysokie ceny wielu leków, nie stanowiąc dla siebie realnej konkurencji.

Pokazem siły branży farmaceutycznej była m.in. epidemia świńskiej grypy z 1976 r., gdy pomimo wyprodukowania ponad 100 mln szczepionek koncerny odmówiły ich sprzedaży bez podpisania przez amerykański senat odpowiednich ustaw zabezpieczających ich dochody oraz ograniczających odpowiedzialność prawną. W ostatnich latach zaś wielkie koncerny farmaceutyczne splamiły się bezkompromisową walką z państwami zmagającymi się z wirusem HIV. Indie czy też RPA próbowały od lat zaradzić problemowi, znosząc obowiązywanie patentów na leki pomagające walczyć z groźnym wirusem. Reakcja koncernów była bezwzględna: wytoczono wiele procesów oraz zagrożono likwidacją oddziałów zlokalizowanych na terenie niepokornych państw.

SZEROKI DOSTĘP DO SZCZEPIONEK?

W ostatnich dniach niektóre koncerny farmaceutyczne zapowiedziały, że w razie ewentualnego odkrycia skutecznej szczepionki przeciwko COVID-19 zostanie ona udostępniona za darmo, tak aby skorzystać z niej mogło jak najwięcej osób. Taką deklarację złożyły m.in. brytyjski GlaxoSmith Kline, współpracujący w dziedzinie badań nad najbardziej poszukiwaną szczepionką z francuskim Sanofi. Nie od dziś wiadomo zresztą,

że produkcja szczepionek nie jest dla koncernów szczególnie dochodowym zajęciem. Największe zyski generują leki na choroby przewlekłe, gdyż popyt na nie nie ogranicza się do jednorazowego użycia przez jednostkę na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Od dłuższego czasu kolejne koncerny rezygnują nawet z produkcji nowych antybiotyków, ponieważ lek stosowany kilka-kilkanaście razy w ciągu życia pacjenta nadal jest dla nich nieopłacalny.

Trwająca pandemia wcześniej czy później sprawi, że posiadane przez globalne koncerny patenty na najbardziej skuteczne leki hamujące rozwój choroby wywołanej przez zakażenie koronawirusem staną się przedmiotem ataku ze strony mniej zamożnych krajów. Zgodnie z przepisami prawa międzynarodowego (oraz

Pole do nadużyć, które dają przepisy o lekach sierocych, wykorzystano także w przypadku badań nad lekarstwem na COVID-19

regułami członkowskimi m.in. WHO) poszczególne państwa mają w wyjątkowej sytuacji prawo przyznać poszczególnym podmiotom, które nie są właścicielami odpowiednich patentów, przywilej produkcji wybranych leków na własny użytek. Z tego zapisu nie korzystano do tej pory zbyt często, lecz nadchodzący kryzys gospodarczy będzie z pewnością ograniczał możliwości finansowe milionów ludzi. Pojawi się więc presja, aby skuteczne leki wspomagające były bardziej dostępne.

Prowadząc badania nad remedium na koronawirusa farmaceutyczni potentaci walczą tym razem o coś więcej niż tylko o kolejny patent. Skala gospodarczych zniszczeń spowodowanych przez obecną pandemię jest na tyle duża, że chodzi tak naprawdę o uratowanie ogromnego rynku zbytu. Rynek farmaceutyczny na całym świecie jest wart ponad 1,2 bln dol., dlatego wysiłki na rzecz opanowania obecnej pandemii będą nieporównanie większe niż w przypadku wirusa eboli czy też HIV. Jeżeli farmaceutyczni potentaci chcą utrzymać swoje ogromne zyski, to muszą najpierw sprawić, aby świat powrócił do normalności.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Szwecja czy Polska?

Ktoś słusznie zauważył, że powinniśmy być wdzięczni rządowi Szwecji choćby tylko za to, iż nie wprowadzając w związku z pandemią COVID-19 większości restrykcji, które zafundowała swym narodom większość rządów w Europie (i nie tylko), w tym rząd Polski, dał wszystkim szansę przekonać się, kto w tej sprawie ma rację.

To dzięki władzom Szwecji mamy bowiem niecodzienną możliwość porównywania, jak przebiega walka z pandemią w dwóch odmiennych reżimach: szwedzkim – wolnościowym – i pozostałych – pełnych restrykcji; rzecz jasna, przy uwzględnieniu różnic w relacjach społecznych i stanie służby zdrowia w Szwecji i w innych krajach.

Aw rezultacie mamy okazję zorientowania się, ile błędna reakcja na pandemię (zbyt wolnościowa lub zbyt restrykcyjna) będzie kosztować tych, w których imieniu ich rządy taką właśnie nietrafną decyzję podjęły. Czyli okazję zbadania, o ile więcej ofiar pochłonie z tego powodu COVID-19, a o ile inne choroby – w związku z faktycznym zamrożeniem (lub niezamrożeniem – tak jak w Szwecji) służby zdrowia. A także porównania, jak duży spowoduje wzrost bezrobocia, liczby bankructw firm i ich zadłużenia, jak wielki skok długu publicznego państw oraz jak głęboki i na ile trwały ubytek w PKB.

Rozstrzygnąć o tym, kto miał rację – Szwecja czy „reszta Europy” (w tym Polska) – da się pewnie nie wcześniej niż za

kilka kwartałów. Wszelako jeśli Szwecja nie zmieni swego nastawienia w walce z COVID-19 z wolnościowego na restrykcyjny, to będziemy mogli to zrobić.

Oczywiście wiedza ta niewiele zmieni. Nie przywróci życia zmarłym ani zdrowia trwale dotkniętym przez COVID-19 czy przez inne choroby – tym, którzy ucierpieli z powodu hibernacji służby zdrowia. Nie zwróci też pracy tym, którzy ją z powodu walki z pandemią utracili i jeszcze utracą, ani nie odwróci bankructw firm, które już upadły i jeszcze upadną. Ale może ułatwi niepodjęcie w przyszłości pochopnych – zbyt wolnościowych lub zbyt restrykcyjnych – decyzji. A to przecież rzecz nie bez znaczenia, a może nawet o znaczeniu kapitalnym, już wycenianym na grube setki miliardów złotych, euro i dolarów.

A przechodząc na nasze podwórko: Czy gdyby rząd Polski rozważał wejście na drogę podobną do szwedzkiej (choć chyba nie rozważał), to czy podążenie nią mogłoby się udać? Czy mogłoby się udać przy naszej temperaturze sporu politycznego, i to w czasie kampanii przed wyborami prezydenckimi, gdy niewprowadzenie restrykcji wywołałoby wprost dzięki atak wiadomo których polityków? I wiadomo których mediów, które co kilka godzin z lubością ogłaszałyby listę kolejnych „śmiertelnych ofiar reżimu PiS” – wzorem „Trybuny”, która pewnej mroźnej zimy winę za każdego zamrożonego Polaka zapisywała na konto ówczesnego rządu AWS i Unii Wolności. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Bon na zakup gazet

Naprawdę nie wiem, jak wytłumaczyć sobie, skąd w głowie minister rozwoju Jadwigi Emilewicz wziął się pomysł bonu turystycznego. To znaczy – umiem stworzyć hipotezę, ale wszystkie są dla pani premier bardzo niekorzystne. Jedna jest taka, że to skutek nacisku lobby, które chce sobie zapewnić dopływ publicznej kasy pod pretekstem wspierania biedniejszych. Inna hipoteza jest taka, że to kolejna akcja mająca na celu pobudzenie najwerniejszego elektoratu PiS, czyli uboższych etatowców. Na takiej samej zasadzie jak przed wyborami samorządowymi w 2018 r. zaserwowano rodzicom „Wyprawkę Plus” – po 300 zł na dziecko.

Jakkolwiek by to tłumaczyć, pomysł nie staje się przez to mniej szkodliwy. Po pierwsze na kpinę zakrawa wyjaśnienie pani premier, że aby nie dociągać i tak obciążonych już przedsiębiorców, każe się im w tym roku zapłacić tylko po stówie od łębka. No, może w kolejnych latach to będzie więcej, ale na razie tylko 10 proc. Resztę dołoży budżet, czyli my wszyscy – głupie 7 mld.

Druga kwestia to wpływ na ceny wypoczynku w połączeniu z nierównym traktowaniem. Nie trzeba być orłem z ekonomii, żeby zrozumieć, że jeśli setki tysięcy ludzi zainkasują na krajowy wypoczynek po 1 tys. zł, to ceny odpowiednio pójną w górę. Stracą na tym najbardziej ci, którzy bonu nie dostaną, ale przecież za niego zapłacą w podatkach, a dodatkowo będą musieli więcej wydać na wakacje.

Emilewicz tłumaczy, że chodzi o rozruszanie turystyki. To tłumaczenie dla naiwnych. W tym roku wyjazdy zagraniczne będą bardzo utrudnione, więc i tak znacznie więcej osób niż w poprzednich latach będzie chciało wypoczywać w kraju. Problemem nie są przede wszystkim pieniądze klientów, ale warunki działania hoteli, pensjonatów czy agroturystyki.

Poza tym trudno pojąć, dlaczego akurat branża turystyczna ma dostać tak potężne i wyjątkowe dofinansowanie od państwa. A co z prasą? Może bon dla każdego Polaka choćby na 100 zł miesięcznie na zakup gazet? Jak pani myśli, pani premier? ©

Silna klasa średnia to podstawa stabilności

Polska elita ekonomiczna musi być inna, nowa – warto do tych słów Jarosława Kaczyńskiego z ubiegłorocznej kampanii parlamentarnej wrócić właśnie teraz, gdy całą światową gospodarkę czeka tzw. reset. Rzeczywiście, nową elitę ekonomiczną trzeba przebudować od nowa. Co do tego pełna zgoda. Pandemia koronawirusa – paradoksalnie – może się temu przysłużyć. Jednak by tak się stało, trzeba radykalnie zmienić regulacje gospodarcze i podatkowe oraz podejście państwa do przedsiębiorców. Dlaczego to takie ważne?



Piotr Hofman, prezes Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Od ponad 30 lat za ekonomiczną elitę w naszym kraju uchodzi wąska grupa osób, która zbija majątki w nie do końca jasnych okolicznościach, w czasie tzw. transformacji ustrojowej i której powiązania z byłymi PRL-owskimi służbami i poprzednim systemem są tajemnicą poliszynela. To oczywiście efekt rozwiązań systemowych, które przyjęto na przełomie lat 80. i 90. i których konsekwencje odczuwamy do dziś. To właśnie ta wąska grupa zabiera najczęściej głos w ważnych dla gospodarki

sprawach, uchodząc za ekspertów i reprezentantów całego środowiska przedsiębiorców. Ci ludzie byli i nadal chcą być współtwórcami systemu.

Nową elitą gospodarczą powinni być niezależni finansowo polscy przedsiębiorcy. Ludzie, którzy doszli do obecnych pozycji uporem, wytrwałością, odpowiedzialnością oraz siłą charakteru i odwagą. Ludzie, którzy dzięki własnej, ciężkiej pracy, zaradności, ambicji i pomysłowości, ale co bardzo istotne – uczciwości i często intuicyjnemu wyczuwaniu potrzeb społecznych – osiągają sukces. Tacy ludzie codziennie obarczeni są ponoszeniem ciągłego ryzyka prowadzenia działalności, odpowiedzialnością za swoich pracowników i za swoje rodziny, nieustanną walką z nieuczciwą konkurencją, a także przeskakiwaniem kłód, które rzuca im pod nogi biurokracja. To ci, którzy wywodzą się z – wciąż niedocenianego – sektora małych i średnich przedsiębiorstw. Aby jednak mogli w pełni pokazać, na co ich stać, potrzebują odpowiednich warunków.

Kryzys związany z koronawirusem to doskonała okazja, by raz jeszcze przyjrzeć się otoczeniu prawno-podatkowemu, w którym muszą funkcjonować polscy przedsiębiorcy. Tym bardziej że to właśnie od tych przedsiębiorców, od ich kondycji fizycznej, psychicznej i finansowej, zależy, jak szybko Polska wróci do normalności. Po odmrożeniu gospodarki, zamiast skomplikowanych regulacji i wszechobecnej biurokracji, potrzebować będą prostych i przejrzystych rozwiązań. Zamiast obawy powinni czuć, że państwo ma do nich zaufanie, a relacje administracja – biznes muszą wreszcie być relacjami na zasadach partnerskich. Brak rozwiązań zmierzających w tym właśnie kierunku nie tylko zatrzyma proces budowy nowej elity gospodarczej, lecz także może być gwoździem do trumny dla setek

tysięcy firm, a co za tym idzie – całej polskiej gospodarki.

I jeszcze jedna, równie ważna kwestia. Od lat kulą u nogi polskiego życia gospodarczego są postępowania sądowe. Łączna długość sporu w sprawach gospodarczych przed polskim wymiarem sprawiedliwości to niemal 30 miesięcy! Tyle trwa skumulowany czas oczekiwania na wyroki sądów poszczególnych instancji. Ile było w Polsce sporów sądowych przedłużanych na wiele lat, które doprowadzały do bankructw i dramatów rodzinnych? Efektywne sądownictwo to warunek konieczny dobrze funkcjonującej gospodarki. Warto posłuchać przedsiębiorców, którzy nierzadko wolą machnąć ręką na rażącą niesprawiedliwość, niż procesować się latami przed sądami, tym bardziej, że wynik takiego rozstrzygnięcia jest przecież niepewny.

Bez radykalnych i skutecznych zmian poprawiających jakość i efektywność sądownictwa również trudno mówić o realnych szansach na szybkie zbudowanie nowej polskiej elity gospodarczej. Przyszłość i sukces każdej formacji politycznej w kolejnych wyborach będzie niewątpliwie zależał od kondycji gospodarki. O ile do dzisiaj można było mówić, że gospodarka była elementem polityki, o tyle od teraz to gospodarka będzie determinowała sukcesy polityczne. Dlatego potrzebna jest nowa, pewna swojej wartości i odpowiedzialności klasa średnia, budująca przyszłość w partnerskim porozumieniu ze świadomą tego wyzwania klasą polityczną.

*Autor jest prezesem Rady
Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl*

Rada Gospodarcza
STREFA WOLNEGO SŁOWA

Amgen pomaga walczyć z koronawirusem

Rozmowa z Gáborem Sztaniszlávem, dyrektorem generalnym Amgen w Polsce

COVID-19 kompletnie zmienił nasze życie. Co robi Amgen, aby pomóc w walce z pandemią koronawirusa?

Rzeczywiście, COVID-19 w dramatyczny sposób wpłynął na życie ludzi na całym świecie i wywołał ogromny chaos w Europie, w tym w Polsce. Już na samym początku wprowadziliśmy wiele rozwiązań, które służą walce z tą chorobą i szerzeniem się epidemii. Po pierwsze, zadbaliśmy o bezpieczeństwo naszych pracowników, zachęcając większość z nich do pracy zdalnej i przestrzegania wszystkich zaleceń wprowadzanych przez władze. Tego typu działania przyczyniły się bowiem do powstrzymania narastającej epidemii i ograniczenia skutków choroby.

Po drugie, globalnie jako Amgen już w marcu podjęliśmy decyzję o przekazaniu aż 12,5 mln dol. tym organizacjom, które bezpośrednio lub pośrednio walczą z pandemią COVID-19. Pieniądze te zostały podzielone na instytucje działające w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach, w których Amgen jest obecny. Część z nich trafiła też do polskich organizacji i jesteśmy pewni, że zostały one dobrze spożytkowane i ograniczyły rozwój epidemii.

Po trzecie wreszcie, jako firma biotechnologiczna, odpowiedzialna m.in. za wynajdywanie innowacyjnych terapii na różne poważne schorzenia i posiadająca głęboką wiedzę w zakresie opracowywania i wytwarzania przeciwciał monoklonalnych, włączyliśmy się w badania nad wirusem SARS-CoV-2 i rozpoczęliśmy prace nad lekiem na COVID-19. Połączyliśmy w tym zakresie siły z firmą Adaptive Biotechnologies, posiadającą ogromne doświadczenie w dziedzinie chorób zakaźnych.

Poza tym, naukowcy z firmy deCODE genetics, spółki zależnej Amgen, przeprowadzili w Islandii bada-



nie populacyjne dotyczące wczesnego rozprzestrzeniania się wirusa SARS-CoV-2 i określili sekwencję jego materiału genetycznego. Dzięki temu możliwe są ocena pojawiających się mutacji wirusa oraz określenie dróg jego przenoszenia. Mamy nadzieję, że wyniki tego badania pomogą w globalnych wysiłkach na rzecz ograniczenia rozprzestrzeniania się zarażeń.

Wspominał pan o wielu milionach dolarów wydanych na wspieranie różnych organizacji w wielu krajach świata. A co Amgen robi, aby pomóc w walce z epidemią COVID-19 w Polsce?

Część z tych 12,5 mln dol., o których już wspominałem, trafiło również do Polski. Dodatkowo odpowiedzieliśmy także na prośby o wsparcie od wielu polskich instytucji. Przekazaliśmy w formie darowizny 500 tys. zł z naszego lokalnego budżetu na pomoc dwóm organizacjom pozarządowym walczącym z COVID-19 oraz 14 szpitalom w różnych miastach na terenie całego kraju – od Białegostoku, Gdańska, Szczecina przez Warszawę, Łódź, Poznań do Gliwic, Chorzowa, Wrocławia czy Krakowa.

Uruchomiliśmy także program będący połączeniem globalnego oraz lokalne-

go wsparcia, udzielanego przez pracowników Amgen. Do każdej sumy darowanej indywidualnie, Amgen Foundation dokłada taką samą kwotę ze swojego budżetu, na zasadzie „złotówka za złotówkę”, do łącznej kwoty 1 mln dol. W Polsce wsparcie to będzie przekazywane do Polskiego Czerwonego Krzyża i Fundacji Siepomaga.

A co z pacjentami, którzy co prawda nie chorują na COVID-19, ale cierpią na inne poważne choroby? Czy ci, którzy stosują leki firmy Amgen, mogą być pewni, że dostawy nie zostaną przerwane i że np. osoby starsze nie będą miały problemów z dostępem do leków i kontynuowaniem terapii?

To bardzo istotna kwestia. Media pełne są informacji o skutkach pandemii oraz liczbie osób zakażonych i ofiar koronawirusa. Trzeba jednak pamiętać, że w tym samym czasie o wiele większa liczba pacjentów cierpi z powodu chorób, na które zapadła, zanim ktokolwiek usłyszał o COVID-19.

Właśnie dlatego bardzo poważnie podaliśmy do zapewnienia stabilnych dostaw naszych leków, które stosuje się w leczeniu nowotworów czy chorób metabolicznych kości. Aby mieć pewność, że za każdym razem, gdy ktoś będzie potrzebował naszego leku, zawsze otrzyma go na czas, uruchomiliśmy dodatkowe kanały dystrybucji i zwiększyliśmy nasze własne zasoby. Upewniliśmy się także co do naszych możliwości produkcyjnych i zaoferowaliśmy pomoc naszym lokalnym partnerom – hurtowniom, aptekom i szpitalom – w stworzeniu potrzebnych zapasów. Dzięki temu nie otrzymaliśmy żadnego sygnału o jakimkolwiek pacjencie, który miałby problem z dostępem do leków firmy Amgen.

Warto też zwrócić uwagę na inny aspekt tzw. lockdownu. Z powodu wprowadzonych przez władze ograniczeń – nie tylko w Polsce, lecz także w wielu innych krajach Europy – pojawiają się dodatkowe ograniczenia w leczeniu pacjentów cierpiących na choroby przewlekłe. Z naszych obserwacji wynika, że w ostatnich tygodniach doszło do dramatycznego spadku spożycia leków. To oznacza, że istotna część pacjentów cierpiących na choroby przewlekłe przerwała leczenie lub nowi pacjenci nie są wystarczająco wcześnie diagnozowani. To bardzo niebezpieczna tendencja, która może mieć niezwykle poważne konsekwencje.

Obserwujemy przypadki, w których, w obawie przed koronawirusem, cho-

rzy przerywają leczenie, nie zgłaszają się po poradę lekarską, a nawet nie korzystają z możliwości porady na odległość (tzw. teleporady), która byłaby podstawą pozyskania e-recepty. Na końcu i tak boją się pójść do apteki, aby leki wykuścić. Dodając do tego trudność z podaniem leku (jeżeli jest to iniekcja), tworzy to dość niesprzyjające warunki, w których bardzo utrudnione są możliwości kontynuacji leczenia choroby przewlekłej.

A jak wygląda dostęp do badań klinicznych Amgen? Czy są kontynuowane?

Rzeczywiście, to bardzo ważny temat, zwłaszcza dla polskiego oddziału, który jest drugi na świecie (po USA) pod względem liczby pacjentów biorących udział w badaniach Amgen. Dlatego w obliczu pandemii COVID-19 szybko zareagowaliśmy, aby zabezpieczyć wszystkim naszym pacjentom ciągłość leczenia. Uruchomiliśmy opcję dostawy leków z ośrodka bezpośrednio do domu pacjenta, oczywiście w tych przypadkach, w których było to możliwe.

Ponieważ od wielu lat monitorujemy badania kliniczne w oparciu o zasady ryzyka (risk based monitoring), pozwoliło nam to bez problemu zapewnić zdalne wsparcie badaczom stosownie do potrzeb lekarzy i pacjentów. Amgen ma także duże doświadczenie w scentralizowanym monitorowaniu danych, co pozwala nam na bieżąco je analizować i zapewniać bezpieczeństwo pacjentom. Dokonaliśmy przeglądu aktualnych projektów, koncentrując się w czasie pandemii na kontynuacji toczących się badań, upewniając się, że jesteśmy w stanie bezpiecznie je prowadzić, zapewniając ciągłość leczenia wszystkim pacjentom, którzy rozpoczęli je przed COVID-19. Prowadzimy obecnie 31 badań klinicznych w obszarze hematologii, onkologii, kardiologii, neurologii i chorób zapalnych.

Wszyscy wyglądamy końca tej pandemii. Co się zmieni po zakończeniu walki z COVID-19? Jak zmieni się sposób finansowania opieki zdrowotnej?

Obawiam się – i jest to również sygnalizowane przez władze – że wirus doprowadzi do recesji wielu gospodarek krajów Unii Europejskiej. Mniej mówi się już o prognozowanym wzroście gospodarczym, a więcej o wielkości spodziewanego spadku. Pieniądzy będzie więc brakowało.

Bardzo ważne jest jednak to, aby nie zmniejszać finansowania ochrony zdrowia. Jestem przekonany, że ta pandemia jasno nam pokazała, jak ważna

jest dobra i efektywna opieka zdrowotna. Dlatego wierzę, że polski rząd utrzyma wcześniejsze obietnice przeznaczenia na ochronę zdrowia docelowo 6 proc. PKB. Uważam, że ten kierunek jest słuszny, ważny i powinien być kontynuowany. I chociaż mam świadomość tego, że środki budżetowe będą jeszcze bardziej ograniczone niż przed wybuchem kryzysu, to sądzę, że opieka zdrowotna powinna być traktowana priorytetowo. I to zarówno ze względu na zdrowie obywateli, jak i na kondycję gospodarki – jak bowiem widać, żadna gospodarka nie może się prawidłowo rozwijać bez efektywnego systemu opieki zdrowotnej.

A jakie mogą być konsekwencje zamrożenia decyzji o refundacji nowych leków?

Przede wszystkim chciałbym zauważyć, że Ministerstwo Zdrowia w ostatnich latach, a zwłaszcza w roku 2019, zrobiło ogromny krok naprzód w kwestii udostępniania innowacyjnych produktów, które zostały wpisane na listę leków refundowanych. Znalazło się na niej wiele nowoczesnych terapii i chociaż wciąż istnieje w tym zakresie duża dysproporcja między Polską a średnim poziomem w Unii Europejskiej, to urzędnicy poczynili bardzo wyraźne kroki w kierunku jej zmniejszenia.

Niestety, przez epidemię koronawirusa aktualizacja listy leków refundowanych została wstrzymana i nowe produkty będą mogły pojawić się na niej dopiero we wrześniu. Osobiście wolałbym, aby pacjenci mieli dostęp do nowych leków wcześniej.

Sądzę, że nowa lista leków refundowanych – z produktami, które już uzyskały pozytywną decyzję refundacyjną, oraz tymi, w sprawie których negocjacje jeszcze trwają – powinna zostać opublikowana najpóźniej do 1 września. Mówimy bowiem o lekach, które są nie tylko innowacyjne i skuteczne, lecz także efektywne kosztowo, co średnio- i długoterminowo może przynieść oszczędności dla systemu ochrony zdrowia. Nowe leki umożliwiają bowiem skrócenie czasu chorowania i ograniczają kosztowne powikłania. Pozwalają też pacjentom wrócić do pracy, a to oznacza możliwość płacenia podatków i odprowadzania składek do systemu.

Uważam, że po przejściu przez ten newralgiczny okres walki z wirusem i po rozpoczęciu odmrażania gospodarki kluczową kwestią będzie również restart systemu opieki zdrowotnej.



Katarzyna Pinkosz

Co piąta kobieta i co trzeci mężczyzna umierają w ciągu roku od złamania szyjki kości udowej spowodowanego osteoporozą – to gorsze wyniki niż po zawale serca. Chorzy na osteoporozę nigdy nie powinni przerywać terapii, jednak COVID-19 zmusił do tego większość z nich

Aż 120 tys. Tyle jest co roku w Polsce złamań z powodu osteoporozy (raport NFZ z 2019 r.). 35 tys. z nich to te najpoważniejsze: złamania szyjki kości udowej, po których ryzyko zgonu jest większe niż po zawale serca. Niewielu pacjentów zdaje sobie z tego sprawę i niewielu lekarzy zwraca na to uwagę.

Do ilu złamań osteoporotycznych dojdzie w roku epidemii koronawirusa, trudno dziś oszacować. Pozostanie w domu teoretycznie powinno zmniejszyć liczbę urazów i wypadków, jednak nie dotyczy to osteoporozy, gdyż złamania w wyniku tej choroby to tzw. złamania niskoenerygetyczne. Dochodzi do nich w wyniku normalnej aktywności. Zwykle w domu: starsza osoba przewraca się np. w łazience, wychodząc z wanny lub spod prysznica. Zdarzają się nawet złamania w następstwie kichnięcia czy zakasłania. Dlatego eksperci nie przewidują, żeby w tym roku zmniejszyła się liczba złamań osteoporotycznych; obawiają się, że będzie ich raczej więcej, gdyż z powodu epidemii COVID-19 pacjenci rzadziej są diagnozowani w kierunku osteoporozy, rzadziej chodzą do lekarza, za to częściej przerywają leczenie. – A to oznacza, że kości nie są chronione przed dalszym niszczeniem, choroba zaś postępuje – mówi prof. Ewa Marcinowska-Suchowierska z Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP, przewodnicząca Zespołu Ekspertów ds. Osteoporozy przy Narodowym Instytucie Geriatrii, Reumatologii i Rehabilitacji.

ZŁODZIEJ KOŚCI

O osteoporozie często mówi się „cichy złodziej kości”, ponieważ nie



Osteoporoza jak zawal

boli, nie daje żadnych objawów, za to systematycznie podkrada masę kostną. Proces demineralizacji kości postępuje, przez co rośnie ryzyko złamania. Choroba najczęściej jest rozpoznawana dopiero po złamaniu: przedramienia, kręgow kręgosłupa, szyjki kości udowej.

Złamanie oznacza jednak, że osteoporoza jest już w bardzo zaawansowanym stadium, a stan kości – bardzo zły. Złamanie w jednym miejscu jest czynnikiem ryzyka kolejnego w tym samym miejscu lub innym, ponieważ osteoporoza nie

jest chorobą „jednego miejsca” czy „jednej kości”, tylko całego szkieletu. – Po złamaniu przedramienia dwukrotnie wzrasta ryzyko złamania szyjki kości udowej. A jeśli do niego dojdzie, to ryzyko złamania w drugim biodrze rośnie aż sześciokrotnie! Dlatego osteoporoza wymaga przewlekłego leczenia – dodaje prof. Marcinowska-Suchowierska. Pani profesor mocno naciska na słowo „przewlekłe”, gdyż po miesiącu, dwóch czy pół roku nie udaje się przywrócić kości do takiego stanu,



FOT. ADRIAN STOK

że epidemia koronawirusa nie zwalnia z leczenia osteoporozy. – Skierowaliśmy zapytanie do producentów leków o oszacowanie, ilu pacjentów wstrzymało terapię. Dostaliśmy informację od jednego z nich, że w ostatnim miesiącu w Polsce obrót produktem leczniczym stosowanym w formie iniekcji zmniejszył się z 10 tys. do zaledwie 2 tys. – mówi Elżbieta Kozik, prezes PARS.

Widać po tym, że duża część pacjentów zrezygnowała z kontaktu z lekarzem i zwleka z przyjęciem kolejnej dawki. – Wielu pacjentów myśli: „Nie pójdę do lekarza, przecież nic złego mi się nie dzieje, czuję się dobrze, poczekam, aż skończy się epidemia; przecież nic mnie nie boli”. To błędne myślenie, gdyż niepodanie leku oznacza, że choroba postępuje – dodaje prof. Marcinowska-Suchowierska. W przypadku stosowania leku podawanego raz na pół roku nic się nie stanie, jeśli pacjent dostanie go tydzień czy dwa później, jednak miesiąc czy dwa miesiące zwłoki oznaczają brak ochrony przed złamaniem i postęp choroby.

– W przypadku osteoporozy bardzo ważne jest kontynuowanie leczenia, bo inaczej może dojść do niespodziewanego złamania. Problem dostępu do leków da się rozwiązać poprzez teleporady i e-recepty, również z poradni specjalistycznej. Powoli otwierają się poradnie przyjmujące bezpośrednio pacjentów. Jeśli chodzi o zastrzyk, to może go wykonać sam pacjent albo pielęgniarka w gabinecie zabiegowym. Jeśli pacjent nie może przyjść do gabinetu, to zastrzyk może zrobić pielęgniarka środowiskowa – mówi dr Marek Tombarkiewicz, dyrektor Narodowego Instytutu Geriatrii, Reumatologii i Rehabilitacji. Podkreśla, że najważniejsza jest jednak świadomość pacjenta, iż leczenie musi być kontynuowane. Problemem jest również to, że w okresie epidemii COVID-19 mniej nowych pacjentów jest włączanych do leczenia. – Osteoporoza często jest diagnozowana zbyt późno, gdy już dojdzie do złamania, a warto to zrobić wcześniej. W grupach ryzyka są zwłaszcza kobiety w trakcie menopauzy i po niej oraz osoby przyjmujące leki sterydowe. Ważne jest stwierdzenie choroby i podjęcie leczenia, ponieważ same terapie są bardzo skuteczne – mówi dr Marek Tombarkiewicz.

Opiekę nad seniorami – nie tylko z osteoporozą, lecz także innymi cho-

robami przewlekłymi – usprawniłaby możliwość przepisywania leków z listy „S” (75+) przez specjalistów. Warto byłoby także rozważyć poszerzenie funkcjonalności e-recepty np. o wpisanie terminu konieczności wypisania nowej recepty, co pomogłoby zapewnić ciągłość terapii.

– Przez telefon nie rozpoczynamy stosowania nowych terapii, gdy jednak będzie możliwość wizyty osobiście u lekarza, to warto porozmawiać o osteoporozie – mówi prof. Ewa Marcinowska-Suchowierska. Zwraca uwagę, że chorobę może potwierdzić ortopeda (jeśli doszło do złamania niskoenergetycznego), lekarz w poradni osteoporozy, ale także lekarz pierwszego kontaktu. – Można wykonać badanie densytometryczne, jednak nie jest ono konieczne do diagnozy; u wielu osób dochodzi zresztą do złamań mimo tego, że mają dobrą densytometrię. Powinny być leczone osoby, u których doszło do złamania, a także te, u których istnieje duże jego ryzyko. Można to stwierdzić na podstawie wywiadu i kompleksowej analizy ryzyka – dodaje prof. Marcinowska-Suchowierska.

W diagnostyce wykorzystuje się algorytm FRAX, który zyskał akceptację WHO i 35 krajów (w tym Polski). Bieże się pod uwagę czynniki ryzyka, takie jak: starszy wiek, płeć (żeńską), niska masa ciała, złamanie osteoporotyczne kości udowej u matki, stosowanie glikokortykosteroidów, palenie papierosów, picie alkoholu, niektóre choroby współistniejące, np. reumatyczne zapalenie stawów. – Jeśli nie doszło jeszcze do złamania, to leczenie ma mu zapobiec. U osób, które już doznały złamania, celem jest zapobiegnięcie kolejnemu. Leczenie jest skuteczne pod warunkiem kontynuowania – dodaje prof. Marcinowska-Suchowierska.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

by uznać chorobę za wyleczoną. – Jeśli boli mnie głowa, to biorę tabletkę i ból mija. Osteoporoza to nie jest tylko jedno złamanie, to nie jest incydent, choroba musi być cały czas leczona – podkreśla prof. Marcinowska-Suchowierska.

NIE PRZERYWAĆ LECZENIA!

Epidemia koronawirusa przestraszyła wszystkich, a przede wszystkim osoby z grup ryzyka ciężkiego przebiegu COVID-19, w tym osoby starsze. Lęk przed zakażeniem, częściowo zamknął poradnie – wszystko to spowodowało pogorszenie dostępu do leczenia. Co prawda w większości przychodni można bez problemu skorzystać z teleporady i otrzymać e-receptę, ale nie każda starsza osoba z takiej formy kontaktu z lekarzem chce i potrafi skorzystać. W przypadku osteoporozy jest jeszcze jeden aspekt: jeden z bardzo skutecznych i refundowanych przez NFZ leków podaje się w formie iniekcji podskórnej raz na pół roku. Nie każdy chory sam potrafi sobie z tym poradzić.

Polskie Amazonki Ruch Społeczny w ramach kampanii „Osteomisja. Misja ratunkowa dla kości” przypominają,

W Polsce na osteoporozę choruje ok. 1,5 mln kobiet i 400 tys. mężczyzn. Czynniki ryzyka to: wiek, płeć (żeńską), mała ilość ruchu, niedobory wapnia, niedobory witaminy D, palenie papierosów, picie alkoholu, kawy.

Osoby z osteoporozą nie powinny przerywać terapii także podczas epidemii i muszą kontaktować się z lekarzem, by móc kontynuować leczenie.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Starosta od Kozaków

Kozaczyzna zaporoska miała początek w działalności pogranicznych starostów, którzy tworzyli ze stepowych rabusiów pierwsze oddziały do obrony przed tatarskimi najazdami. A także – wbrew Sienkiewiczowskiej legendzie – do przeprowadzania własnych, niekiedy odwetowych, wypraw na ordyńców, Mołdawian i Turków. Pierwszym człowiekiem, który wykorzystywał Kozaków na służbie Królestwa Polskiego, był Przecław Lanckoroński herbu Zadora, Polak urodzony w Małopolsce przed 1489 r. Pochodził z zamożnej rodziny Lanckorońskich, był synem Stanisława z Brzezia, zwanego Marszałkowicem, który trzymał w dożywociu Lanckoronę z zamkiem i kluczem pobliskich wsi, Dobczyce i 11 innych wiosek.

Przecław, co było typowe dla bohaterów rodzącej się epoki renesansu, otrzymał staranne wykształcenie. Wiadomo, że odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej, dzięki czemu uzyskał tytuł Rycerza Jerozolimskiego, podróżował po Francji, Hiszpanii, Włoszech i Węgrzech, które za chwilę miały zostać rozdarte między Turcję i Austrię. Karierę zaczął na dworze Aleksandra Jagiellończyka i kontynuował u jego brata Zygmunta, który przekazał mu po ojcu starostwo lanckorońskie, a także Serocko i Laskowice w Lubelskiem.

Przecław jednak słynął z awanturniczego trybu życia – procesował się i zajeżdżał sąsiadów. W roku 1512 utracił na rzecz Szytka z Jarosławia Lanckoronę, a w 1521 r. musiał ustąpić Annie z Kurozwieczkich dobra bedrzychowskie w powiecie wiślickim. Zapewne znając jego charakter, król nadał mu dobrą daleko, bo na wschodnich kresach królestwa. Odtąd Lanckoroński związany był z Rusią, zwaną potem Ukrainą i jej sprawami, prawdopodobnie już w 1516 r.



FOT. MNK

poprowadził pierwszą wyprawę na Tatarów, pobił ich nad Widowym Jeziorem i wziął znaczne łupy. Jednak pierwsze potwierdzone źródłowo wiadomości mamy o jego wyczynach z czasu ostatniej wojny krzyżackiej w 1520 r., kiedy został rotmistrzem lekkiej jazdy strzelczej. Lanckoroński brał udział w bitwach pod Tucznem i pod Wałczem. Jak podaje Marcin Bielski, Przecław, mając przy boku zaledwie kilkuset ludzi, wielokrotnie przebił się przez hufce niemieckie. Zapewne dlatego Jan Matejko sportretował go na obrazie „Hołd pruski”.

W 1520 r. król Zygmunt pozwolił Przecławowi na wykupienie starostwa chmielnickiego na Rusi Czerwonej, leżącego w ówczesnym województwie braclawskim. Lanckoroński zaangażował się w obronę kresów, w ramach tzw. obrony potocznej, dowodził jej rotami i wspierał je, organizując oddziały nadwornych, starościńskich Kozaków, a być może też Tatarów. Starosta zawiadywał tzw. strażą białogrodzką, czyli wysuniętymi placówkami na Dzikiach Polach, rozmieszczonymi nad granicą z Mołdawią i dalej, w stronę Białogrodu. Były to oddziały na co dzień stojące w stepowych stanicach, które w przypadku najazdu rozbijały drobne wyprawy i czaty Tatarów, a w razie stwierdzenia większych sił przeciwnika zawiadamiały starostów i hetmanów o grożącym

najeździe. Jednak Lanckoroński i inni pograniczni starostowie nie tylko bronili kresów przed Tatarami, lecz także sami wyprawiali się do Mołdawii, Budziaku i w odległe stepy. W dodatku starostą w Kamieńcu Podolskim był wówczas brat Przecława – Stanisław – co oznaczało, że obrona Podola, a przy okazji także przygraniczna polityka, spoczywała całkowicie na rodzie Lanckorońskich.

Największa z wypraw na Tatarów odbyła się w 1528 r. Urządzili ją wspólnie Przecław Lanckoroński i Eustachy Daszkiewicz, o którym już kiedyś pisałem; starosta kaniowski i czerkaski. Obydwaj zgromadzili ok. 1,2 tys. ludzi – pospolitego ruszenia szlachty ruskiej i Kozaków, a potem ruszyli na Białogrod i Oczaków. Wyprawa przyniosła wielki sukces. Lanckoroński i Daszkiewicz zdobyli 30 tys. sztuk bydła i 500 koni. Stoczono także trzy bitwy, w czasie których rozgromiono siły tatarskie. Ponoć dowodził wówczas Daszkiewicz, który zwyciężył ordyńców, wciągając ich w zasadzkę i atakując od tyłu.

Wyprawa 1528 r. przyniosła Lanckorońskiemu sławę; niestety była jego ostatnią. Starosta, sterany w bojach i schorowany, robił, co mógł, aby umocnić podległe mu włości. W roku 1530 odbudował i wzmocnił fortyfikacje miasta Chmielnika, przebudowując także tamtejszy zamek. Rok później wybuchła wojna z hospodarem mołdawskim Rareszem, który usiłował zagarnąć polskie Pokucie. Przecław Lanckoroński otrzymał od króla rozkaz obrony zamku chmielnickiego, jednak nie zdołał go już wykonać. 10 czerwca 1531 r. zmarł w Krakowie. Jak większość wojowników spędzających całe życie na zasadzkach, walkach i podjazdach nigdy się nie ożenił, nie pozostawił więc po sobie legalnych potomków. ©

TEST „DO RZECZY”: LAPTOP GAMINGOWY MSI GE75 RAIDER

Ultranowoczesny procesor, karta graficzna GeForce RTX 2080 oraz ekran o częstotliwości odświeżania 240 Hz – to największe zalety gamingowego laptopa MSI GE75 RAIDER 10.

Gamingowe monstrum ma bardzo fajne wzornictwo. Charakterystyczne smocze logo oraz zadziorne dwie czerwone linie na czarnej aluminiowej obudowie zdradzają, że nie jest to gadżet dla znudzonych użytkowników arkuszy kalkulacyjnych. Jednocześnie komputer wygląda na tyle elegancko, że śmiało można by na nim popracować w biurze, redakcji czy w banku.

Testowany gadżet nie jest z pewnością najlżejszym (2,66 kg z baterią) ani najsmuklejszym (wysokość 30,3 mm) laptopem na rynku (ma jednak bardzo małe ramki wokół ekranu). Jak przystało na sprzęt dla graczy, klawiatura podświetlana jest we wszystkich kolorach tęczy (dokładnie do wyboru jest 16,8 mln barw), a dla poszczególnych stref klawiatury można ustalić oddzielne barwy. Do dyspozycji jest też solidny zestaw portów: m.in. USB typu A, USB typu C, HDMI i czytnik kart pamięci.

Wrażenie robi również matowy wyświetlacz IPS o wielkości aż 17,3 cala i rozdzielczości Full HD (1920 x 1080). Na pochwałę zasługują doskonały kontrast, a także naturalnie odwzorowane kolory. Dzięki matrycy o częstotliwości odświeżania na poziomie 240 Hz podczas



sieciowych rozgrywek obraz jest niesamowicie płynny, co istotnie zwiększa szanse na wyprzedzenie przeciwników i zwycięstwo nie tylko w strzelankach. Zmniejszeniu opóźnień służy z kolei karta sieciowa z technologią Killer DoubleShot Pro, zapobiegająca powstawaniu krótkich lagów, które mogłyby wykorzystać wirtualni przeciwnicy.

Wydajność tego modelu jest porównywalna z mocnymi komputerami stacjonarnymi. Pod maską testowanego laptopa producent zamontował ultranowoczesny procesor Intel

Core i9-10980 HK. Do dyspozycji są też 16 GB pamięci RAM (z możliwością rozbudowy do 32 GB), a także dwa dyski twarde SSD o pojemności 512 GB oraz dysk HDD o pojemności 1 TB. Dla graczy ważniejsza jest jednak informacja o karcie graficznej: to m.in. GeForce RTX 2080 Super sprawia, że na tym laptopie gra się aż tak dobrze.

Jeśli chodzi o baterię, to w przypadku gamingowego monstrum trudno liczyć na cuda. Akumulator pozwala jednak np. na mniej więcej sześć godzin oglądania filmów bez konieczności podłączania komputera do gniazdka.

Minusy? Podczas intensywnych rozgrywek mocno uciążliwy może stać się hałas płynący z wentylatorów. Podczas długich sesji lepiej więc zakładać słuchawki, bo bez nich trudno się będzie skupić na walce z przeciwnikiem. Laptop ten potrafi się też niezłe rozgrzać. Zabrakło mi również czytnika linii papilarnych, przez co logować się trzeba tradycyjnym hasłem jak jakiś jaskiniowiec.

MSI GE75 RAIDER 10 to rewelacyjna zabawka dla graczy, która daje zapas mocy wystarczający na przetrwanie co najmniej drugiej, trzeciej, a być może i czwartej fazy pandemii koronawirusa. Tak wydajny komputer może oczywiście posłużyć nie tylko do grania, lecz także np. do montażu wideo, obróbki zdjęć czy obsługi wymagających programów graficznych. Jego największą wadą jest jednak cena, która wynosi ponad 12 tys. zł. ©© **Jacek Przybylski**



NOWA JAKOŚĆ ODKURZANIA

Według producenta najlepszy na rynku. Haier TAB – inteligentny odkurzacz i mop w jednym – najlepszy może

nie jest, ale na pewno jest dobry. Przede wszystkim dzięki autorskiej technologii budowy szczotek, zapobiegającej wkręcaniu się w nie włosów, co – jak wiedzą użytkownicy różnego rodzaju łażących po mieszkaniu odkurzaczy robotów – jest prawdziwą zimą.

Dalej: imponująca siła ssania – 3200 Pa. I, co ważne – ponieważ samo odkurzanie nie wystarczy, by dokładnie oczyścić dywany i podłogi w mieszkaniu, zwłaszcza panele – Haier TAB wyposażony jest także w funkcję mopowania – ze zbiornikiem na wodę o pojemności 230 ml i trzema poziomami elektronicznej kontroli wody. Bardzo cienka podkładka w postaci mopa z mikrofibry na przystawce do zbiornika na wodę delikatnie i dokładnie „przytula się” do podłogi, a urządzenie może jednocześnie mopować i odkurzać, co w praktyce pozwala zaoszczędzić trochę czasu. Ciekawą innowacją jest konstrukcja modułowa, która łączy pojemnik na kurz, wentylator wyciągowy i akumulator w jedną odłączaną całość – jest to nie tylko część odkurzacza robota, lecz także indywidualny

miniatury odkurzacz ręczny, który pozwala na sprzątanie narożników, tapicerki i ciasnych przestrzeni.

Cena ok. 1,6 tys.–1,8 tys. zł, dostawa w sierpniu. Zamawiać można na portalu Indiegogo.

UŻYTECZNE OSTRZE

Nóż, jak to męsko brzmi. Złazcza stalowy lub tytanowy. Ten może imponująco nie wygląda, przynajmniej w porównaniu z popularnymi wśród niektórych mieszkańców Krakowa maczetami, ale z pewnością jest użyteczny.

Dagr, bo tak się ów gadżetecik nazywa, jest wielkości stalówki do wiecznego pióra, można go nosić w specjalnej osłonce i np. przypiąć do breloka od kluczy. Jest jak znalazł, kiedy potrzeba szybko coś przeciąć, np. gruby karton z właśnie doręczonej przesyłki. Nóż można zamawiać w wersji stalowej lub tytanowej. Przyda się też – w osłonce – jako dotykacz różnego rodzaju przedmiotów, których w dobie koronawirusa niekoniecznie chcemy dotykać palcami, np. przycisków w windzie.

Dagr stalowy kosztuje ok. 90 zł, wykonany z tytanu ok. 110 zł. Zamawiać można na portalu Kickstarter, a dostawa w sierpniu. ©©

Wojciech Wybranowski



BOBOTI – POŁUDNIOWOAFRYKAŃSKI PRYZMAK POLECA JOSEPH SEELETSO

Boboti to popularne danie z Republiki Południowej Afryki, przyrządzane głównie przez białych osadników, Holendrów. Widać w nim również wpływy hinduskie, to właśnie przybysze z Indii przywieźli ze sobą przyprawę wykorzystywane w tej potrawie. Flaga RPA to tęczą, która symbolizuje wielonarodowość tego kraju oraz wielokulturowość mieszkańców. Ta mieszanina narodów i kultur znajduje odbicie także w tamtejszej kuchni.

Składniki:

- 1 cebula
- 1 marchew
- 2 ząbki czosnku
- olej rzepakowy
- 1 łyżka curry
- 2 łyżki rodzynek
- 500 g mielonej wołowiny
- 3 liście laurowe
- 2 szklanki mleka
- 6 żółtek
- sól, pieprz

Przygotowanie:

- Cebulę i marchewkę obrać, pokroić w kostkę. Czosnek obrać i posiekać.
- Obsmażyć cebulę, marchew i czosnek na patelni. Dodać curry, rodzynek, mięso i liście laurowe.
- Smażyć, mieszając, przez 8–10 minut.
- Przełożyć całość do żaroodpornej brytfanki.
- W naczyniu wymieszać mleko z żółtkami i zalać zawartość brytfanki.

- Piec 30 min w piekarniku rozgrzanym do 180 st. C.

Porada:

Jeśli chcemy przygotować mieszkę przypraw curry samodzielnie, to proponuję zioła rozdrobnić w młynku, następnie podgrzać je na suchej patelni. Wtedy w pełni oddadzą swój aromat. ©© **oprac. raw**

*Joseph Seeletso – kucharz, autor książek kulinarnych, były juror w programie „Top Chef”.
Botswańczyk z urodzenia, od wielu lat Polak z wyboru.*



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Leśna woda

Na odporność można natykać się suplementów, jeśli ktoś lubi i jeśli wierzy tryskającym zdrowiem 60-latkom plus, którzy zachwalają je w reklamach. Jednak dużo prościej zdać się na środki naturalne. Na przykład na sok z brzozy, produkt, który ostatnio niesłusznie popadł u nas w zapomnienie. Wygrzyły go najmłodniejsze smoothie i soki z cytrusów. Cóż – uwieżyliśmy, że orange juice musi być niezbywalnym składnikiem każdego śniadania. Tak jedzą wszak w serialach i w Ameryce, więc w to wierzymy. Natomiast sok brzozowy zajeżdża rosyjskością (bieriozka – tak się nazywał kiedyś rosyjski peweks), a ona w kulinariach raczej nie jest przez Polaków wysoko ceniona.

Atymczasem brzoza, nieodłączny element nie tylko rosyjskiego, lecz także naszego krajobrazu, to prawdziwy skarb prozdrowotny. Wczesną wiosną, gdzieś w marcu czy kwietniu, brzoza, jeszcze zanim pokryje się liśćmi, produkuje nawet 6 tys. l soku. To taka leśna woda – bo rzeczywiście ma smak delikatny, lekko słodkawy, w sumie bez wyrazu. Gdyby jednak ktoś z państwa znalazł się przypadkiem w lesie z wiertarką i plastikową rur-

ką, to może ugasić pragnienie natychmiast. A gdy zapragnie zafundować sobie odnowę biologiczną, może zrobić to bardziej metodycznie. Trzeba znaleźć drzewo w wieku powyżej 10 lat, które jeszcze nie wypuściło liści, wywiercić w nim otwór mniej więcej

pięciocentymetrowy, wsadzić w niego rurkę, a tę podłączyć do butelki. Gotowe.

Jedno drzewo może wydać aż 5 l tego drogiego soku na dobę. To wszystko pod warunkiem, że uzyskaliśmy zgodę leśniczego lub właściciela terenu, na którym rośnie drzewo.

Właściwości sok brzozowy ma niemal cudotwórcze. Jest pełen antyoksydantów, cukrów, minerałów i oligoelementów. Działa przeciwbólowo i przeciwgorączkowo, łagodzi bóle reumatyczne, a żelazo, wapń, potas, witaminy, aminokwasy działają krwiotwórczo, więc wspomagają leczenie anemii. Może pomóc w dolegliwościach wątroby i żołądka, odtruwa...

Co do tego ostatniego nie miałabym pewności, gdyż dobrze pamiętam, że woda brzozowa do włosów (kiedyś do nabycia w kioskach Ruchu) cieszyła się sporym zainteresowaniem osób, które miały zamiar raczej się zatruwać niż odtruwać... Ale kto wie, może przy okazji korzystały też z cudownych właściwości tego eliksiru życia... ©©



FOT. ADREISTOCK



POD WĄS

À rebours

IGOR ZALEWSKI

Między moją córką i synem jest 12 lat różnicy. Kiedy Ola była mała, babcia uczyła ją świata, wprowadzała w niego. To były ostatnie chwile, bo świat tak przyspieszył, że wiedza dziadków stawała się coraz mniej przydatna dla wnuków. Teraz wahadło wychyliło się jeszcze dalej. To dzieci uczą dziadków.

Moja mama często gderала na nasze smartfonowe uzależnienie. Oczywiście miała rację. Łypanie do telefonu podczas rodzinnego spotkania to przejaw braku kultury i szacunku. Sama zapierała się przed smartfonem, dowodząc, że wysyłanie SMS-a to szczyt jej możliwości i niczego nowszego już nie opanuje. No i uważała, że te świecące ekraniki oglupiają. Nie to co tureckie seriale.

Tak było do czasu, kiedy dowiedziała się, że na WhatsAppie założyliśmy grupę nazwaną niefortunnie „Rodzina”. Uznała się za wykluczoną. Na nic zdały się tłumaczenia, że to efekt jej awersji do technicznych nowinek. Była zagniewana i zraniona, ale po akcji ugłaskiwania dała się udo-bruchać oraz namówić. I tak sprawiliśmy jej smartfon.

Jak jednak nauczyć ją obsługiwać nowy telefon? Ja byłem oczywiście najgorszym nauczycielem. Brakowało mi cierpliwości, więc ciągle się kłóciłem. To straszne, że człowiek najmniej cierpliwości ma dla osoby, która miała jej dla niego najwięcej. Na szczęście trudnej misji podjął się ostatecznie Tymon, czyli

mój 10-letni syn. Na mnie oczywiście też by się irytował, ale z babcią to co innego.

I teraz gdy odwiedzam mamę, zazwyczaj zastaję ją pochyloną nad ekranikiem i czytającą newsy. Wydaje się, że smartfon wciągnął ją tak bardzo, że nawet trochę udało się ją odłączyć od jej Matriksa, czyli TVN24. Gorzej, że zaczęła mnie zamęczać fajnymi filmikami, które podsyłają jej koleżanki. Słodkie pieski, urocze kotki, rozkoszne bobasy, niesamowite widoki, bajeczne krajobrazy oraz rubaszne memy. To wszystko muszę oglądać w gościnie, więc czasem przebiegle zapominać okularów. A ponieważ ma zaległości przynajmniej z dekady, odkrywa klasyczne perły YouTube'a i czyni to z radością nastolatki. No i oczywiście dzieli się tym ze mną.

Po tym nowym dla niej świecie porusza się na razie bardzo nieporadnie. Weszła jednak do niego i nieśmiało korzysta z jego bogactwa, którym jest zadziwiona. Trudno jej pojąć, że tak wiele świetnej muzyki czy fantastycznych kabaretów z dawnych lat ma w zasięgu ręki. A nawet głosu, bo Tymon ostatnio nauczył ją korzystać z asystenta Google'a. I to jest w tym najbardziej niezwykłe – to wnuki likwidują cyfrowe wykluczenie dziadków, odwracając odwieczną kolej rzeczy. Są w tym po prostu najlepsze.

Muszę się jednak z Tymonem dogadać, żeby nie uczył babci, jak udostępniać treści. Jeśli zacznie spamować, to będzie słabo. ©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Prestiżowe instytuty

Właściwie od 2015 r. nie ma roku, w którym nie przeczytalibyśmy jakiegoś ponurego raportu międzynarodowej instytucji z troską pochylającej się nad stanem polskiej demokracji oraz wolności mediów. Przodują w nich zwłaszcza Amnesty International oraz amerykańska organizacja pozarządowa Freedom House. Ostatnio ta druga opublikowała uaktualnione zestawienie, w którym odnotowano dramatyczny spadek naszego kraju w rankingu wolności obywatelskich. „Od 2015 r. wskaźnik Polski spadł o 9 punktów. Rządzące Prawo i Sprawiedliwość wprowadziło szereg rozwiązań szkodzących niezależności, wymiaru sprawiedliwości, podporządkowało media i walczy z głosami krytycznymi obywateli” – ogłosili autorzy dokumentu „Nations in Transit”.

Świat na chwilę wstrzymał oddech. „Według organizacji Freedom House Polska nie jest już pełną demokracją, a Węgry całkowicie przestały nią być. Podobne problemy z przestępczymi rządów prawa mają jeszcze Czarnogóra i Serbia. I znów dzięki PiS znaleźliśmy się w »dobrowym« gronie...” – napisała Sylwia Spurek. „W rankingu zasłużonego amerykańskiego instytutu Freedom House Polska traci status stabilnej demokracji” – ubolewał Radosław Sikorski. Przez wszystkie przypadki odnawiano prestiżowość oraz amerykańskość zestawienia, cytując je od Onetu do „Newsweeka” z podobnym

komentarzem: „Polska coraz bliżej dyktatury”.

Wnikliwy czytelnik zada sobie zapewne w tym momencie kilka pytań. W końcu porównanie obecnej sytuacji polityczno-medialnej z dyktaturą to poważne oskarżenie. A zatem: Kim są owi analitycy zza oceanu? Do ilu redakcji w Polsce się odezwali? Z kim rozmawiali? Czy mają jakieś jawnie deklarowane sympatie polityczne? Czy zajmują się działalnością opozycyjną? Są aktywistami? Na ile ich głos można uznać za bezstronny i obiektywny? Śpieszę odpowiedzieć. Stan naszej demokracji oceniało troje 30-latków pracujących w OKO.press lub współpracujących z tym portalem, „Polityką Insight”, „Gazetą Wyborczą” oraz „Archiwum Osiatyńskiego”. Maciek Piasecki, Anna Wójcik oraz Miłosz Wiatrowski – bo o nich mowa – nie ukrywają w tekstach swojego krytycznego nastawienia do obecnego rządu, od lat uczestnicząc w protestach ulicznych oraz publikując analizy sytuacji w kraju dla zagranicznych mediów. Świetnie, takie ich prawo, tak działa wolność słowa, a w dziesiątkach mniejszych lub większych spraw PiS należy się słuszna krytyka. Zastanawiam się tylko, czy sami autorzy – roszczący sobie prawo do bycia arbitrami stanu polskiej demokracji – nie czują odrobiny zażenowania, gdy krytykują brak pluralizmu w gronie trzech osób piszących do tych samych mediów i mających niemal identyczne poglądy na sytuację polityczną w Polsce? Chyba powinni. ©

WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Dziejowa przewrotka lewicy

Do niedawna można było jeszcze się łudzić, że lewica kieruje się pewnymi wartościami. Nawet jeśli przyjąć, że wartości te sprowadzały się do utopijnego myślenia o raj na ziemi, było to myślenie prometejskie, zakładające jakoś rozumiane dobro człowieka. Tacy byli na przykład przedwojenni polscy socjaliści. Komunizm dokonał jednak strasznego spustoszenia w myśleniu lewicowym. Ludzie, którzy przyjęli, że do uszczęśliwienia ludzkości trzeba kłamstw, terroru i stosu trupów, stracili nie tylko ową prometejską

który właśnie gnił w PRL-owskim więzieniu.

Po 1989 r. postkomuniści polscy stworzyli SLD – partię rzekomo socjalistyczną, ale reprezentującą w dużej mierze nową klasę burżuazyjną. Postkomuniści polscy stali się beneficjentami transformacji, a jednocześnie rzekomo bronili jej ofiar przed Solidarnością. Spora zaś część opozycji demokratycznej z czasów PRL pogodziła się z postkomunistycznym sposobem myślenia o świecie, w którym interes materialny dominuje nawet w warstwie ideowej, moralność jest zjawiskiem zmiennym historycznie, a historia realizuje się w sposób bezalternatywny. Na Zachodzie pokolenie lewaków lat 60. objęło władzę w partiach lewicowych i rzekomo liberalnych, w istocie jednak lansujących podobną wizję świata. Obowiązuje w nim jedynie słuszna idea, nazwana liberalną demokracją, a zakładająca, że człowiek – istota dążąca do wolności i kierująca się rozumem – może się sam stwarzać. W rezultacie lewica dokonała całkowitej przewrotki ideowej. Nie interesuje się, jak dawniej, losem szarego człowieka, a nawet gardzi takim zainteresowaniem jako „populizmem”. Jest dziś formacją elity, która wie lepiej od szarego człowieka, na czym ma polegać jego człowieczeństwo, które należy zmieniać w duchu niczym nieograniczonej wolności. Zdominowała nie tylko scenę polityczną, lecz także życie publiczne Zachodu, skutecznie strasząc świat „prawicą”.

Dlatego polscy postkomuniści tak łatwo znaleźli wspólny język z zachodnim mainstreamem ideowym. Nowa lewica to w dużej mierze połączenie postkomunizmu z „liberalnymi demokratami” Zachodu. Jest charakterystyczne, że w języku obydwu stron słowo „fasyzm” funkcjonuje dokładnie tak samo. Jest to wróg jedynie słusznej

idei, polegającej na poddaniu się „głównemu nurtowi” i oświeconemu kierownictwu realizującemu swoiście rozumianą konieczność dziejową. W celu realizacji tej misji kierownictwo to i jego akolici nie cofają się przed medialną manipulacją faktami, przed insynuacjami i prowokacjami intelektualnymi oraz artystycznymi, które mają zohydzić lub ośmieszyć obrońców zdrowego rozsądku, zepchnąć ich do głębokiej defensywy. Konformistyczna chęć pozostania w „głównym nurcie” pcha wielu, czasem nawet niegłupich, ludzi do uporu w powtarzaniu głupstw nowej lewicy lub choćby relatywowaniu znaczenia tych głupstw. Trwając przy obronie „swoich”, nie zauważają oni, jak sami zaprzeczają głoszoną przez siebie rzekomo wartościom i wznoszą lamenty nad upadkiem demokracji, nie zauważając, że polega ona co najmniej na wysłuchaniu drugiej strony. Krytykując wykluczenia, sami wykluczają.

Dzisiejsza „lewica” jest więc w istocie zaprzeczeniem lewicy sprzed stu lat. Jej wizja „raju na ziemi” nie polega na wyzwoleniu człowieka spod rządów prawdziwej czy rzekomej niesprawiedliwości, ale na wyzwoleniu człowieka od wszelkich ograniczeń, także wynikających z przyzwoitości. Polega na obsesyjnej promocji ludzkiej fizjologii w duchu skrajnego egoizmu i erotomanii. Wystarczy przypomnieć sobie wszystkie te „marsze równości” i sprośne hasła niesione przez współczesnych „wyzwolicieli” człowieka. Ogarniają oni nie całego człowieka z jego głową i zawartością tej głowy na czele, ale tylko te jego części, które położone są poniżej pasa, przy czym nogi mniej zaprzatają uwagę nowej lewicy. Jeśli więc lewica zajmuje się jedynie intymnymi częściami człowieka, to jego całością musi się zająć ktoś inny. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



perspektywę, lecz także jakąkolwiek orientację moralną. Dotyczy to zbrodniarzy komunistycznych, ale też ich potomków, związanych emocjonalnie ze swoimi ojcami i dziadkami, czy w ogóle ludzi scharakteryzowanych przez ks. Józefa Tischnera jako homo sovieticus, a także komunistów i dużej części lewicy na Zachodzie, która przymykała oczy lub wręcz usprawiedliwiała zbrodnie komunistyczne. Kłamstwo komunistyczne zostało zastąpione kłamstwem postkomunistycznym. Skoro działacze PZPR zaczęli po 1989 r. odwoływać się do tradycji PPS, to powstaje pytanie, czy ich bohaterem był w 1950 r. Józef Cyrankiewicz czy Kazimierz Pużak,

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY** TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



NOWOŚĆ!



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

RADOSŁAW SIKORA
„NIE TYLKO HUSARIA.
NIEZNANE OBLCZE
POLSKIEJ ARMII”

~~357~~ zł



141,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
216 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

TANIE TANKOWANIE

Reszta należy do Ciebie

